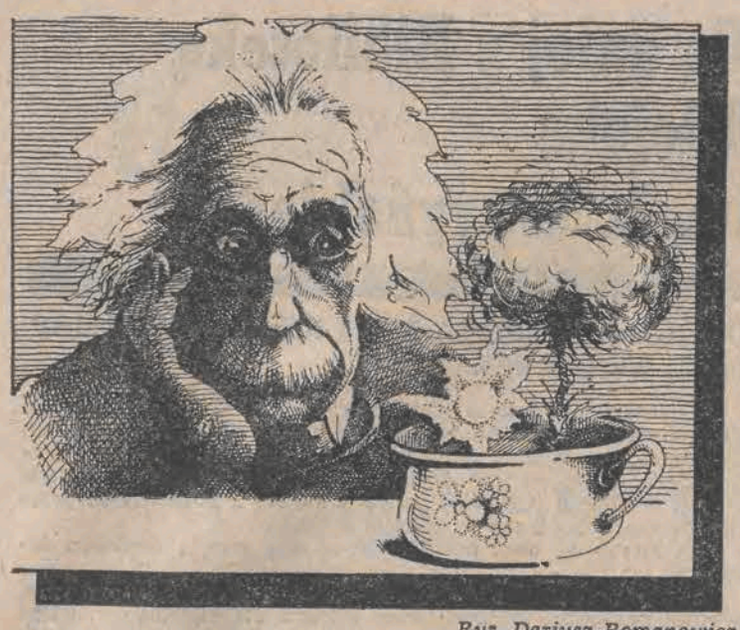

Rys. Dariusz Romanowicz

Nr indekesu 36762PL ISSN 0472-5042

Łódź

Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

NUMER 18 (1622) ROK XXXII 30 KWIETNIA 1989 ROKU CENA 80 ZŁ

□ Lista łodzian, którzy zginęli w Katyniu — str. 4

□ Po co Polacy jeżdżą do Berlina Zachodniego — str. 1 i 7

□ Czy będzie pan kandydował po raz trzeci? — str. 5

Odbyło się bez „fajerwerków"

MAREK JUŚKIEWICZ

czytaj strona 6

Foto: Grzegorz Gałasiński

Na niedzielę do Berlina Zachodniego.

Drang nach Westen

PAWEŁ TOMASZEWSKI

Z Warszawy pociąg wyjeżdża o 21.05. W wagonach bez miejscówek wszystkie przedziały zajęte. W pozostałych jeszcze nie. Tłoku więc nie widać.

W Kutnie dosiada kilkadziesiąt osób z Łodzi, Piotrkowa, Kalisza. Głównie młodzież. Roześmiana, rozbawiona. Bagaże raczej skromne. Zdawałoby się nawet, zbyt skromne, jak na podróż za granicę. Ale przecież gdy się wyjeżdża na dzień, dwa, dużo nie potrzeba. Tyle, żeby zmieścił się towar, kanapki i coś do picia. Na przykład kilka butelek pepsi. To wszystko. No, może warto jeszcze wziąć grubszy sweter i szalik, bo nie wiadomo, gdzie przyjdzie spędzić noc, a o tej porze roku nawet na dworcu bywa zimno.

2.

PAP z 28 marca 1989 roku:

„Potwierdziły się wcześniejsze przewidywania ze miniony rok przyniesie rekordową liczbę obywateli naszego kraju wyjeżdżających za granicę. Jak obliczono, w podróż zagraniczną udało się w 1988 roku niemal 7 mln osób, o 32 proc. więcej niż rok wcześniej. (...) Wzrosła liczba wyjazdów do krajów socjalistycznych, do których udało się 5 mln 260 tys. obywateli. Były to głównie podróże do NRD (1,5 mln), CSRS (1,3 mln), do Związku Radzieckiego (1 mln 190 tys.). Zwiększyła się liczba wyjazdów naszych rodaków do Bułgarii (430 tys.) i Jugosławii (200 tys.). Natomiast rzadziej podróżowaliśmy na Węgry (560 tys., co oznacza spadek o 1/3 w porównaniu z 1987 r.)

Aż o 47,5 proc. zwiększyła się w tym czasie liczba wyjazdów obywateli polskich na Zachód. Były to głównie wyjazdy do RFN i Berlina Zachodniego (790 tys., czyli o 62 proc. więcej w stosunku do 1987 r.) ..."

3.

Pierwszą czynnością po wejściu do przedziału jest odpowiednie rozłożenie towaru. Najlepiej od razu uzgodnić, co kto wiezie i podzielić się tak, aby każdy miał wszystkiego po trochu. Z torby do torby wędrują więc kryształy, zabawki, ubranka dla dzieci, drobny sprzęt gospodarstwa domowego, pościel, papierosy... Gdzieniegdzie trafia się jeszcze sucha kiełbasa, żółty ser, ale to już raczej rzadkość. To już się nie opłaca. Za dużo kłopotu z celnikami. Poza tym, gdzie teraz taki towar szybko sprzedać? Co innego jeszcze w lutym, na początku marca, kiedy i po tej i po tamtej stronie zaskoczone władze nie zawsze wiedziały, co z tym mają robić, a ludzie wozili nawet jajka. Dziś jest inaczej. Na ulicy towaru nie rozłożysz — nie ma gdzie, nie ma jak. Zresztą wszędzie kręci się policja. Trzeba bardzo uważać, żeby nie dostać „misia"[1], bo wtedy wyjazd za mur — zamknięty.

Krystyna z Kalisza odłożyła żarcie już miesiąc temu. Szybko wyczuła, że ten asortyment długo się nie utrzyma i przerzuciła się głównie na zabawki oraz pościel. Do tego obowiązkowo wódka, papierosy i ze dwa małe kryształy, a jak się jeszcze zmieści, to kilka ręczników. Ryzyko niewielkie — mówi — a zbyt prawie pewny.

Krystyna zna sytuację nie tylko ze słyszenia, bo pieczątek w paszporcie ma już pełne cztery strony.

4.

PAP z 7 marca 1989 roku:

„W miniony piątek z przejścia granicznego w Cieszynie służby celne zawróciły 220 samochodów i 451 osób, które posiadały bardzo duże ilości masła, wędlin, sera żółtego, czy nawet jaj. Rekordowe wywozy żywności zanotowano w ostatnich dniach również na przejściach granicznych w Świecku, Słubicach, Kunowicach, Gubinie (...) Podczas kontroli celnej w jednym z wagonów jadących do Berlina Zachodniego zatrzymano 14 osób, w tym Piotra Ch. z Wałcza, który po wręczeniu swego paszportu celnikom uciekł. W jego bagażu znaleziono 59 kostek masła, 3 kg wysokogatunkowych wędlin, papierosy, cukierki..."

5.

W Poznaniu na peronie kilkusetosobowa grupa ludzi. Większość niczym lwy prę-

7

Ciało Piotrusia wyłowiono z rzeki. Gdzie zniknęła Agnieszka?

Biała Przemsza – osiedle pułapka

MIROSŁAW KULIŚ

Rys. Dariusz Romanowicz

Agnieszce i Piotrkowi potrzebnych było tylko 15 minut, by z radosnych i pogodnych dzieci przemienić się w martwe ciałka. Zdanie to nie jest do końca prawdziwe, jest tylko przypuszczeniem, hipotezą, gdyż w dalszym ciągu niewiele się wyjaśniło z tragedii dwojga sosnowieckich dzieci.

27 marzec 1989 r. — drugi dzień świąt, śmigus-dyngus — rozpoczął się w osiedlu Białej Przemszy w Sosnowcu wyjątkowo radośnie. Kilkanaście białych i szarych czteropiętrowych bloków wciśniętych między autostradę Cieszyn—Warszawa oraz rzeczkę Biała Przemsza rozbrzmiewało kaskadami śmiechu. Większość z nich — położona na wzgórzu — stoi tu już lat kilkanaście. Wraz z murami zestarzeli się mieszkańcy, którzy spokojniej odnoszą się do śmigusowych zabaw niż przed laty gdy byli młodsi. Co innego w dwóch najniżej usytuowanych blokach, tworzących wraz z biegnącą między nimi uliczką, wyraźnie oddzieloną od reszty osiedla enklawę.

60 lokatorów wprowadziło się tu zaledwie przed dwoma laty. W każdym mieszkaniu są dzieci. Śmigus to dla nich wspaniała atrakcja, na którą czeka się cały rok. Nic więc dziwnego, że po „Teleranku" wielkie lanie przeniosło się na ulicę i do okalającego te dwa budynki z trzech stron lasku.

Od południa zaczęło się uspokajać. Dzieci wracały do domu na obiad. W telewizji zaczęto wyświetlać „Gwiezdne wojny". Przed telewizorami zasiedli mali i duzi, młodzi i dorośli. Tych setek par oczu miało za chwilę zabraknąć przy prawdziwym dramacie.

Najpierw zapalił się niedaleko osiedla gaik. Pobiegły tam pozostający na powietrzu dzieci. Któż w tym wieku nie lubi oglądać strażaków w akcji!

Piotrek i Agnieszka byli dziećmi, o których się mówi, że mają indywidualności.

Pożar ich nie zafrapował. Film ich nie zainteresował. Chciały nadal przebywać na świeżym powietrzu. Babcia i 26-letnia mama przystały na to (tato był w pracy). Dzieci były grzeczne, nigdy nie oddalały się na większą niż 50—100 metrów odległość od domu. Zresztą zawsze przy nich była któraś z dwóch oddanych bliźniakom sercem i duszą opiekunek. Tym razem, i właściwie tylko tym razem, pozwolono chłopczykowi i dziewczynce na te kilkanaście minut brykania bez pary czujnych oczu.

Film się właśnie w telewizji zaczynał, gdy jedna z sąsiadek otwierała drzwi znajomym, uspokajając ich, że niewiele jeszcze z fabuły stracili. Na schodach dostrzegła bawiącą się Agnieszkę. Wraz ze swoim braciszkiem rozpoznawani byli przez wszystkich z daleka. Takich czapek poza nimi nie nosił nikt.

Przez następne minuty kilka jeszcze osób zerkających na uliczkę miało możliwość widzieć dwoje dzieci. Jak do tej pory nie znalazł się już nikt, kto widziałby je później żywe.

Symbolem tego dnia jest woda i wokół tego żywiołu toczyła się z pewnością między bliźniakami zabawa. Najprawdopodobniej miały ze sobą dyngusówki, a być może nawet i jakieś naczynia. O precyzję tu trudno, gdyż po przedpołudniowej bitwie wodnej między dziećmi mogły poniewierać się wokół zabawki do polewania.

Jeśli przyjąć, że Agnieszka i Piotrek byli pod urokiem dnia powszechnego polewania się wodą, to pomysł ich wspólnej zabawy mógł właśnie jej dotyczyć. Nie dowiemy się tego nigdy, tak jak niemożliwością jest ustalenie, co się z nimi naprawdę stało. 250—300 metrów od miejsca, w którym ostatni raz były widziane, płynie rzeczka.

Biała Przemsza jest w tym rejonie uregulowana.

Obmurowana z dwóch stron i przegrodzona śluzą należącą do Elektrowni Jaworzno III. Tabliczka „Wstęp wzbroniony" zabrania, ale tylko tym którzy umieją czytać. Młodsi nie mają nawet pojęcia, że wkraczają na teren niedozwolony.

Droga, a raczej ścieżka w pobliże śluzy wiedzie poprzez maleńki las. Tuż za nim ciągnie się płot ze stalowych belek do połowy wkopany w ziemię. Skorodowany metal przybrał brązową barwę i doskonale nadaje się do rysowania. Czy któreś z widniejących tu rysunków są ostatnim dziełem bliźniaczków? A może dzieci biegnąc po wodę (jedna z hipotez) w ogóle nie zatrzymały się w tym miejscu, chcąc jak

6

Adres redakcji:
90-113 Łódź, ul. Henryka Sienkiewicza 3/5.
Telefony: redaktor naczelny 36-52-44,
sekretarz redakcji,
fotoreporter: 36-80-99,
publicyści: 36-77-70, 32 89-70
Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski.
Zastępca redaktora naczelnego: Edmund Lewandowski.
Sekretarz redakcji: Grażyna Olechnowicz.
Kierownik działu literackiego: Henryk Pustkowski.
Redaktor techniczny: Janusz Kozłowski.
Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Andrzej Gębarowski, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Zofia Kędziora, Marek Koprowski, Mirosław Kuliś, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Paweł Tomaszewski, Marian Zdrojewski.
Grafik: Janusz Szymański Glanc.
Fotoreporter: Grzegorz Gałasiński.
Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk.
Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski, Marek Brzeziński (Londyn), Bohdan Gadomski, Grzegorz Gazda, Andrzej Karolczak, Witold Kasperkiewicz, Andrzej Kempa, Wasyl Kocznow (Iwanowo), Włodzimierz Krzemiński, Bogumił A. Makowski, Zenon J. Michalski, Ryszard Nakonieczny, Adam Ochocki, Jerzy Panasewicz, Dariusz Romanowicz, Maciej Świerkocki

Ogłoszenia: Biuro Reklam i Ogłoszeń Łódź, ul. Sienkiewicza 3/5 tel 32-59-11.

Organizacja reklamy: **Andrzej Bartosiewicz** tel 36-80-99.

Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa-Książka-Ruch" 91-103 Łódź, ul Sienkiewicza 3/5

DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch", Łódź, ul. Armii Czerwonej 28

Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: 1. Dla instytucji i zakładów pracy — zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch", opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli. 2. Dla indywidualnych prenumeratorów — osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli, osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora Wpłaty dokonuje się używając blankietu „wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa-Książka-Ruch" 3. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw. ul Towarowa 23, 00-958 Warszawa, konto PKO BP XV Oddział w Warszawie nr 1658-201045-139-11 Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następny — do dnia 1 każdego miesiąca — poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.

Zam. 1145. D-10.

Przegląd prasy

Nie wiemy dziś, czym będzie Niezależny Samorządny Związek Zawodowy „Solidarność"? A czym był przed wprowadzeniem stanu wojennego? Kogo wówczas reprezentował? Socjolog Jacek Kurczewski pisze w miesięczniku „WIĘŹ" (nr 2), że trudno jednoznacznie ustalić tożsamość „Solidarności". Nie był to ruch ani robotniczy, ani inteligencki. W rzeczywistości wyrażał interesy nowej klasy średniej.

Polska nowa klasa średnia powstała w wyniku awansu ekonomicznego i kulturowego milionów ludzi pracy w Polsce Ludowej. Zatarły się różnice między robotnikami wykwalifikowanymi i pracownikami umysłowymi. Obie grupy znalazły się w podobnej sytuacji. W dalszym awansie zostały zablokowane przez zamknięty charakter klasy rządzącej i przez zahamowanie rozwoju społecznego.

Tradycyjny podział społeczeństwa polskiego na inteligencję, robotników i chłopów stracił już sens. Podobną pozycję i poglądy mają bowiem inteligenci nie sprawujący funkcji kierowniczych oraz robotnicy wykwalifikowani i wielkoprzemysłowi (specjalista tokarz, spawacz, górnik). Tworzą oni jedną klasę, która różni się od grupy rządzącej oraz chłopów i robotników niewykwalifikowanych (sprzątaczka, palacz, kopacz na budowie). Najbardziej upośledzeni materialnie i towarzysko są ci ostatni: *„wydziedziczeni i wykorzenieni proletariusze Polski Ludowej"*.

Najliczniejszą kategorią wśród członków NSZZ „Solidarność" byli robotnicy wykwalifikowani, a następną pracownicy umysłowi bez wyższego wykształcenia. Natomiast rzadziej byli reprezentowani robotnicy niewykwalifikowani i pracownicy z wyższym wykształceniem. Trzy czwarte związkowców zajmowało w pracy stanowiska szeregowe, około 20 proc. pośrednie, a 4 proc. pełniło funkcje kierownicze niższej lub wyższej rangi. W innym ujęciu: najbardziej popularny był związek wśród ludzi między 20 a 29 rokiem życia oraz wśród mieszkańców miast liczących ponad 20 tysięcy osób. Nigdy jednak „Solidarność" nie ogarniała całego społeczeństwa.

„Nadal trzymam się poglądu, że „Solidarność" najlepiej wyrażała interesy stworzonej wieloletnim wysiłkiem socjalizmu nowej klasy średniej; ludzi, którzy uzyskali wykształcenie, kwalifikacje, a co ważniejsze, aspiracje do zajmowania w społeczeństwie miejsca odpowiadającego posiadanemu wykształceniu i posiadanym kwalifikacjom, a jednocześnie zostali zepchnięci przez system tzw. nomenklatury na stanowiska drugorzędne, a przez system scentralizowanego zarządzania zostali pozbawieni tego, co nadaje sens życiu i pracy i w ogóle w działaniu publicznym, a więc poczucia odpowiedzialności za swoje i cudze postępowanie".

W przyszłości można się spodziewać przyspieszonej proletaryzacji setek tysięcy rodzin inteligenckich, urzędniczych i robotniczych. A zagrożenie własnego bytu może nie tylko hamować, lecz nawet niszczyć solidarność interesów tych grup...

Czytelników zainteresowanych, jak w 1988 roku wyglądały dochody, koszty utrzymania, wydatki i spożycie w gospodarstwach domowych, odsyłam do materiału opublikowanego w dzienniku „RZECZPOSPOLITA" (nr 90). Z danych GUS wynika, że przeciętne miesięczne dochody na jedną osobę wynosiły w gospodarstwach pracowniczych — 32 tys. zł, robotniczo-chłopskich — 33 tys. zł, chłopskich — 35,5 tys. zł, emerytów i rencistów — 25,7 tys. złotych.

Ważniejsze znaczenie ma struktura gospodarstw domowych według miesięcznych dochodów na jedną osobę. Podaję dane dla ludności pracowniczej oraz emerytów i rencistów (w nawiasach): poniżej 14 tys. zł — 2,6 proc. (9,6); 14—22 tys. zł — 21,3 proc. (31,2); 22—30 tys. zł — 29,6 proc. (32,1); 30—38 tys. zł — 20,6 proc. (16,2); 38—46 tys. zł — 11,8 proc. (6,7); 46—50 tys. zł — 3,8 (1,6); ponad 50 tys. zł — 10,3 proc. (2,6) ogółu gospodarstw domowych.

Na żywność wydawano w gospodarstwach pracowniczych 39,0 proc. dochodów, w robotniczo-chłopskich — 39,6 proc. chłopskich — 40,3 proc., emerytów i rencistów aż 50,3 proc. Na napoje alkoholowe przeznaczono 10,4 proc. wydatków w gospodarstwach pracowniczych, 11,9 proc. robotniczo-chłopskich, 13,0 proc. chłopskich i tylko 2,4 proc. dochodów w gospodarstwach emerytów i rencistów.

NIEROWNOŚCI KULTURALNE

O innego rodzaju podziałach w naszym społeczeństwie pisze na łamach miesięcznika „WIEŚ WSPÓŁCZESNA" (nr 1) Zbigniew Kwieciński. Przedstawia on poziom rozumienia czytanych tekstów przez uczniów klas pierwszych szkół ponadpodstawowych. Badania wykazały, że udział funkcjonalnych analfabetów w 1986 roku wynosił w dużym mieście 17 proc., a na wsi 28 proc. Przy czym w latach 1972—1986 odnotowano spadek analfabetyzmu w mieście o 12 proc., zaś na wsi o 23 procent.

W obrębie poszczególnych warstw społecznych uzyskano różne wyniki. W kategorii wysokich rezultatów testu znalazło się 60 proc. dzieci inteligencji, 39 proc. pracowników umysłowych i usług prywatnych, 34 proc. pracowników usług, 25 proc. dzieci robotników wykwalifikowanych, 21 proc. chłopów-robotników, 18 proc. chłopów i tylko 13 proc. robotników niewykwalifikowanych.

„Wyodrębniły się zatem cztery wyraźne poziomy kompetencji kulturowych sprzęgnięte z przynależnością do struktury społecznej: wysoki (inteligencja), średni wyższy (pracownicy umysłowi, pracownicy usług), średni (robotnicy wykwalifikowani, chłopi-robotnicy) i niski (chłopi, robotnicy niewykwalifikowani i renciści)".

W latach 1972—1986 silnie awansowały kulturowo dzieci robotników wykwalifikowanych. Zmniejszyły one dystans dzielący od dzieci inteligencji i pracowników umysłowych, dochodząc do poziomu średniego dla całej zbiorowości młodzieży (27 proc. ocen wysokich).

OPOZYCJA W POLSCE LUDOWEJ

Społeczeństwo nasze jest także zróżnicowane pod względem politycznym. Powstają nowe kluby, stowarzyszenia i partie. W specjalnym wydaniu monotematycznym „REPORTERA" (cena 290 zł) można przeczytać chyba wszystko najważniejsze o opozycji w Polsce Ludowej. Oprócz NSZZ „Solidarność" i innych znanych ugrupowań, działają również nie zarejestrowane: Polska Partia Socjalistyczna, Polska Partia Zielonych, Polskie Stronnictwo Ludowe, Ruch Wolnych Demokratów, Ruch „Wolność i Pokój", Narodowe Odrodzenie Polski, Ruch Młodej Polski, Ruch Polityki Realnej, Polski Związek Wspólnoty Narodowej, Niezależne Zrzeszenie Studentów, związki akademickie „Młoda Polska" w Poznaniu i „Verbum" w Gdańsku, Liga Akademicka w Warszawie. Niektóre z nich są bliskie ideowo, inne przeciwstawne. W niektórych już pojawiły się sprzeczności i podziały.

Ktoś powiedział, że w NSZZ „Solidarność" jest więcej rozmaitych grup i środowisk niż poza nim. W kwietniu 1982 r. powstała tymczasowa Komisja Koordynacyjna, a cztery lata później równoległa tymczasowa Rada „Solidarności". Obie uznały przewodnictwo Lecha Wałęsy. W obawie przed rozbiciem związku na przełomie 1987 i 1988 roku stworzono wspólną Krajową Komisję Wykonawczą kierowaną przez Lecha Wałęsę. Ale dwa lata temu zawiązała się jeszcze Grupa Robocza Komisji Krajowej, która pragnie przywrócić dawną Komisję Krajową. Jednakże spośród członków KK wybranych w 1981 roku ponad 50 proc. wyemigrowało z Polski.

Według dr Janusza Onyszkiewicza na koniec 1988 r. „Solidarność" miała od 700 tys. do 1 mln członków. Tyle osób płaciło wówczas składki. Trudno dziś powiedzieć, czy związek powtórzy swój sukces liczebnościowy z 1981 roku. Członek sekretariatu KKW i doradca Lecha Wałęsy, dr Lech Kaczyński, szacuje następująco:

„To już inna sytuacja niż w Sierpniu '80. Oceniam, że gdybyśmy otrzymali szansę legalnego funkcjonowania, liczba członków rozłożyłaby się mniej więcej tak: 4—5 milionów w „Solidarności", 4—5 milionów w związkach OPZZ i 4—5 milionów w ogóle poza związkami".

W 1988 roku — jak podał dr hab. Andrzej Rychard — za działalnością więcej niż jednego związku zawodowego w zakładzie pracy opowiedziało się 49 proc. Polaków, a przeciwko 23 procent. Popierało ten postulat 58 proc. robotników wykwalifikowanych, 56 proc. specjalistów, 51 proc. mieszkańców miast, 43 proc. członków związków zawodowych, 40 proc. członków PZPR. Na pytanie — jaką władzę powinna mieć w Polsce PZPR? — odpowiadano następująco: większą — 11 proc., taką samą jak teraz — 23 proc., mniejszą lub żadną — 33 proc., a reszta nie miała zdania. Z biegiem lat maleje odsetek zdecydowanych przeciwników umocnienia roli PZPR i wzrasta odsetek niezdecydowanych.

Często odnoszę wrażenie, że ludzie w Polsce najchętniej angażują się w przedsięwzięcia zabronione przez władzę. Natomiast mniej interesują ich działania dozwolone. Świadczy o tym m.in. fakt, który przytoczył w tygodniku „WPROST" (nr 17) Leszek Łuczak.

„Ostatnie wybory parlamentu studenckiego Uniwersytetu im. A. Mickiewicza, w czasie których studenci mogli wybierać w przeróżnych organizacjach jak w ulęgałkach, ujawniły stosunek studentów do demokracji. Frekwencja wyborcza osiągnęła 10 procent uprawnionych".

W wydawanym we Frankfurcie nad Menem emigracyjnym piśmie „Przegląd Tygodnia" Leszek Łuczak przeczytał niedawno, że partia i naród polski nie są jeszcze przygotowane do prawdziwej demokracji typu zachodniego. Gdyby taką demokrację wprowadzono, to prawdopodobnie Polska przeszłaby od rządów komunistycznych do faszystowskich...

SZANSE PARTII I SOCJALIZMU

W wywiadzie udzielonym tygodnikowi „POLITYKA" (nr 16) działacz opozycji, doradca Lecha Wałęsy, prof. Bronisław Geremek mówi, że właśnie teraz PZPR stoi przed niezwykłą szansą stania się partią rzeczywistą, której celem nie będzie tylko konserwowanie władzy. Słabość PZPR stwarza możliwość przetworzenia się. Szansą jest również socjaldemokratyzacja partii komunistycznej, ale grozi to utratą władzy i egzystencji.

Z kolei w tygodniku „KULTURA" (nr 16) Kazimierz Krzysztofek zastanawia się, co pozostanie z socjalizmu? Szyld, czy coś więcej? Pisze on między innymi:

„Socjalizm był pierwszą w dziejach cywilizacji przemysłowej antropocentryczną teorią i ideologią, wcześniejszą od chrześcijańskiego personalizmu i wszelkich humanistycznych prądów mieszczańskich. Przez cały wiek XX nie udało mu się tego urzeczywistnić. Może przyjdzie nań czas w następnym stuleciu. (...)

Niezgoda na nierówności, niesprawiedliwość, nędzę i zinstytucjonalizowaną krzywdę społeczną jest piękną ideą moralną. Ale jeśli głosiciele takiej idei obiecują, że zetrą te patologie z powierzchni Ziemi, to są to obietnice nie do spełnienia. Jeśli można mówić o skazach genetycznych w odniesieniu do ustrojów, to taką skazą socjalizm jest obciążony".

Socjalizm musi dziś naprawić wszystko to, co zepsuł w dążeniu do celów maksymalnych. A równocześnie musi szukać nowych rozwiązań zgodnych ze swą etyką.

E. L.

Co dalej z Biblioteką Miejską im. L. Waryńskiego?

Odpowiada ELŻBIETA PAWLICKA, dyrektor MBP im. L. Waryńskiego.

W szesnastym numerze „Odgłosów" ukazał się list otwarty do Prezydenta Miasta Łodzi poruszający problemy Miejskiej Biblioteki Publicznej, była w nim też zawarta prośba o pomoc w uruchomieniu zamkniętej od dwóch miesięcy biblioteki — przydział lokalu, w którym można by umieścić książki z konieczności przechowywane w paczkach w Czytelni Ogólnej.

Jako kierownik chcę potwierdzić opisany stan i trudności lokalowe.

17 kwietnia 1989 roku Miejska Biblioteka Publiczna została po dwumiesięcznej przerwie znów otwarta dla czytelników. Chętni korzystać mogą z zasadniczych zbiorów, Wypożyczalni Lektur Studenckich, Czytelni Naukowej i Czytelni Czasopism. Nadal niestety pozostaje zamknięta część biblioteki zajmująca dotąd budynek po kawiarni „Biblioteczna", gdzie były Zbiory Regionalne i Zbiory Specjalne. Szkoda, bo są to zbiory bardzo cenne, a czytelnicy często do nich sięgają, tym bardziej że w innych bibliotekach publicznych Łodzi tego typu zbiorów po prostu się nie gromadzi.

Budynek po kawiarni musi zostać poddany remontowi, poza tym będzie musiał zmienić swoje przeznaczenie, bo jak się okazało wytrzymałość jego stropów nie odpowiada wymaganiom stawianym przed stropami pomieszczeń bibliotecznych (było tam dwukrotne przeciążenie).

Paczki z książkami zostały wywiezione, (co pozwoliło otworzyć ponownie bibliotekę) do lokalu, który udało się uzyskać w Zakładach Graficznych „Intropa". Tam zgodnie z umową mogą być przechowywane przez dwa lata.

Wiceprezydent Miasta Łodzi mgr Janusz Urbaniak zobowiązał Wydział Spraw Lokalowych, aby w najbliższym czasie znalazł inny lokal, gdzie już na stałe przeniesiemy książki.

Bibliotece polecił prezydent przygotowanie projektu dobudowy nowych pomieszczeń do biblioteki na posiadanj działce. Jednak Wydział Gospodarki Komunalnej analizując lokalizację biblioteki, wstępnie zdecydował, że nie jest to możliwe ze względu na wymagania przeciwpożarowe (pozostawienie drogi pożarowej i brak wymaganej odległości od budynku przedszkola).

Biblioteka nie ma funduszy. Zwróciliśmy się do naczelników dzielnic o wsparcie w wysokości 5 milionów złotych (razem dałoby to 25 milionów złotych). Nasz apel o pomoc materialną pozostał bez odpowiedzi. Jak dotąd.

Jak z tego widać przed Miejską Biblioteką Publiczną nie ma zbyt optymistycznych perspektyw.

Chciałabym na łamach „Odgłosów" podziękować Przyjaciołom Biblioteki, naszym Czytelnikom, organizacjom społecznym, Towarzystwu Przyjaciół Biblioteki za wszystkie interwencje w tej sprawie.

Zanotowała:
ZOFIA KĘDZIORA

W najbliższych numerach „Odgłosów"

- **Kościół św. Brygidy w Gdańsku otoczony jest uliczkami o dźwięcznych i wdzięcznych nazwach. Przed wejściem, obok drzwi głównych, wiszą oszklone gabloty, a w nich liczne druki, ulotki i gazetki, które potwierdzają znaną w Polsce opinię, że jest to Mekka opozycji. Są tu punkty konsultacyjne wielu organizacji i stowarzyszeń. Na parkingu i dziedzińcu oddzielającym budynek kościoła od plebanii kręcą się przez cały dzień barczyści mężczyźni. W nocy też dyżurują — reportaż MARKA KOPROWSKIEGO.**
- **Na każdym spotkaniu mówimy ludziom: nie sądźcie, że legalizacja NSZZ „Solidarność" zapełni wam kieszenie i garnki. Ona tylko przyspieszy konieczne przemiany. Będziemy o nie walczyć. Liczymy, że w tej walce załogi okażą rozsądek — rozmowa z działaczami NSZZ „Solidarność" Ziemi Łódzkiej — przewodniczącym Regionalnej Komisji Organizacyjnej, RYSZARDEM KOSTRZEWĄ, zastępcą przewodniczącego — PIOTREM MATERĄ i rzecznikiem prasowym — PAWŁEM LIPSKIM.**
- **Jan Duch posiada trzy wyrównywacze: dwa rewolwery i jeden pistolet. Wyrównywacze rozmieszczone są strategicznie: jeden w schowku na desce rozdzielczej, drugi obok łóżka, trzeci pod pachą. Nie zawsze Duch obarcza się tym ciężarem, ale kiedy nocą udaje się do klubów, kiedy jedzie z Kanady do Stanów Zjednoczonych, to kopyto musi być. I kilka razy się przydało — najnowsza książka ANDRZEJA BRYCHTA.**
- **Gejsza zdjęła apaszkę i włożyła ją do torebki. Wiedziała, że goście obserwują każdy jej ruch. Zawsze tak było! Gdziekolwiek by weszła, mężczyźni gotowi byli drzeć się o nią pazurami, kocury przeklęte! Dlatego właśnie nie lubiły jej kobiety. Nie miała koleżanek. Chwilami podejrzewała o zazdrość własną matkę, gdy przytulała się do ojca — dalczy ciąg sensacyjnej powieści ANDRZEJA MAKOWIECKIEGO.**
- **Gdy patrzę na twarze zgromadzonych tutaj, widzę samych znajomych. Przypominam sobie wspaniałe chwile, gdy jeszcze jako organista chodziłem z opłatkiem po waszych domach, albo na ambonie uczyłem was śpiewać pieśni. A i za stołem prezydialnym siedzą przecież moi przyjaciele z parafii — reportaż ZOFII KĘDZIORY.**
- **Armia „Łódź", dysponowała dwoma pociągami pancernymi: ciężkim pociągiem nr 52 „Piłsudczyk" i ciężkim pociągiem pancernym nr 53 „Śmiały". Każdy z nich dysponował dwoma działami 75 mm — artykuł LUCJUSZA WŁODKOWSKIEGO.**

Edward Próchniak i inni polscy komuniści nie mogli wtedy uwierzyć, że oskarżani są fałszywie, myśleli, że to tylko pomyłka.

Ufali bezgranicznie

PAWEŁ SAMUŚ

Urodził się 4 grudnia 1888 r. w Puławach, gdzie jego ojciec **Andrzej Próchniak** był portierem na stacji kolejowej. Z czworga rodzeństwa Edwarda, dwoje najmłodszych, Feliks i Władysława, z czasem również aktywnie uczestniczyło w ruchu rewolucyjnym. Pracował od 12 roku życia, najpierw jako goniec w urzędzie gminnym, a następnie biuralista w kancelarii Instytutu Gospodarstwa Wiejskiego i Leśnictwa w Puławach. Tu poprzez studentów Instytutu zetknął się z literaturą rewolucyjną i działaczami socjalistycznymi, a w 1903 r. wstąpił do miejscowej organizacji SDKPiL.

W latach rewolucji 1905—1907 brał udział w przygotowaniach do nieudanego powstania zbrojnego żołnierzy garnizonu puławskiego, działał w „technice" partyjnej i komitecie okręgowym SDKPiL w Zagłębiu Dąbrowskim i Radomiu. Wtedy został „nielegalnikiem" i funkcjonariuszem partii, a przybrany przezeń pseudonim „Sewer" zrósł się trwale z jego osobą. Aresztowany dwukrotnie spędził ponad rok w więzieniach, lecz zesłany na Syberię w sierpniu 1907 r., uciekł stamtąd natychmiast. Schronił się w Krakowie, gdzie pracował jako robotnik, uczył się i działał w miejscowej komórce partii. Od listopada 1909 r. przebywał znów nielegalnie w Królestwie Polskim, działając kolejno w Łodzi i Zagłębiu Dąbrowskim. Latem 1911 r. był uczniem słynnej szkoły Socjaldemokratycznej Partii Robotniczej Rosji w Longjumeau pod Paryżem, gdzie słuchał m.in. wykładów Włodzimierza Lenina.

Aresztowany po raz czwarty w Łodzi w lipcu 1912 r., skazany został na 8 lat katorgi. W carskich więzieniach spędził łącznie 6 i pół roku, a pobyt w celi więziennej stał się jego szkołą i uniwersytetem.

Uwolniony przez rewolucję lutową z moskiewskich Butyrek, tak jak inni socjaldemokraci polscy popierał bolszewików w walce o dalsze przeobrażenia demokratyczne w Rosji, uczestniczył w listopadowym moskiewskim powstaniu zbrojnym w 1917 r. Potem pełnił ważne funkcje w Komisariacie Polskim, organizując pomoc dla polskich uchodźców wojennych i ich repatriację do kraju, ratując skarby polskiej kultury narodowej. Należał wtedy również do ścisłego kierownictwa organizacji SDKPiL w Rosji.

Do niepodległej Polski powrócił w grudniu 1918 r.

Objął kierownictwo Wydziału Wojskowego KC KPRP, ale w listopadzie 1919 roku został aresztowany i osadzony w X Pawilonie Cytadeli Warszawskiej. Po sześciu miesiącach w drodze wymiany więźniów politycznych przekazany do Rosji Radzieckiej. Kiedy w czasie wojny polsko-radzieckiej powstał Tymczasowy Komitet Rewolucyjny Polski, został jego sekretarzem. Był jednym z romantyków rewolucyjnych zafascynowanych wizją bliskiego już, jak sądzili wtedy komuniści, światowego przewrotu socjalistycznego. Pragnął tak jak oni, by Polska stała się pomostem łączącym rewolucję w Rosji i Niemczech.

Latem 1921 r. uczestniczył wraz z całą delegacją KPRP w obradach III Kongresu Międzynarodówki Komunistycznej (MK), rozpoczynając wtedy wieloletnią działalność na forum tej organizacji. Wkrótce został przedstawicielem partii przy Komitecie Wykonawczym MK i członkiem tej instancji. Wielokrotnie był wybierany do najwyższych władz Międzynarodówki, po raz ostatni na VII kongresie w 1935 r.

Edward Próchniak wraz z **Marią Koszutską, Adolfem Warskim, Henrykiem Waleckim** i **Henrykiem Lauerem**, z którymi był zaprzyjaźniony, tworzył w KPRP grupę przywódczą. Byli oni autorami przyjętej na II Zjeździe KPRP (1923) nowej koncepcji rewolucji polskiej. Wobec kontrowersji z sekretarzem generalnym KC partii rosyjskiej i przywódcami III Międzynarodówki cała ta grupa została odsunięta od kierownictwa i pracy w partii pod bezzasadnym zarzutem „prawicowego oportunizmu" w lipcu 1924 r.

Już po roku Edward Próchniak jednak powrócił do kierownictwa partii wraz z przezwyciężeniem w niej kryzysu ultralewicowego. Odgrywał wówczas w KPł wybitną rolę, jako sekretarz generalny i członek Biura Politycznego KC partii. W toku dyskusji jaka rozgorzała w KPP na tle oceny jej stanowiska wobec przewrotu majowego w 1926 r. i przerodziła się w walkę frakcyjną, Próchniak był jednym z przywódców „większości". Na tle skłonnej do postaw dogmatycznych i sekciarskich frakcji „mniejszości", zajmował bardziej realistyczne stanowisko w sprawie oceny sytuacji politycznej, zadań partii i jej taktyki, zasad organizacyjnych i form działania. Jednak i on wraz ze swoją grupą wykazywał skłonności do przeceniania wagi czynnika subiektywnego, a ponadto w atmosferze wzajemnego wypominania sobie błędów pozwolił się zepchnąć na pozycje sekciarskie.

Po przejęciu kierownictwa w KPP przez działaczy „mniejszości" z **Julianem Leńskim** na czele przez pewien czas pozostawał na dalszym planie, ale potem znów zaczął odgrywać czołową rolę we władzach partii, będąc do końca jej istnienia członkiem Biura Politycznego.

Tryb życia „zawodowego rewolucjonisty" pełniącego wysokie funkcje w ruchu komunistycznym nie zmienił się w sposób istotny w porównaniu z tym jaki prowadził w latach młodości. Pozostał Edward Próchniak tułaczem, zmuszonym do przebywania na emigracji, m.in. w Moskwie, Berlinie, Kopenhadze i Pradze, borykającym się z poważnymi kłopotami materialnymi, człowiekiem, w którego życiu pozostawał zaledwie wąski margines na życie prywatne. W małżeństwie z **Teodorą z Mandelkornów**, nauczycielką z zawodu, miał córkę Zofię i syna Andrzeja.

Edward Próchniak należał do tej grupy, która jeszcze przed VII Kongresem Międzynarodówki Komunistycznej opowiadała sie za rewizją sekciarskiej linii politycznej.

Przy jego udziale w 1936 r. dokonała się ewolucja linii politycznej KPP, która zaczęła eksponować obok idei jednolitego i ludowego frontu, także postulat mobilizacji wszystkich sił do obrony niepodległości Polski zagrożonej ze strony Niemiec hitlerowskich.

W 1931 r., wkrótce po przybyciu na emigrację do ZSRR, został aresztowany przez radzieckie organa bezpieczeństwa **Sylwester Wojewódzki**, znany wówczas działacz ruchu chłopskiego i komunistycznego. W latach 1933—1934 zostali tam zatrzymani i skazani inni komuniści polscy. Byli wśród nich wybitni działacze KPP: **Jerzy Czeszejko-Sochacki, Wacław Wróblewski, Tadeusz Żarski**, jego żona **Zofia Maciejowska-Żarska**, oraz poeta i dramaturg **Witold Wandurski**. Oskarżono ich bezpodstawnie o współpracę z obozem piłsudczykowskim i PPS, pełnienie funkcji agentów II Oddziału Sztabu Głównego Wojska Polskiego i polskiej policji politycznej, a wreszcie o wykonywanie na polecenie tych ośrodków zadań prowokatorskich w radykalnym ruchu chłopskim i komunistycznym. Ponadto przeciwko Jerzemu Czeszejce-Sochackiemu i grupie innych komunistów polskich żyjących na Ukrainie Radzieckiej wysunięto fałszywe zarzuty o ich działalności dywersyjnej.

W tej sprawie prawdopodobnie był na krótko zatrzymany i przesłuchiwany także **Leon Purman**, pełniący przez wiele lat kierownicze funkcje w KPP, działacz Komitetu Wykonawczego Kominternu i Czerwonej Międzynarodówki Związków Zawodowych. Nie mogąc dopomóc towarzyszom, ani pogodzić się z tak drastycznymi przejawami bezprawia, zastrzelił się w Moskwie 5 grudnia 1933 r. **Edward Próchniak** uczestniczył w uroczystym pogrzebie **Leona Purmana**. Nie wiemy jednak, czy wiedział, lub przynajmniej domyślał się, jakie motywy skłoniły bliskiego mu towarzysza do desperackiego czynu, będącego sygnałem ostrzegawczym przed zbliżającą się katastrofą.

Wcześniej bowiem uczestnicy II plenum KC KPP (IX 1933), a wśród nich także Edward Próchniak, uznali za prawdziwe oskarżenia pod adresem współtowarzyszy i przyjęli bezkrytycznie, prawdopodobnie pod wpływem sugestii przedstawicieli władz radzieckich, fałszywą tezę, o rzekomym przedostaniu się do partii „agentury piłsudczyzny". Nie posiadamy informacji, aby Edward Próchniak kwestionował

Edward Próchniak

oficjalne stanowisko kierownictwa partii w sprawie rzekomej prowokacji, przeciwnie, z pewnością je akceptował. Zostało ono wyrażone w specjalnych komunikatach jej Komitetu Centralnego, szerzej rozwiniętych w artykule Alberta **(Wiktora Żytłowskiego)** pt. „U źródeł prowokacji peowiackiej", opublikowanym na łamach organu partyjnego („Nowy Przegląd" IX—X 1934). Autor usiłował dowieść, że przywódcy PPS i piłsudczykowskiej POW, jakoby dawno już mieli nasłać swoich ludzi do KPP, aby realizowali tam zadania prowokatorskie, organizowali akcje szpiegowskie i dywersyjne przeciwko ZSRR. Jak dziś wiadomo, fałszywa teza o rzekomej agenturze została powtórzona w ślad za oskarżeniem spreparowanym przez radzieckie organa bezpieczeństwa.

Aresztowania Polaków przebywających w ZSRR trwały i w 1935 roku.

Wśród aktywistów KPP na emigracji wywołało to zaniepokojenie, zrodziła się psychoza izolacji i niepewności jutra. Krążyły pośród nich nawet wieści o zatrzymaniu jakoby na krótko przez radzieckie organa bezpieczeństwa sekretarza generalnego partii **Juliana Leńskiego**, przed końcem 1935 r. Nastroje obaw i niepokoju wyczuwa się w autobiografiach, które czołowi działacze polskiej partii pisali wtedy dla odpowiednich instancji Kominternu w związku z odbywającą się weryfikacją kadr. Czytając dziś te życiorysy można odnieść wrażenie, że ich autorzy starali się przede wszystkim dowieść swej prawomyślności politycznej, braku jakichkolwiek związków z polską policją i służbami wywiadowczymi. Trzeba przyznać, że takich akcentów pozbawiona była autobiografia Edwarda Próchniaka, który bodaj jako jeden z nielicznych napisał ją rzeczowo i spokojnie.

Jak wynika z opublikowanych ostatnio ustaleń polskiego historyka (H. Cimek), który całkiem niedawno uzyskał dostęp do niektórych materiałów Międzynarodówki Komunistycznej w archiwum w Moskwie, już na przełomie 1935 i 1936 r. Józef Stalin planował rozwiązanie KPP. Próbował wtedy przekonać władze Kominternu o konieczności podjęcia takiej decyzji wobec polskiej partii, jego zdaniem „zaśmieconej prowokatorami". Józef Stalin skupił w swym ręku najwyższą władzę. Od XVII zjazdu WKP(b) sprawował w istocie rządy absolutne. Pozycję swoją wykorzystał do podporządkowania sobie kierownictwa Międzynarodówki Komunistycznej, traktując instrumentalnie tę organizację, na której forum obowiązującym stał się kanon nieomylności poglądów Józefa Stalina. Sekretarzem generalnym Komitetu Wykonawczego MK był **Georgi Dymitrow**, bułgarski komunista, bohater procesu lipskiego, uwolniony z rąk hitlerowców m.in. dzięki staraniom samego Stalina, cieszący się też jego zaufaniem i sympatią.

Zdaniem **Henryka Cimka** to właśnie **Georgi Dymitrow** stanął w obronie KPP. Kierownictwo Kominternu ograniczyło się do wydania zalecenia dla KC KPP (I 1936) w sprawie weryfikacji kadr i oczyszczenia organizacji z „prowokatorów i agentów wroga klasowego".

W miesiąc później odbyło się IV Plenum KC KPP, w którego obradach **Edward Próchniak** odegrał aktywną rolę. Na tym posiedzeniu wydalono z kierownictwa partii kilku działaczy pod fałszywym zarzutem działalności agenturalnej i nacjonalistycznej. W przyjętej uchwale podtrzymano wcześniej sformułowaną absurdalną tezę o wieloletniej działalności „agentury peowiacko-defensywiackiej" w partii. Przeprowadzono wkrótce także weryfikację kadr partyjnych od najwyższego do najniższego szczebla.

Od połowy 1936 r. obserwujemy uspokojenie w środowisku polskich działaczy komunistycznych na emigracji. Sytuacja ich stawała się jednak coraz trudniejsza. Usankcjonowanie w

Sylwester Wojewódzki

uchwałach partyjnych fałszywych oskarżeń pod adresem aresztowanych współtowarzyszy, a w dodatku powtarzanie bezkrytyczne nieprawdziwych zarzutów o rzekomo prowokatorskiej roli w ruchu robotniczym niektórych działaczy PPS (tzw. sprawa **Zygmunta Zaremby**) — opierano je, jak później się okazało, na materiałach spreparowanych przez radziecki aparat bezpieczeństwa — pociągnęło za sobą utratę zaufania do przywódców KPP nie tylko w partii socjalistycznej. W środowiskach polskich komunistów panowało wówczas bezgraniczne, niemal ślepe zaufanie do władzy radzieckiej i kierownictwa WKP(b). Nie sprzyjało to kształtowaniu krytycznych i obiektywnych opinii. Możliwości spreparowania fałszywych oskarżeń nie brano w ogóle pod uwagę, mówiono co najwyżej o zaistniałej pomyłce, która mogła spowodować aresztowania.

Dla **Edwarda Próchniaka** i innych komunistów niejako imperatywem kategorycznym stała się gotowość do ponoszenia najwyższych ofiar w imię pierwszego państwa proletariackiego, uznawanego przez nich za ostoję światowej rewolucji socjalistycznej. Kraj Rad stał się dla tych wygnańców politycznych nie tylko miejscem azylu, ale również drugą ojczyzną. Edward Próchniak i jego towarzysze nie mogli jednak nie dostrzegać aż nadto widocznych niespójności w polityce Józefa Stalina, niszczenia przez niego starej kadry bolszewickiej, porażki polityki forsownej kolektywizacji, przejawów łamania praworządności oraz innych objawów patologii władzy w państwie radzieckim. Przywódcy polskiej partii jeszcze przypuszczalnie nie zdawali sobie sprawy z zasięgu tego zjawiska, nie mogli przewidywać dalszych następstw stalinizmu. Byli prawdopodobnie przeświadczeni, że sprawy te miały charakter marginalny i przejściowy. Ponadto z pewnością obawiali się, że ich krytyczna postawa zostałaby odczytana jako poparcie dla trockistów, uznawanych wtedy powszechnie w ruchu komunistycznym za szczególnie niebezpiecznych wrogów państwa radzieckiego. Tak więc V plenum KC KPP, które odbyło się w lutym 1937 r., czyli już po zakończeniu w Moskwie dwóch publicznych procesów politycznych przeciwko tzw. centrum trockistowsko-zinowjewowskiemu i innym wybitnym radzieckim działaczom partyjnym i państwowym oskarżonym o zdradę, bezkrytycznie poparło zarzuty aktu oskarżenia, eksponując ogromne zasługi Józefa Stalina dla rozwoju budownictwa socjalistycznego.

Wieści o aresztowaniach polskich komunistów w ZSRR nasiliły się wiosną 1937 r.

Edward Próchniak, podobnie jak sekretarz generalny KC KPP **Julian Leński** i członek Centralnej Redakcji partii **Jerzy Ryng** przebywali wtedy w Paryżu, gdzie znajdowała się siedziba kierownictwa polskiej partii. Pomimo zrywającej się łączności z ośrodkami zagranicznymi i organizacją krajową docierały do nich sygnały o nowej fali aresztowań w Moskwie.

Na początku czerwca 1937 r. **Jerzy Ryng** wyjechał do ZSRR i został niebawem uwięziony. Wkrótce kierownictwo Kominternu wezwało **Juliana Leńskiego**, którego również aresztowano. W więzieniach radzieckich znajdowało się wtedy wielu wybitnych komunistów polskich.

Edward Próchniak pozostał w Paryżu prawdopodobnie do początku lipca 1937 r. Do Moskwy wyjechał na telegraficzne wezwanie, przypuszczalnie z Komitetu Wykonawczego MK. Zdawał sobie z pewnością sprawę, w jakim celu był wzywany. O jego decyzji przesądziły chyba motywy podobne jak w przypadku komunistów wzywanych z Polski, Hiszpanii i innych ośrodków. Był przeświadczony, że aresztowania działaczy KPP to straszliwe nieporozumienie, które należy niezwłocznie wyjaśnić u przedstawicieli władz radzieckich i w kierownictwie Kominternu. Ufny w praworządność organów tego państwa wyjeżdżał z nadzieją, że zdoła przyczynić się do szybkiego naprawienia tragicznej pomyłki.

Przybył do Moskwy przypuszczalnie 6 lipca 1937 r., lub też, w tej sprawie relacje są sprzeczne, dopiero dwa tygodnie później. Został zatrzymany w dniu przyjazdu lub nazajutrz. Miał wtedy niespełna 49 lat. Prawdopodobnie osadzono go, tak jak innych przywódców KPP, w moskiewskim więzieniu na Łubiance, skąd, jak wynika, z relacji pośrednich świadków, mógł być przewożony na przesłuchania do Butyrek, gdzie też bezskutecznie był zmuszany torturami do składania fałszywych zeznań. **Okoliczności śmierci Edwarda Próchniaka**, tak jak większości jego towarzyszy okrywa jak dotąd zasłona tajemnicy; zginął prawdopodobnie 21 sierpnia 1937 r.

Podzielił tragiczny los całego kierownictwa KPP i jej czołowego aktywu. Aresztowania objęły również komunistów polskich pracujących w radzieckiej administracji państwowej, gospodarce, wojsku, instytucjach kultury, a także ich rodziny.

Jak twierdzi cytowany wyżej Henryk Cimek, **Georgi Dymitrow** zrezygnował z próby ratowania KPP, kiedy przedstawiono mu na polecenie Józefa Stalina akta śledcze zawierające zeznania, zdaniem historyka wymuszone na polskich działaczach, którzy mieli jakoby przyznać się do współpracy z polską policją i wywiadem, oraz do przynależności do organizacji trockistowskiej. Projekt uchwały Komitetu Wykonawczego Międzynarodówki Komunistycznej wysłany 28 listopada 1937 r. do Józefa Stalina uzyskał jego akceptację 2 grudnia wraz z adnotacją takiej oto treści:

„Z rozwiązaniem spóźniliście się o dwa lata. Rozwiązać trzeba, ale publikować w prasie, według mnie, nie należy".

Tak więc Józef Stalin swój cel osiągnął po uprzednim unicestwieniu przywódców KPP i jej kadry przebywającej na emigracji. Trudno dziś przesądzić, czy do rozwiązania polskiej partii dążył on tylko z tych powodów, o których była mowa wyżej, czy też, być może, pozostawało to na przykład w związku z jakimiś planami Józefa Stalina w sferze reorientacji radzieckiej polityki zagranicznej?

Uchwała Prezydium KW MK o rozwiązaniu KPP nosi datę 16 sierpnia 1938 r., ale akcję likwidacji jej organizacji w kraju podjęto już wcześniej.

Dopiero osiemnaście lat później na łamach „Trybuny Ludu" (19 II 1956) opublikowano oświadczenie Komitetów Centralnych PZPR oraz tych partii, których przedstawiciele brali udział w podjęciu decyzji o rozwiązaniu KPP, czyli KPZR, włoskiej, bułgarskiej i fińskiej. Stwierdzano, że koronny zarzut oskarżenia („wroga agentura szeroko przeniknęła do szeregów kierowniczego aktywu partyjnego"), wysunięty podczas likwidacji polskiej partii „oparty był na materiałach sfałszowanych", a rozwiązanie jej było nieuzasadnione.

Tak więc trzy lata po śmierci Józefa Stalina, wraz z przemianami, jakie niósł ze sobą XX zjazd KPZR, możliwe stało się oczyszczenie z fałszywych oskarżeń **Edwarda Próchniaka i innych przywódców KPP, pośmiertna rehabilitacja działaczy i całej partii.**

Lista oficerów Wojska Polskiego pochodzących z Łodzi i okolic zamordowanych w Katyniu.

Skazani na zapomnienie – odzyskani dla pamięci

Wśród oficerów, którzy po przegranej kampanii wrześniowej 1939 r. dostali się do niewoli radzieckiej, znalazła się również kadra z jednostek Wojska Polskiego, stacjonujących w Łodzi i okolicy. Największą spośród nich grupę stanowili oficerowie z **28 Pułku Strzelców Kaniowskich,** w większości zamieszkali przed wojną w Łodzi. Do niewoli na Wschodzie trafili również liczni walczący z innych „łódzkich" jednostek, bądź też zamieszkali w Łodzi, a powołani do służby np. w Piotrkowie Trybunalskim. Dzięki żmudnym wysiłkom środowisk kombatanckich, możemy obecnie, po latach milczenia, poznawać tragiczne losy tych ludzi.

Potrafimy je częściowo odtworzyć, opierając się na dość fragmentarycznych — niestety — informacjach. Wystarczają one jednak, aby uzmysłowić sobie, jak stosunkowo liczną grupa łódzkich rodzin oczekiwała wówczas (w pierwszych kilkunastu miesiącach okupacji) wieści o swoich bliskich, zaginionych na wschód od Bugu. Część oficerów dała wkrótce znać o sobie, przysyłając listy z obozów. Skończyło się jednak przeważnie na jednym lub kilku listach. Przez trzy następne lata nie było o ich losach żadnych wieści, aż do momentu, gdy w kwietniu 1943 r. świat usłyszał po raz pierwszy słowo: **Katyń.**

Według dotychczasowych, wiarygodnych ustaleń, **w Katyniu zginęło ponad siedemdziesięciu oficerów z Łodzi** i pobliskich miejscowości. Najprawdopodobniej jednak — znacznie więcej, choć dokładna liczba ofiar nie jest jeszcze znana i wątpliwe jest, czy kiedykolwiek będzie poznana.

Przedstawiona poniżej lista ofiar Katynia dotyczy wyłącznie osób, związanych przed wojną z regionem łódzkim. Obok ich nazwisk podano nazwy macierzystych jednostek (jeśli zostały ustalone) zaś obok nazwisk oficerów rezerwy — zawód w cywilu (o ile jest znany). Zachowano kolejność alfabetyczną, kierując się przesłanką, iż ułatwi to orientację Czytelnikom, wśród których — być może — znajdą się krewni ofiar. Lista — co warto ponownie podkreślić — **nie jest kompletna.** Jawność mówienia i pisania o Katyniu sprawiła, że każdy następny miesiąc dopisuje na niej nowe wciąż nazwiska.

Oto więc tymczasowy, niepełny rejestr oficerów z regionu łódzkiego, którzy znaleźli swój grób w Katyniu:

1. ppor. **Alfred Amicel Tadeusz,** 31 PSK, 2. ppor **Albrecht Leon Julian,** 25 PP, 3. mjr **Alaszejew Leon,** 4 szp. okr. , 4. kpt. **Antoń Bolesław,** 28 PSK, 5. por. **Andrzejewski Czesław,** 31 PSK, 6. ppor. **Baran Bronisław,** 4 PAC, student UW. 7. kpt. pil. **Baranowski Wacław,** b. szk. 8. kpt pil. **Barski Kazimierz,** 9. kpt. **Bartczak Janusz,** 28 PSK. 10. mjr **Bazarnik Ignacy,** kadra DOK IV. 11. ppor. **Brzozowski Tadeusz,** kadra DOK IV. 12. kpt. **Bielski Henryk,** 4 szp. okr. 13. kpt. **Bolechowski Jan,** prof. gimnazjum. 14 ppor. **Borysławski Mikołaj Adam,** 4 PAC. 15. kpt. **Brdyś Franciszek,** 4 szp. okr. 16. ppor. **Burzyński Stanisław,** 28 PSK. 17. kpt. **Car Władysław,** 4 PAC. 18. (?) **Chitlerski Antoni.** 19. mjr **Cichocki Jan,** 28 PSK. 20. ppor **Ciesielski Czesław,** 18. PP. 21. por. **Dobrowolski Hieronim,** kadra DOK IV. 22. ppor. **Dorobczyński Lucjusz,** kadra DOK IV. 23. por. **Dworakowski Włodzimierz,** 28 PSK. 24. (?) Egierski, 25. kpt. **Engiel Abraham,** 4 szp. okr. 26. kpt. **Falkiewicz Edward, kadra DOK IV 27.** kpt. **Familier Leon,** 4 szp. okr. 28. kpt. **Gaul Aleksander,** 28 PSK. 29. por. **Goldman Leon,** 4 szp. okr. 30. ppor. **Gołębski Antoni,** 4 szp. okr. 31. por **Grapow Eugeniusz,** 10 PAL 32. por. **Grudzień Longin,** b. szk. 33. **ppor. Grupow Eugeniusz.** 34. ppor. **Grohman Karol,** 25 PP 35. ppor. **Gutkiewicz Stanisław,** 4 szp. okr. 36. ppor. **Grobelny Jerzy Florian,** 28 PSK. 37. ppłk. **Hałaciński Andrzej Tadeusz,** kadra DOK, IV. 38. por. **Holzgreber Wacław,** 28 PSK. 39. ppor. **Hartman Kazimierz Marian,** 60 PP. 40. ppor. **Jankowski Franciszek,** 28 PSK. 41. mjr **Jess Edward Teofil,** komendant PKU Wieluń, 42. kpt. **Juszkiewicz Władysław,** kadra DOK IV. 43. ppor. **Kacer Jan,** 28 PSK. 44. mjr **Kantor Michał,** 4 szp. okr. 45. por. **Karczewski Aleksander Szymon,** kadra DOK IV. 46. ppor. **Karasiewicz Czesław,** 4 dyon taborów. 47. ppor. **Karski Janusz Mścisław,** 10 PAL. 48. por. **Kenig Józef,** kadra DOK IV. 49. ppor. **Kijak Natan,** 4 szp okr. 50. por. **Kaczorowski Stanisław,** kadra DOK IV. 51. ppor. **Kolman Waldemar,** 52. por. **Kopczyński Stefan,** kadra DOK IV. 53. ppor. **Kmieć Tadeusz Władysław,** 18 PP. 54. kpt. **Kmieć,** 28 PSK, komendant PW gimnazjum im. M. Kopernika w Łodzi, 55. por. **Kozioł Franciszek,** 4 PAL. 56. por. **Krochmalski Jan,** 57. por. **Krzaczkowski Marian,** PKU Sieradz 58. kpt. **Krzyński Mikołaj,** 28 PSK. 59. **por. Kurowski Mieczysław,** 28 PSK. 60. **mjr Kuryluk Władysław,** 4 szp. okr. 61. mjr **Kuszelewski Stanisław,** 31 PSK. 62 (?) **Lichoń,** 31 PSK. 63. por. **Łukomski Czesław,** 28 PSK. 64. kpt. **Malinowski Leonard,** 28 PSK 65. por. **Oryński Eugeniusz,** 28 PSK 66. ppor. **Olejniczak Leon,** 28 PSK. 67. kpt **Pogób-Pągowski,** 10 baon panc. 68. ppor. **Pegza Henryk,** 31 PSK, inżynier włókiennik, 69. kpt. **Smoliński Eugeniusz,** 28 PSK, 70 kpt. **Szymczak Jerzy,** 28 PSK, 71. ppor. **Szpruch Wacław,** 28 PSK. 72. (?) **Szrejer Joachim,** profesor gimnazjum Zgromadzenia Kupców. 73. kpt. **Wąchowicz Andrzej,** kadra DOK IV. 74. kpt **Wołoszyn,** 31 PSK.75. mjr **Zaprutkiewicz Karol,** 28 PSK. 76. **Żądziłko Aleksander,** profesor gimnazjum Zgromadzenia Kupców.

Skróty oznaczają: **28 i 31 PSK — Pułki Strzelców Kaniowskich,** PP — pułk piechoty, W — przysposobienie wojskowe, szp. okr. — szpital okręgowy, b. szk. — baon szkolny lotniczy z Łodzi, PKU — Powiatowa Komisja Uzupełnień, DOK — Dowództwo Okręgu Korpusu, PAC i PAL — pułki artylerii ciężkiej i lekkiej.

Czytelnikowi należą się teraz wyjaśnienia. Autorem powyższego rejestru jest podpułkownik pożarnictwa w stanie spoczynku, **Zygmunt Gaul,** związany ze środowiskiem kombatanckim 28 PSK. Sporządził ten rejestr, opierając się na wszelkich dostępnych sobie źródłach: opublikowanych już listach ofiar (polskich, w części niemieckich), rozmowach i wymianie korespondencji z rodzinami zaginionych oficerów a także ze znajomymi własnej rodziny. To ostatnie źródło informacji jest o tyle cenne, że ojcem Zygmunta Gaula, był wymieniony w rejestrze ofiar kapitan **Aleksander Gaul,** pełniący przed wojną funkcję kapelmistrza w 28 PSK. W Katyniu zginął również brat matki Zygmunta Gaula, porucznik **Aleksander Fleury,** walczący w Armii „Łódź". Cała rodzina chlubi się od dawna tradycjami wojskowymi; ułatwiło to oczywiście poszukiwania.

Ciekawe jest także to, że **Zygmunt Gaul,** był jednym z nielicznych, jeśli nie jedynym Polakiem, który spotkał się ze świadkiem niewoli oficerów w Kozielsku już w początkach stycznia 1941 roku. Okoliczności tego wydarzenia warte są dłuższej dygresji.

Otóż jednym ze zmobilizowanych do Wojska Polskiego lekarzy był łódzki rentgenolog, niejaki **Bejmer.** Będąc pochodzenia niemieckiego, został on uwolniony z obozu w Kozielsku w kwietniu 1940 roku, w trakcie rozpoczętej już wywózki jeńców do Katynia. Powrócił do okupowanej Polski dopiero w styczniu 1941 roku, „zaliczając" po drodze moskiewskie więzienie NKWD. Wróciwszy, opowiedział 17-letniemu wówczas synowi kpt. **Aleksandra Gaula,** iż widział się z jego ojcem na placu zbiórki, gdzie ustawieni w szereg więźniowie oczekiwali na ciężarówki. Dokąd mieli jechać — tego Bejmer nie wiedział. Dopiero, gdy usłyszał w trzy lata później o Katyniu, zaczął kojarzyć fakty. Uprzytomnił sobie, że decyzja o jego zwolnieniu przyszła dosłownie w ostatniej chwili. Kiedy bowiem, wywołany przedtem z szeregu do komendantury obozu, powrócił na miejsce zbiórki po zostawione tam swoje rzeczy, nie było już więźniów z jego grupy. Odjechali — w nieznanym kierunku...

Bejmer zamieszkał po wojnie w Berlinie. W 1953 roku zginął tragicznie, wyskakując z balkonu. Podobno było to samobójstwo.

Na liście zamordowanych oficerów z Łodzi figuruje również nazwisko mjr **Jana Cichockiego,** dowódcy 3 batalionu 28 PSK. Nie jest pewne, czy istotnie zginął on w Katyniu. Od października 1939 r. mjr **Jan Cichocki** pełnił funkcję szefa sztabu okręgu krakowskiego Służby Zwycięstwu Polski (potem Związku Walki Zbrojnej). Z kwietnia 1941 r. pochodzi natomiast informacja, iż w krakowskim mieszkaniu mjr **Jana Cichockiego** przy ul. Sławkowskiej 6 dochodzi do „wsypy" w wyniku której gestapo aresztuje m.in. **Józefa Cyrankiewicza.** Nie jest jasne, czy mjr **Jan Cichocki** przebywał jeszcze wtedy w Krakowie. Jeżeli tak — nie mógł zginąć w Katyniu. W każdym razie jego nazwisko widnieje na liście zidentyfikowanych ofiar Katynia.

Jak już wspomniałem, każdy następny miesiąc dopisuje na listę ofiar nowe wciąż nazwiska. Te, które zdołano już ustalić, publikujemy obecnie po to, aby skonfrontować dotychczasowe ustalenia z wiedzą, którą zapewne dysponują Czytelnicy. Być może znajdą się osoby, pamiętające o jeszcze innych, nieznanych dotąd ofiarach?

W tym celu publikujemy również na zakończenie listę oficerów, przebywających w obozie w Kozielsku. Została ona przepisana z odręcznej notatki, sporządzonej po powrocie do Polski przez ppor. **Erwina Keppe,** któremu udało się przeżyć obozy w ZSRR. Na samym początku niewoli więziono go w bloku 15 kozielskiego obozu. Na 16 wymienionych przez niego nazwisk oficerów z Łodzi, 5 znajduje się na liście katyńskiej. Zamieszczamy je łącznie z nazwiskami oficerów dotąd nie znanych, aby ułatwić ewentualne rozpoznanie: por. por. **Karol Grohman, Stefan** (inspektor szkolny). **Kazimierz Borowski, Tyszkiewicz** (Izba Rolnicza), **Eugeniusz Grapow, Leon Julian Albrecht, Nowak, Rawicki, Jabłoński** (Izba Rolnicza), **Ulrich, Waldemar Kohlman, Roman Surmański;** kpt. kpt. **Urbaniak, Wołoszyn, Bechtold;** płk **Lachowicz.**

Czytelnicy, którzy rozpoznają swych bliskich lub znajomych, albo też wiedzą o innych ofiarach z łódzkich jednostek wojskowych, proszeni są o kontakt z **Zygmuntem Gaulem, 90516 Łódź, ul. Wólczańska 62 m. 5, tel. 32 29 64.**

ANDRZEJ GĘBAROWSKI

PS. Po oddaniu powyższego tekstu do druku, ukazał się kolejny numer tygodnika „Zorza", publikującego następny odcinek najbardziej chyba kompletnej z dotychczasowych list ofiar Katynia. Z tego ostatniego odcinka Zygmunt Gaul wynotował jeszcze trzy nazwiska oficerów z Łodzi, które nie były mu dotychczas znane: ppor. **Łaszak Józef,** kadra DOK IV; kpt. **Łępicki Julian,** kadra DOK IV; por. **Łęgowski Wacław.** Komenda Miasta Łódź.

Ostatnie spotkanie ppor. Henryka Różnieckiego. Jak wyglądał las katyński?

Polscy robotnicy z Bauzugu 2005

Publikacja materiałów związanych ze zbrodnią katyńską spowodowała, że redakcje różnych pism otrzymują wiele listów związanych z tą sprawą. Takie listy otrzymują również „Odgłosy" Na przykład ZDZISŁAW PIASECKI z Gałkówka podzielił się z nami wspomnieniem o HENRYKU RÓŻNIECKIM.

1. Ostatnie spotkanie.

Henryk Różniecki — pisze Zdzisław Piasecki — był absolwentem jednego z gimnazjów w Łodzi, ukończył podchorążówkę artylerii i otrzymał przydział do 4 pułku artylerii ciężkiej, który stacjonował w Tomaszowie Mazowieckim. W 4 pac służył jako podporucznik. W cywilu był urzędnikiem Urzędu Gminnego w Gałkówku. Urodził się w Gałkówku i tam ożenił się. Był człowiekiem lubianym, pracowitym, życzliwym.

Zbliżała się wojna. W marcu 1939 roku Henryk Różniecki został powołany do wojska. Początkowo przebywał w Tomaszowie Mazowieckim, a gdy wybuchła wojna został odkomenderowany na stację kolejową Łódź Kaliska Tutaj przybywały pociągi z wojskiem. Trzeba było je szybko rozładowywać i kierować wojsko na właściwe pozycje.

Pociągi stały na torach — wspomina żona Henryka Różnieckiego — w stronę Zgierza, Karolewa i Lublinka. Brakowało łączności. Z pomocą — jako gońcy — przyszli łódzcy harcerze. Podporucznik Henryk Różniecki zaprzyjaźnił się z jednym harcerzem. Pani Różniecka wiele razy zastanawiała się, jakie losy były tego harcerza? Co się z nim stało? Czy może zapamiętał podporucznika artylerii z Gałkówka — Henryka Różnieckiego?

Stacja Łódź Kaliska atakowana była z powietrza przez niemieckie samoloty. Jednemu takiemu natrętowi — wspomina żona Henryka Różnieckiego — mąż wydał walkę i poważnie go uszkodził. Samolot przymusowo lądował, a pilot dostał się do niewoli. W nagrodę ppor. Henryk Różniecki otrzymał kilka godzin urlopu i mógł wpaść do rodziny do Gałkówka. To było ich ostatnie spotkanie. Ich córka, która miała wówczas dwa lata ciągle powtarzała: — *Tatusia główka boli, tatusiowi z główki krew leci.* — Po wielu latach słowa te okazały się prorocze i nieszczęśliwe.

W grudniu 1939 roku do Gałkówka nadszedł list, z którego wynikało, że ppor. Henryk Różniecki znajduje się w ZSRR, jest cały i zdrów. Na początku 1940 roku przyszła kartka z Kozielska w ZSRR, z której znów wynikało, że jest zdrów, pozdrawia i tęskni. I później zapanowała cisza.

Dopiero z gazety „Goniec Krakowski" z 19 czerwca 1943 roku, w której zamieszczono listę oficerów polskich pomordowanych w Katyniu, rodzina dowiedziała się, że ppor. Henryk Różniecki nie żyje, że został zamordowany w Katyniu. Przy jego zwłokach znaleziono między innymi książeczkę oficerską i metrykę ślubu. Na liście katyńskiej figurował pod nr 2485. Informacje te zostały potwierdzone przez Międzynarodowy Czerwony Krzyż.

2. Las katyński.

Często używamy określenia: las katyński. Stało się ono symbolem. Ale jak właściwie wyglądał las katyński?

Leżał przy trakcie ze Smoleńska w kierunku Witebska wiodącym. Niegdyś należał — o ironio losu — do Polaka Koźlickiego. Dzielił się na trzy części: Kozie Góry, Rozbójniczy Kołodiec i Czarnogriaz. Najbliżej Smoleńska położone były Kozie Góry. Nie cieszyły się one dobrą sławą.

W Kozich Górach po rewolucji rozstrzeliwano różnych ludzi. Teren jednak nie był ogrodzony i ludność z okolicznych wsi swobodnie chodziła po lesie zbierając grzyby i chrust. Tak było do 1929 roku. Od tego czasu Kozie Góry przejęło GPU. Las został ogrodzony drutem kolczastym a od strony drogi do Witebska drewnianym, dwumetrowym płotem. W różnych miejscach wywieszono tablice: *„Zaprietnaja zona GPU. Wchod postoronnim licam wosprieszczon".* Wewnątrz ogrodzonego lasu zbudowano „daczę", w której stale mieszkał dozorca, kucharz, służąca i szofer. Wewnątrz ogrodzonego lasu nie było żadnych baraków ani innych budynków.

Kozie Góry przecina Dniepr. „Dacza" stoi w pobliżu rzeki. Początkowo teren nie był pilnowany. Okoliczni mieszkańcy, choć nie mieli o katyńskim lesie najlepszego mniemania, przedzierali się przez druty i zbierali grzyby. Gdy ich dostrzeżono — przepędzano. Od początku 1940 roku las w Kozich Górach był pilnie strzeżony. Chodziły po nim patrole NKWD z psami. Śmiałka, który dostałby się do środka atakowały psy. Zdarzyło się to nielicznym. Nikt drugi raz już nie przelazł przez druty.

3. Tragiczne odkrycie.

Dr RYSZARD WALCZAK z Poznania nadesłał do „Odgłosów" wycinek z „Głosu Wielkopolskiego" z 23 marca 1989 roku, w którym LESZEK ADAMCZEWSKI relacjonuje opowieść Teofila R. o tragicznym odkryciu w katyńskim lesie. Okazuje się, że groby w Kozich Górach pierwsi odkryli polscy robotnicy kolejowi pracujący w Organizacji Todt.

W 1941 roku Teofil R. przebywał w Rokietnicy, skąd został zabrany do prac przy odśnieżaniu torów. Następnie został włączony do pociągu budowlanego: Bauzug 2005. Na początku 1942 roku Bauzug 2005 przez Mińsk i Orszę dotarł do stacji Gniezdowa, gdzie stanął. Jego załoga pracowała przy zwężaniu torów. W ZSRR stosuje się szersze rozstawienie torów niż w pozostałej części Europy.

Jak utrzymuje Ryszard Walczak **Bauzug 2005 zatrzymał się u skrzyżowania dwóch linii kolejowych:** Aleksandrowskiej — wiodącej na Orszę i Mińsk i Rigarłowskiej (nazwa pochodzi od słów: Ryga — Orzeł) prowadzącej w kierunku na Witebsk. Stali oni koło „Breckowo Mosta". Zdaniem Ryszarda Walczaka Bauzug 2005 stał w odległości 1,5 km od mogił polskich oficerów.

— *...kilkaset metrów* — wspomina Teofil R. — *od Bauzugu znajdował się las otoczony około dwumetrowej wysokości płotem betonowym. Do lasu prowadziła brama, której nie było. Pewnie miejscowa ludność rozebrała ją na opał.*

Teofil R. opowiada dalej, że spotkał kobietę, która była Polką pochodzącą z Brześcia nad Bugiem. Przyniosła ona Teofilowi R. czapkę porucznika piechoty i opowiedziała, że rzucił ją wiosną 1940 roku na bocznicy w Kozich Górach w krzaki i krzyknął: — *Jeszcze Polska nie zginęła!!!*

— *Zauważyłem* — opowiada dalej Leszkowi Adamczewskiemu Teofil R. — *że pod spodem czapki było napisane imię Władysław i nazwisko na K. Kaczmarski czy coś takiego... I miejscowość Włodzimierz, gdzie chyba stacjonowała jego jednostka.*

Teofil R. i dwaj jego koledzy wybrali się do lasu, obejrzeli opuszczoną „daczę" i miejsca w lesie, gdzie pozapadała się ziemia. Były też wybrzuszenia, na których rosły małe świerki.

W końcu zdecydowali się na rozkopanie wzgórka. Oto zanotowana przez Leszka Adamczewskiego opowieść o tym, co odkryli wówczas w Kozich Górach:

— *Zaczęliśmy kopać. Wkrótce dotarliśmy do rozkładających się zwłok jakiegoś żołnierza w płaszczu. Z całą pewnością nie był to płaszcz polski. Zakopaliśmy więc tę zbiorową mogiłę i wyszliśmy z lasku. Obok płotu stała chatka, koło której kręcił się starszy mężczyzna z długą brodą. Koledzy zapytali:*

— Gdzie tu leżą polscy oficerowie?

Widząc, że nacieramy ostro, zaprowadził nas do lasu i wskazał mówiąc:

— Tu kopcie!

Znów zaczęliśmy kopać. I rychło pojawiły się częściowo zgnite płaszcze wojskowe. Nasze, polskie! Majora, kapitana... Widzieliśmy skrępowane drutem na plecach ręce ofiar. Zakopaliśmy mogiłę, a nazajutrz przyszliśmy w to miejsce liczniejszą grupą. Na mogile postawiliśmy brzozowy krzyż. O naszym odkryciu dowiedzieli się Niemcy ze stacjonujących w okolicach Smoleńska jednostek Wehrmachtu i lokalnych władz okupacyjnych, lecz wtedy nikt z nich tym się nie interesował. Śmiali się nawet...

4. Koniec Bauzugu 2005

Opowieść Teofila R. zgadza się w wielu szczegółach z innymi relacjami. Polka z Brześcia nad Bugiem nazywała się Emilia Osipowna Siemianienko, a z domu była Kozłowska. Starszy mężczyzna z długą brodą, o którym wspomina Teofil R. — to, jak sugeruje Ryszard Walczak, Parfien Kisielew, który mieszkał najbliżej płotu ogradzającego Kozie Góry.

Powstała tylko — zdaniem Ryszarda Walczaka — pewna wątpliwość, czy w rejonie Kozich Gór stacjonował jeden pociąg budowlany, czy było ich dwa. Rzecz w tym, że koledzy Teofila R. postawili na mogiłach krzyż brzozowy. Gdy wiosną 1943 roku Niemcy przystąpili do rozkopywania grobów wspomina się o dwóch a nawet trzech krzyżach postawionych przez pracujących przy torach Polaków. Stąd u Ryszarda Walczaka powstała myśl, że w rejonie Kozich Gór mogły stać dwa różne pociągi budowlane Organizacji Todt.

Bauzug 2005 stał w Kozich Górach do marca 1942 roku. Teofil R. uciekł z pociągu i przedostał się do Warszawy. Na przełomie sierpnia i września 1943 roku Bauzug 2005 został zbombardowany przez samoloty radzieckie. Zginęło wtedy wielu członków jego załogi, w większości pochodzących z Poznańskiego.

Leszek Adamczewski zapytał swego rozmówcę, dlaczego nie chce się ujawnić? Teofil R. jest emerytowanym poznańskim rzemieślnikiem.

— *Za to, co widziałem w marcu 1942 roku w pobliżu Smoleńska* — powiedział Teofil R. — *w czasach stalinowskich zostałbym uznany za* „wroga ludu". *A kilkanaście lub nawet kilka lat temu miałbym zapewne sporo nieprzyjemności. Lepiej było więc milczeć. Zresztą nie o rozgłos mi chodzi, ale o to, by po latach dać świadectwo prawdzie, którą historycy mogą chyba potwierdzić.*

Ryszard Walczak przysłał „Odgłosom" artykuł Leszka Adamczewskiego z „Głosu Wielkopolskiego", aby za naszym pośrednictwem dotrzeć do innych świadków, którzy mogliby również w czasie niemieckiej okupacji Smoleńska przebywać w tych okolicach i dorzucić dziś nieznane do tej pory szczegóły.

Opracował:
WITOLD BOROWY

Co poseł ma z tego, że jest posłem?

Czy będzie pan kandydował po raz trzeci?

Rozmowa z posłem ANDRZEJEM GAWŁOWSKIM, chemikiem, posłem na Sejm PRL, przewodniczącym Zespołu Poselskiego Miasta Łodzi.

— Gdy prosiłem o wywiad, pytałem co pan sądzi o proponowanym dla strony koalicyjnej i opozycji podziale mandatów w Sejmie, o zasadach wyborów do Senatu. Pan był zaskoczony szczegółową informacją, komentując to stwierdzeniem, że posłowie znów o tak ważnych sprawach dowiadują się ostatni. Tym razem była to sytuacja szczególna, wynikająca z obrad „okrągłego stołu". Skąd zatem to określenie: znów jako ostatni?

— Wiele decyzji przypisanych parlamentowi zapada w innych kręgach. Później z tego wynikają komplikacje, problemy jak decyzje te wprowadzić w sposób zgodny z prawem. Nie ukrywam, że jestem legalistą, dopóki jest prawo — lepsze czy gorsze — to należy je przestrzegać, dążyć do doskonalenia. Przypomnę jak odbywało się odwołanie rządu premiera Zbigniewa Messnera. OPZZ ogłosił wszem i wobec, że wystąpi o postawienie wotum nieufności. Tymczasem OPZZ nie ma tzw. inicjatywy ustawodawczej, a w Sejmie grupa posłów OPZZ z taką inicjatywą nie wystąpiła. Zarazem wotum nieufności dla rządu można zgłaszać przy ocenie pracy rządu, co zgodnie z regulaminem prac Sejmu następuje na koniec wiosennej sesji przy udzielaniu absolutorium. A absolutorium udzielono, przy udziale posłów OPZZ. Jasne, że z taką decyzją nie można było czekać do wiosny i w końcu znaleziono jedyne możliwe wyjście: rząd z własnej inicjatywy musiał się podać do dymisji przyjętej przez Sejm. Miało miejsce działanie na zasadzie „wyprzedzimy parlament". I parlament nie miał wyboru. A posłowie powinni uczestniczyć w działaniach przygotowawczych, prowadzonych poza ul. Wiejską. To jest nie tylko moje zdanie, ale i innych posłów partyjnych.

— Pan używa eufemizmów. Jakie gremia ma pan na myśli?

— Konieczne jest współdziałanie posłów — członków PZPR z Komitetem Centralnym.

— Sejm znalazł się w cieniu „okrągłego stołu". Jak dalece bulwersowało to posłów?

— Ja nie czuję się zbulwersowany. „Okrągły stół" traktuję jako godny końca XX wieku sposób przeprowadzenia rewolucji w naszym kraju. Nie jest to rewolucja krwawa, a po prostu: oczekiwana. Prowadzona przez „okrągły stół", który de facto był instytucją prawnie nie umiejscowioną. „Stół" musiał stać ponad prawem, jeśli chciał robić rewolucję, bo proces rewolucji z natury rzeczy jest wyjęty z prawa, przeciw któremu występuje dla dokonania potrzebnych zmian. Oczywiście można mówić o kulturze politycznej tworzenia tej instytucji, ale inne rewolucje posługiwały się o wiele mniej kulturalnymi metodami. „Okrągły stół" to pewien ewenement. Powiedziałbym, że nawet na skalę światową i jako Polak bardzo wysoko oceniam ten proces wprowadzający nas na tory nowoczesnego funkcjonowania państwa. Oby to było skonsumowane w sposób parlamentarny, bo dalszy ciąg „okrągłego stołu" musi znaleźć swe miejsce w parlamencie — tej czy następnej kadencji.

— Po której stronie „okrągłego stołu" usiadłby pan? Podział na strony nie był przecież wcale tak jednoznaczny. Strona „koalicyjna" była wyraźnie podzielona.

— Nie było takiej grupy, do której w każdej sprawie mógłbym się przyłączyć.

— Decyzje o podziale mandatów są już znane. Jak pan je przyjął?

— Od początku nie widziałem potrzeby istnienia Senatu. Ma on sprawować nadzór nad procesem legislacyjnym i razem z Sejmem tworzyć Zgromadzenie Narodowe, które wybiera prezydenta. Może to prowadzić do wydłużenia procesu legislacyjnego, który i tak trwa zbyt długo.

— Dobrze, ale przecież najbliższe wybory znów nie będą demokratyczne, w Sejmie ma dojść do podziału mandatów, tak aby przewagę uzyskała koalicja. Tylko wybory do Senatu mają być wolne. Ze względu na utrzymanie „klucza" strona opozycyjna przy „okrągłym stole" chciała Senatu.

— Ta sprawa wygląda trochę inaczej. Taki Senat jawi mi się jako instytucja przejściowa, powołana na okres dziesiątej kadencji. Jednak tworzenie instytucji najwyższej rangi ze względu na doraźne potrzeby budzi moje obawy.

— To znaczy, że uważa pan, że można było już rozpisać wolne wybory do jednoizbowego parlamentu?

— Cóż, sprawa jest bardzo poważna... Pewnym przemianom demokratycznym trzeba dać czas na ich dokonywanie się.

— W pana wypowiedzi zawarta jest sprzeczność.

— Rozwiązania przejściowe są potrzebne, tyle że według moich odczuć nie trzeba powoływać aż Senatu, a ścieżka dochodzenia do niektórych rozwiązań powinna mieć wkomponowany dialog ze społeczeństwem. Początkiem tego dialogu mogło być wypowiedzenie się społeczeństwa na temat Senatu i instytucji prezydenta.

— Na Węgrzech obywatele podpisują się pod petycjami o odwołanie tych posłów, którzy ich zdaniem nie prezentują opinii swych wyborców. Prawnie i u nas jest to możliwe. Czy pan wolałby, aby sytuacje takie miały miejsce?

— Rozwiązania stosowane w parlamentach są bardzo różne. Nie jestem przekonany, że najlepsze jest takie, jakie jest u nas zapisane czy na Węgrzech. Aby znać wolę mych wyborców musiałbym ciągle organizować minireferendum. Myślę, że u nas sprawa powinna tkwić w prawidłowym przeprowadzeniu wyborów, a nie w ciągłym kontrolowaniu posłów. Jeżeli poseł robi coś, co jest sprzeczne z wolą wyborców, to po prostu powinien przegrać w następnych wyborach. Rzecz tylko w tym, aby go nie przesunięto do innego okręgu wyborczego, gdzie jego dotychczasowa działalność nie była znana.

— Gdyby posłowie następnej kadencji mieli uczyć się na błędach — czego powinni unikać?

— W Polsce nie ma zawodowych polityków, nie są nimi posłowie. Tylko niewielka część doświadczeń jest przekazywana. Pojawiają się ostatnio wypowiedzi, padające z różnych stron, że Sejm tworzą głównie osoby niekompetentne, nie reprezentujące społeczeństwa. Dla mnie jest to zwykłe polityczne chamstwo — i tak proszę to zapisać. Chciałbym się skontaktować z osobami, które tak twierdzą. Czekam na spotkanie z nimi, abyśmy uczciwie mogli porozmawiać o tych zarzutach.

Błędy? Otóż od lat są podobne. Poza pewnymi przebłyskami zabrakło konsekwencji w działaniu. Takim przebłyskiem był sprzeciw wobec próby odwołania prezesa NIK. Ale nie wymusiliśmy, aby reagowano na nasze postulaty. Postulaty przez nas stawiane były lekceważone przez władze, a później pojawiały się na strajkowych bramach i dopiero wówczas były słuchane.

— Słuchane przez kogo, skoro Sejm PRL jest najwyższą władzą w państwie?

— Przez decydentów politycznych. Przez decydentów Sejm był traktowany jako ciało niereprezentatywne i nie był słuchany, dopiero strajki sprawiały, że w zdaniu posłów dostrzegano racje.

— Trudno o ocenę, jak dalece ten Sejm różni się od poprzedniego, a wymagania społeczne są już o wiele wyższe. Potrafił sprzeciwić się narzuceniu nowego prezesa NIK, ale uchwalił ustawy utrudniające proces przemian w kraju. Jak więc to jest? Najpierw ustawa o specjalnych uprawnieniach, a teraz inne, ale podobne do niej.

— Naszą gospodarką nie da się zarządzić w sposób demokratyczny. Jestem przeciwnikiem idei samorządów pracowniczych, a za ideą samorządów obywatelskich, a więc samorządów terytorialnych, a to z tego względu, że ekonomia samorządy ma w nosie. Brak możliwości zarządzania gospodarką w sposób demokratyczny wymusza stosowanie zasad specjalnych, oczywiście rozsądnie wykorzystywanych.

— Dostrzega pan pozytywną rolę specjalnych uprawnień, które mogą dawać kwalifikacje do decyzji stojących ponad ekonomią. Uważam, że w obecnych warunkach nawet łagodne formy woluntaryzmu gospodarczego są już bardzo niebezpieczne.

— Specjalne uprawnienia przyznane rządowi mogą przyśpieszyć wiele oczekiwanych rozwiązań gospodarczych. Wiadomo, że wlókł się u nas proces upadłości złych przedsiębiorstw. Krytykując poprzednią ustawę o specjalnych uprawnieniach bardzo mocno podnosiliśmy, że podejmowane decyzje nie zawsze były decyzjami o podłożu ekonomicznym...

— Tylko że decyzję taką podjął obecny rząd, korzystając z poprzedniej ustawy, a teraz uzyskał podobne uprawnienia.

— Rzeczywiście, zamknięto Stocznię Gdańską im. Włodzimierza Lenina, choć blisko była inna stocznia, osiągająca gorsze wyniki. Także nowa ustawa niepokoi mnie, jeżeli chodzi o pewien zakres możliwości podejmowania decyzji politycznych, jednak daje mi nadzieję na właściwe decyzje gospodarcze. Jeżeli w sprawach gospodarczych decyzje polityczne będą stały ponad ekonomicznymi, to zawsze będę temu przeciwny.

— Opowiada się pan za tą dziwną ustawą, ale pod warunkiem wzmożonej kontroli poselskiej?

— Oczywiście. Realizacja wszystkich ustaw powinna być kontrolowana. Taki był poselski zamiar, tyle że przy natłoku pracy nad nowymi ustawami założenie to nie było realizowane w sposób zadowalający. I to jest drugi z mankamentów pracy Sejmu tej kadencji.

— Dla mnie słabą stroną parlamentu jest to, że akceptuje jednak dość łatwo ustawy podane przez rząd, natomiast inicjatywa ustawodawcza Sejmu właściwie nie istniała.

— Coraz częściej słyszę, że Sejm powinien zabrać głos w sprawie reformy gospodarczej, bo nawet nie wiemy, czy harmonogram jej wprowadzenia, określony przez poprzedni rząd, nadal obowiązuje, skoro gabinet premiera Mieczysława Rakowskiego nowego programu nie przedstawił. Tylko nie myślmy przy tym pojęć. Na całym świecie takich spraw nie załatwia się przez programy poselskie. Musi być taki rząd, który proponuje, jak rozwiązać problemy gospodarcze, a parlament program przyjmuje lub odrzuca.

— Tak, ale parlament może domagać się takiego programu. Mówiłem o akceptacji przedłożeń rządowych, bo innych nie ma. Niedawno przyjęta została ustawa o wynagrodzeniach w sferze budżetowej, wypracowana przy dużym współudziale posłów, ale uważam, że taka ustawa powinna powstać o wiele wcześniej. I właśnie z inicjatywy posłów. Płace lekarzy czy nauczycieli były żenująco niskie, wpływające wręcz na deformację życia społecznego.

— Sejm bardzo łatwo mógłby przejść na takie pozycje, tylko problem w tym, skąd wziąć pieniądze, a to jest już decyzja gospodarcza. I teraz nie wiadomo, czy starczy pieniędzy na zapowiedziane regulacje płac.

— Kilkakrotnie wspominał pan o zawodowych politykach. Czy tacy powinni być w naszym kraju?

— Bez wypracowania prawidłowych sposobów funkcjonowania władzy trudno wymagać, aby odejście z areny politycznej odbywało się w sposób normalny. Czy chciałbym zostać zawodowym politykiem... Nie zastanawiałem się nad tym. Natomiast za niewłaściwe, żenujące dla mnie uważam to, że siedzę okrakiem na kilku stołkach. Jestem posłem, a zarazem chemikiem w zgierskim Ośrodku Badawczo-Rozwojowym Przemysłu Barwników. Jako poseł mam bardzo dużo pracy, na czynności zawodowe mam znacznie mniej czasu. I to jest sytuacja rodząca konflikty. A ja muszę przecież myśleć o bycie materialnym mojej rodziny.

— Co poseł ma z tego, że jest posłem?

— Za styczeń otrzymałem 45 tys. zł diety poselskiej, minus 10 proc. na mój klub poselski PZPR. Jeżeli ktoś uważa, że jest to dieta zbyt duża, to... chyba powinniśmy rozwiązać parlament.

— Ale przecież zarabia pan też w „OBRPB".

— I uważam, że to jest niewłaściwe. Po zakończeniu kadencji powinienem mieć zapewnioną możliwość powrotu na dotychczas zajmowane stanowisko. Ale jeżeli domagamy się, aby posłowie dobrze spełniali swe obowiązki, to powinni otrzymywać takie diety, jak najlepiej zarabiający w gospodarce uspołecznionej. Jeżeli chcemy mieć posłów wybieranych spośród najlepszych obywateli tego kraju, to powinni być oni honorowani właściwej wysokości dietami.

— I zarazem powinny być zlikwidowane etaty dla posłów w ich dawnym miejscu pracy?

— Oczywiście. Trzeba skończyć z udawaniem.

— Pan jest posłem już drugą kadencję. Teraz dostrzegamy w Sejmie, jakby mniej indywidualności. Zabrakło na przykład Edmunda Osmańczyka, który cieszył się bardzo dużym autorytetem i zaufaniem wyborców. Obecnie indywidualnością jest poseł Bender.

— Z czasów mego posłowania za największą indywidualność uważam Janusza Zabłockiego, choć nie zgadzałem się z wieloma jego poglądami. Edmund Osmańczyk był posłem dużego formatu. Prawdy, jakie on mówił, stały się dziś faktem. Mam na myśli dostępność paszportów...

— Nie wymienił pan nazwisk posłów PZPR.

— To wynika ze zdecydowanej przewagi liczebnej posłów partyjnych w parlamencie. To nie jest paradoks. Janusz Zabłocki miał kilkuosobową grupę posłów, Edmund Osmańczyk określał siebie, jako posła niezależnego. Procedura sejmowa przewiduje, że w sprawach istotnych wypowiadają się przedstawiciele wszystkich odłamów reprezentowanych w naszym parlamencie, więc Osmańczyka, Bendera, Zabłockiego słyszano często. Posłów partyjnych jest ponad dwustu. Podczas dwóch kadencji głos zabierałem pięciokrotnie, a więc stosunkowo często, bo gdyby każdy poseł PZPR tyle razy zabierał głos na sesjach, to trwać musiałyby po kilka dni.

— Czy tylko tak należy to tłumaczyć?

— Jest to też wynik pewnej tradycji. Dyskusje w komisjach sejmowych są bardzo burzliwe, posłowie z tego samego klubu prezentują różne punkty widzenia, ale społeczeństwu praca Sejmu znana jest przede wszystkim z przebiegu sesji. Ale oczywiście wielka indywidualność zawsze powinna się przebić.

— Czy wobec tych doświadczeń będzie pan kandydował do Sejmu X kadencji?

— Chciałbym brać udział w kampanii wyborczej, aby społeczeństwu zdać relację z tego, co zrobiłem.

Rozmawiał:
ZBIGNIEW GRZEGORZEWSKI

Z tej ziemi

Sprawiedliwość to więcej niż rehabilitacja

1.

Słyszę tu i ówdzie głosy, które wołają, że dość już tych dyskusji o staliniźmie.

— Wy ciągle o tym Józefie Wissarionowiczu Stalinie — probuje się tak argumentować — jaki to on był, jaki miał charakter, co lubił, czego nie lubił i tak dalej. Zasłaniacie się nim, bo już się nie może bronić. Chowacie się za niego.

Owszem. Różnie pisze się o Józefie Stalinie. Niektórzy nawet próbowali zrobić go psychicznie chorym. Nie dziwię się tym reakcjom. W kręgu kultury wschodnioeuropejskiej, a tym bardziej azjatyckiej, przywódcy są na ogół uważani za tytanów, niemal bogów, za ludzi nie podlegających krytyce, o których albo się nie pisze wcale, albo tylko dobrze, niemal z boską czcią. Tacy półbogowie nie mają prywatnego życia, otacza ich legenda. Wmawia się ludziom, że znają się na wszystkim, o wszystkim decydują, tworzą nową epokę. Aż pewnego dnia ideał sięga bruku. Przywódca umiera i okazuje się, że nie był półbogiem a tyranem. I nadchodzi taki moment, że trzeba o byłym geniuszu powiedzieć wszystko, a może nawet więcej niż wszystko. Zresztą na świecie o tym dawno wiedziano, tylko do nas te wieści nie docierały.

Dyskusja o staliniźmie jest potrzebna między innymi dlatego, aby zrozumieć, czy takie zjawisko jak stalinizm było czymś nieuchronnym w procesie przeobrażeń społecznych, czy tylko wynaturzeniem. A jeśli tylko wynaturzeniem, to jakie złożyły się na to przyczyny? Co robić, aby stalinizm nie odrodził się w innej postaci, związanej z nazwiskiem innego przywódcy?

Jeśli bowiem zjawisko społeczne, system sprawowania władzy oderwie się od podłoża historycznego, od sytuacji politycznej, gospodarczej i społecznej w danym kraju, od stosunków politycznych na świecie, to pozostanie tylko wiele ciekawostek z życia byłego geniusza a w istocie tyrana. I nic więcej, a o to przecież wcale nie chodzi.

Są też i tacy, którzy powiadają, że stalinizm to w ogóle wymysł wrogów, że stalinizm w Polsce narzuciła grupa ludzi obcego pochodzenia, a biedni, głupi Polacy byli tylko ślepymi wykonawcami. Ten temat braliśmy już z historii, dotyczyło to tylko innego nieco czasu i innego kraju. Wszystko usiłowano zwalić na pewnego zawiedzionego malarza z Austrii i grupę blisko z nim związanych ludzi, którzy rozkazywali. Reszta — parędziesiąt milionów ludzi — była tylko wykonawcami. Słuchała rozkazów.

Przyczyn takich, czy innych zjawisk społecznych trzeba szukać w stosunkach społecznych, w uwarunkowaniach historycznych i politycznych, w tradycji nawet. Zwalanie winy na innych jest wygodne, łatwe i... naiwne. W Polsce znane było od dawna przysłowie: — kowal zawinił a Cygana powiesili. — Winnego zawsze można znaleźć, ale istoty zjawiska to nie zmieni. Mniemanie, że wszystkiemu winni są Żydzi nie narodziło się obecnie. Przed wojną dodawano: — i masoni. Mówiono też: — Żydzi, masoni i komuniści. — Potem okazało się, że wszystko co najgorsze pochodziło sprzed wojny. Ale istoty II Rzeczpospolitej to w żaden sposób nie wyjaśniało, dokonujących się w niej procesów, zachodzących zjawisk, powstających sprzeczności i tak dalej. Przyczyny tego leżały zupełnie gdzie indziej.

2.

Systemy totalitarnego sprawowania władzy muszą mieć swoich wrogów, aby trzymać ludzi w strachu. Jeśli takiego wroga nie ma, to należy go wymyśleć. I wymyślano. Przerażające było to, że system taki „pożerał" własne dzieci, niszczył ludzi, którzy kładli jego podwaliny, choć działali w dobrej wierze i mieli zupełnie inne cele. Pierwsi z rąk wykonawców woli Józefa Stalina ginęli komuniści. Socjalistów uznano za najgorszych wrogów. Wbrew logice i faktom.

19 kwietnia 1989 roku Sąd Najwyższy uniewinnił sześciu socjalistów skazanych 19 listopada 1948 roku. Byli to: **Kazimierz Pużak, Tadeusz Szturm de Sztrem, Józef Dzięgielewski, Feliks Bronisław Misiorowski, Ludwik Cohn i Wiktor Krawczyk.** Ich proces trwał 15 dni. Był jednym z najgłośniejszych. Oskarżono ich o usiłowanie zmiany siłą istniejącego ustroju w Polsce. Dziś okazało się, że nie było żadnych podstaw dla takiego oskarżenia, a zatem i dla wyroku, który wykonano. Kazimierz Pużak zmarł 30 kwietnia 1950 roku w więziennym szpitalu „od obrażeń poniesionych w niewyjaśnionych okolicznościach" — jak napisał niedawno w „Odrodzeniu" Andrzej Cubała. Wyroki wprawdzie złagodziła amnestia, ale to nie zmienia faktów. O niewinność działaczy WRN — PPS upomniano się dopiero po 41 latach.

Polska Agencja Prasowa opublikowała komunikat, z którego wynika, że dokonano rehabilitacji sześciu byłych działaczy socjalistycznych. I ani słowa o tym, jacy byli to działacze, jaki odłam ruchu socjalistycznego reprezentowali. Ani słowa o tym, że byli to twórcy i działacze organizacji powstałej w październiku 1939 roku — wkrótce po zawieszeniu działania PPS — **PPS Wolność, Równość, Niepodległość** — „osławionej" niegdyś **WRN.** Organizacji, która jedna z pierwszych podjęła konspiracyjną działalność pod okupacją i w lutym 1940 roku weszła w skład Politycznego Komitetu Porozumiewawczego przy Komendzie Głównej Związku Walki Zbrojnej.

Gdy **Kazimierz Pużak** i pięciu innych działaczy socjalistycznych w listopadzie 1948 roku przez 15 dni stali przed wojskowym sądem i odpowiadali na bezpodstawne zarzuty, gdy jawnie łamano prawo, pisano o tym procesie dużo i szeroko. Dziś, gdy zwraca się działaczom socjalistycznym — po 41 latach — honor i niewinność, panuje cisza. **Tylko „Odrodzenie" odważnie podjęło ten temat.** A przecież tym ludziom, którzy przez 41 lat, wbrew faktom i prawu, uchodzili za wrogów Polski Ludowej należy się dziś coś więcej niż suchy komunikat PAP. Należy się im powrót do zbiorowej pamięci społeczeństwa, powrót do historii.

W wydanej w 1978 roku przez „Książkę i Wiedzę" kronice wydarzeń **„100 lat polskiego ruchu robotniczego"** nazwisko **Kazimierza Pużaka** wymienia się po raz ostatni pod datą **7 lutego 1940 roku,** kiedy jako reprezentant PPS — WRN wszedł w skład Politycznego Komitetu Porozumiewawczego przy ZG ZWZ. **Ludwika Cohna** jedyny raz pod datą **31 stycznia 1926 roku** z okazji I Zjazdu Kół Młodzieży TUR. **Józef Dzięgielewski, Wiktor Krawczyk, Feliks Misiorowski i Tadeusz Szturm de Sztrem** nie występowali w polskim ruchu robotniczym, nie było też procesu i skazujących ich wyroków w listopadzie 1948 roku. A przecież **Józef Dzięgielewski i Tadeusz Szturm de Sztrem** byli współorganizatorami robotniczych Batalionów Obrony Warszawy we wrześniu 1939 roku.

W **„Słowniku Biograficznym Działaczy Polskiego Ruchu Robotniczego"** pisze się, że **Józef Dzięgielewski** został „aresztowany 5 VI 1947 r. w związku z udziałem w próbie tworzenia i zalegalizowania Polskiej Partii Socjalno-Demokratycznej, 19 XI 1948 r. został skazany przez Wojskowy Sąd Wojskowy na 9 l. więzienia". Zwolniono go przedterminowo w październiku 1951 roku ze względu na stan zdrowia. Zmarł na gruźlicę 7 grudnia 1952 roku w Otwocku. I tyle!

3.

Obradujący w marcu 1959 roku **III Zjazd PZPR** odrzucił tezę o istnieniu w PPR „odchylenia prawicowo-nacjonalistycznego". O działaczy PPS nie miał kto się upomnieć?

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Biała Przemsza - osiedle pułapka

ze str. 1

najszybciej kontynuować śmigusową zabawę?

Z pochyłych betonowych ścian można zejść nad samą wodę schodkami. Dopływając do śluzy rzeka ma około 15 metrów szerokości. Do dwóch metrów głębokości. Za śluzą jest o połowę węższa, głębokość jest mniej więcej podobna. Ileż tu interesujących rzeczy dla dziecka. Ostry prąd szybko niesie wrzucone patyczki. Nurt odbiera też szybko nadzieję na odzyskanie wpuszczonej przypadkiem zabawki — np. dyngusówki. Dla małej dziewczynki czy chłopczyka nie musi być to od razu takie oczywiste.

Kogóż w tym wieku nie kusiłaby śluza. A gdyby tak wejść na metalowy podest? Jakże groźnie i ekscytująco wygląda rzeczka z tej wysokości. Śluza ma trzy przegrody, ale tylko środkowa jest przy tym stanie wód uchylona. Raptownie zwężające się koryto powoduje, że woda nagle przyspiesza swój bieg, lekko zawirowując miejscami. Jakaż to wspaniała zabawa i... jaka niebezpieczna.

Dwadzieścia metrów stąd — po drugiej stronie śluzy — w niewielkim baraczku dyżurują pracownicy Elektrowni Jaworzno III. To prawdziwy pech, że okna i drzwi nie wychodzą na śluzę. Kiedy pracownik przechadza się przed barakiem widzi wszystko, zawsze więc zwraca uwagę okolicznym dzieciakom, by za blisko nie podchodziły. Agnieszce i Piotrkowi, jeśli tu w ogóle były, uwagi nie zwrócił nikt.

Matka z babcią wszczęły poszukiwania swoich milusińskich w jakieś pół godziny po pozostawieniu ich przed blokiem.

„Gwiezdne wojny" ciągle trwały, ale poważnie zaniepokojone kobiety już wciągnęły do akcji najbliższych sąsiadów. Po filmie kilkunastu ludzi bezskutecznie przeczesywało najbliższą okolicę. Około godziny 19 nikt już nie uspokajał zrozpaczonych kobiet — do poszukiwań przyłącza się zaalarmowana milicja.

Cała nadzieja w specjalnie do takich celów szkolonych psach. Pierwszy z nich Misiek rzeczywiście udaje się w kierunku rzeki w okolice śluzy, ale tu zamiast zatrzymać się w miejscu ewentualnego utonięcia dzieci krążył jakiś czas wzdłuż brzegu, po czym prowadzi podążających za nimi ludzi do mostu kolejowego — jakieś trzysta metrów poniżej śluzy. Tu pod mostem biegnie ścieżka z osiedla w kierunku najbliższej szkoły. Obok są gęste krzaki — także wspaniałe miejsce do dziecięcych zabaw. Misiek ponownie traci orientację i kręci się bezradnie wokoło. Przewodnik sądzi, że całe to dziwne zachowanie się pieska spowodowane jest jego przemęczeniem. Tego dnia brał już udział w kilku milicyjnych akcjach.

Następny pies, sprowadzony w jakiś czas później, idzie zupełnie innym tropem. Począwszy od samego bloku, przed którym bawiły się dzieci, sunie w kierunku odwrotnym, oddalając się, a nie przybliżając do rzeczki. Doprowadza ludzi do autostrady Warszawa—Cieszyn, przebiegającej od miejsca zamieszkania dzieci jakieś 500—600 metrów. Tu ślad mu się urywa i pies przystaje bezradny.

Tak różne zachowanie się psów stało się powodem dezorientacji prowadzących śledztwo milicjantów. Rozpatrywano każdą wersję, nawet najbardziej fantastyczną. Każdy szczegół sprawdzany był wielokrotnie. Może dzieci zostały porwane? Może ktoś je zwabił do autostrady i wywiózł samochodem.

Setki ludzi szukały dzieci Helikoptery, patrole z psami Przesłuchiwano sąsiadów, dzieci. Minęły trzy dni, a śledztwo i poszukiwania nie posunęły się ani o krok. W dalszym ciągu każda z hipotez była jednakowo prawdopodobna. Wreszcie 20 kilometrów od osiedla, licząc wzdłuż brzegu rzeki Biała Przemsza — znaleziono zwłoki Piotrusia. Rodzice szaleli z rozpaczy.

— Utonęły — stwierdzili milicjanci.

Wszystkie ekipy skoncentrowały się koło rzeczki. Teoretycznie ciało dziewczynki powinno prędzej czy później odnaleźć się, gdyż Przemsza wpadając pod Oświęcimiem do Wisły jest przegrodzona siatką, na której zatrzymują się wszystkie większe przedmioty. Cały ten odcinek jest codziennie kontrolowany przez milicjantów ze wszystkich okolicznych posterunków. Dokładnie przeczesują teren wyspecjalizowane ekipy. Niestety, mimo największego zaangażowania ciała dziewczynki nie udało się odnaleźć.

Powróciła hipoteza o uprowadzeniu. Zboczeniec mógł przecież pozbyć się chłopczyka wrzucając go do wody, dla zmylenia śladów, zostawiając przy życiu dziewczynkę.

Mieszkańcy osiedla Białej Przemszy są dumni z okolicy, w której przyszło im mieszkać. Położone na uboczu Sosnowca, tonące w zieleni osiedle jest ciche i spokojne. O takim otoczeniu marzy się zazwyczaj w wielkim mieście.

— Mieszka się tu jakby na wsi — podkreślają mieszkańcy.

Ale ten spokój przyciąga niezrównoważonych osobników. Przez jakiś czas pod mostem kolejowym obnażał się zdążającym do szkoły dzieciom ekshibicjonista. Przegoniony przez kilka matek zmienił rejon swojego działania. Innego wystraszyła kobieta, która rozpoznała w nim pracownika swego zakładu. Wykluczyć więc całkowicie wersji ze zboczeńcem nie sposób, przynajmniej do czasu odnalezienia dziewczynki.

Niepozorna rzeczka już w przeszłości ujawniła swoje niebezpieczeństwo. Jakieś 8 lat temu, jeszcze przed uregulowaniem jej koryta, utopił się w niej kilkuletni chłopczyk. Kilkanaście lat temu do drugiej rzeczki, płynącej obok autostrady, wpadło inne dziecko, które co prawda wyłowiono, ale niestety zmarło ono później w szpitalu.

Dorośli widząc otaczające ze wszystkich stron osiedla laski i gaiki czują się jakby zwolnieni od troski, o to, gdzie ich latorośle mają się bawić.

Wszak okolica jest wymarzonym i najlepszym terenem zabaw — pamiętają to jeszcze z własnego dzieciństwa. Urządzenia do zabaw są więc tu w ilości mizernej — ot, jakaś piaskownica, a właściwie nic więcej. O przyzwoitym ogródku jordanowskim zapomniano, choć tutaj jest gdzie go zbudować. Nikt też nigdy nie pomyślał o ogrodzeniu rzeki i śluzy w bezpośredniej styczności z osiedlem.

Wątpić należy, czy kiedykolwiek dorośli dokonali przeglądu całego terenu pod kątem niebezpieczeństw, jakie czyhają tu na dzieci. Laski i polanki to tereny dawnych budów. Pełno tu pozostawionych kamieni, belek, płyt żelbetonowych, drutów. Roi się tu od dołków i dołów, w każdym zaś znajdują się jakieś materiały budowlane.

W osiedlu Biała Przemsza jest klub, ale straszy pustką. Jakiś czas były tam lubiane przez dzieci pokazy filmów video, teraz nie ma tam po co zaglądać. Mieszkańcom osiedla Białej Przemszy zabrakło wyobraźni. Nie spojrzeli na osiedle oczami dziecka i nie potrafili zrozumieć ogromu jego fantazji.

Agnieszka i Piotruś nigdy samodzielnie nie oddalali się dalej niż 50—100 metrów od swojego bloku. Zawsze byli przy nich opiekunowie. Fakty te podkreślają wszyscy sąsiedzi. Pozostawione właściwie po raz pierwszy na krótką chwilę zniknęły chyba bezpowrotnie.

Każdy maluch musi prędzej czy później wyrosnąć spod opieki dorosłych. Musi nauczyć się samodzielnie bawić, chodzić do szkoły itp. Rzeczą dorosłych jest nie tylko przestrzec dzieci przed grożącymi im niebezpieczeństwami, ale także formować w taki sposób otoczenie, by było w nim jak najmniej niebezpiecznych miejsc, pułapek, których samo tylko istnienie tworzy potencjalną tragedię. Osiedle Biała Przemsza w Sosnowcu, mimo uroczego otoczenia, taką pułapką jest.

MIROSŁAW KULIŚ

Foto: Grzegorz Gałasiński

Wiec młodzieży w pasażu ZWM

Odbyło się bez „fajerwerków"

MAREK JUŚKIEWICZ

1.

„Rozmowy „okrągłego stołu", które niedawno się skończyły nie rozwiązały podstawowych problemów młodzieży. Nie zmieniło się nic w sprawie Niezależnego Harcerstwa, postulatów środowiska akademickiego i młodzieży szkolnej. Protestujemy przeciwko lekceważeniu naszych podstawowych żądań. Wzywamy do udziału w manifestacji dnia 20 kwietnia 1989 (czwartek). Zbiórka o godz. W pasażu ZWM (koło „Siódemek").

Międzyuczelniana Komisja Koordynacyjna NZS Łódź

Takie ulotki pojawiły się na łódzkich uczelniach w ubiegłym tygodniu. Jednocześnie plakaty informowały o „manifestacji ulicznej" na ulicy Piotrkowskiej. Wiadomość ta szybko była przekazywana „pocztą szeptaną" po mieście. Szkoły średnie miały wziąć udział w akcji protestacyjnej — odpowiednią ulotkę, notabene identycznej treści sygnowała Federacja Młodzieży Walczącej.

2.

Czwartek — 20 kwietnia 1989. Zgodnie z zaleceniem MKK NZS kilkanaście minut przed piętnastą jestem na ulicy Piotrkowskiej. Ruch jak zwykle o tej porze duży. Przechodnie pośpiesznie przemierzają ten główny szlak handlowy Łodzi. Co bardziej doświadczeni jednym rzutem oka oceniają szanse zakupu i podążają dalej — od sklepu do sklepu, od kolejki do kolejki.

— *Miało być lepiej, a patrz pan, znowu po wódkę trzeba całą noc stać* — utyskuje babina. Z torby wystaje emerytura — 3 litry — to stary, czy nowy portfel?

W pobliżu pasażu ZWM zaczyna robić się tłoczno, chociaż w samym pasażu tylko kilka osób wygląda na potencjalnych demonstrantów. Reszta to przechodnie, zajmujący ławki emeryci, grupka bawiących się dzieci.

Za to chodniki ulicy Piotrkowskiej są wypełnione po brzegi. Przechodnie z trudem przebijają się przez ten fragment miasta. W tłumie coraz więcej twarzy. Spacerują, przystają koło sklepów i w okolicznych bramach — czekają.

3.

„(...) zezwalam na zorganizowanie i odbycie zgromadzenia studenckiego w dniu (...), o godz. (...) w pasażu ZWM, bez przemarszu ulicą Piotrkowską do skrzyżowania z al. Mickiewicza. (...)"

Kierownik Wydz. Społ.-Adm. Urzędu Dzielnicowego Łódź-Śródmieście.

A więc ci, którzy czekali na nielegalne zgromadzenie przeliczyli się — demonstracja jest legalna, oczywiście, o ile nie ruszy z pasażu.

4.

Dochodzi piętnasta. Pasaż ZWM wypełnia się. Wśród przybyłych spotykam znajomego.

— *Ludzie to olali; niewypał.*

Rzeczywiście — zebranych jest nie więcej niż sto osób. Ale za chwilę coś się zmienia. Czy to dyscyplina organizacyjna, czy wrodzona punktualność, a może wypracowane odruchy konspiracji — dość, że po rozwinięciu pierwszego transparentu pasaż zaczął się szybko wypełniać.

— *Dawaj kije, zawiesimy tą naszą serwetę* — zachęca ktoś i wyjmuje spod pachy płótno transparentu.

— Jest Politechnika i Akademia Medyczna.

— Gdzie są opaski dla porządkowych?

— *Przygotujcie transparenty, bo już trzecia* — maszyna organizacyjna rozkręca się Przez tubę słychać ogłoszenia: porządkowi po odbiór opasek.

Ludzi ciągle przybywa. Jest już około 500 osób. Co chwilę nowy transparent pojawia się nad głowami zebranych.

— *Na temat leków, to bardzo dobrze. Chodzi człowiek po aptekach i tylko słyszy, że nie ma* — komentuje emeryt dopiero co rozwinięte płótno: *„Więcej leków — mniej SB-ków".*

Przechodnie zatrzymują się, patrzą, dyskutują. Zainteresowanie wykorzystują kolporterzy. Rozchodzą się po Piotrkowskiej rozdając ulotki. Towar idzie jak woda.

„Centrala" prowadzi ostatnie narady. Wreszcie wszystko gotowe.

5.

Andrzej Jasionowski — NZS UŁ ocenia sytuację Zrzeszenia i środowiska akademickiego po zakończeniu obrad „okrągłego stołu". Przedstawia postulaty: nowelizacja ustawy o szkolnictwie wyższym, reforma szkolenia wojskowego, relegalizacja NZS bez zmian w statucie.

— *To my mamy za kilka lat budować ten kraj. I chcemy to robić. Ale skoro nam się zabrania możemy tylko wyjść na ulicę, albo emigrować.*

Wypowiedź jest nieczytelna dla postronnych obserwatorów:

— *Kogo panie obchodzi jakiś tam NZS, jak do pierwszego nie starcza.*

Student Politechniki Łódzkiej zabiera głos na temat reformy szkolenia wojskowego i służby wojskowej absolwentów. Popierają go oklaskami i okrzykami zebrani „Wojsko precz od studentów" — czytam na transparencie.

Następny jest przedstawiciel Związku Harcerstwa Rzeczpospolitej:

— *Jest nas w Polsce 10 tysięcy. Zabraniają nam działać, ale my mamy prawo do działania, bo każdy ma prawo do wychowywania dzieci według swoich ideałów. Państwo nie ma monopolu na wychowanie...*

Ostatnia prezentuje się Federacja Młodzieży Walczącej — organizacja działająca od 1984, a w Łodzi od marca 1988 roku.

— *Łódzka FMW łączy kilka niezależnych ugrupowań. Jednoczy nas wspólny cel — wolna i niepodległa Trzecia Rzeczpospolita.*

— *Trzecią Polskę zaczęli budować od mazania kredą na ścianach* — to głos za mną. Zgadzam się. Mnie też trzy są niepotrzebne — wystarczy jedna.

6.

— *Idziemy pod Centralę!* — to znak, że wiec skończony.

Transparenty wędrują do góry. Porządkowi formują pochód. Na nich spoczywa teraz odpowiedzialność za bezpieczeństwo zgromadzenia. Dziś jest ich osiemdziesięciu — z trzech uczelni — UŁ, PŁ i Akademii Medycznej. Każda uczelnia ma swojego szefa, który dobiera do pomocy ludzi odpowiedzialnych zaufanych. Oni w razie milicyjnej blokady mają zatrzymać kolumnę w bezpiecznej odległości od kordonu.

Z pasażu kolumna demonstrujących wychodzi na ulicę. Przez chwilę blokują ruch, ale porządkowi sprawnie ją spychają oczyszczając połowę jezdni.

Ponad tysiąc osób wolno idzie w kierunku al. Adama Mickiewicza. Nigdzie nie widać patroli milicji. Czoło zwalnia, jakby czekało na przybycie spóźnionych oddziałów ZOMO. Ale zomowcy zawiedli. Nie widać żadnego. Za to z ul. Tuwima wyjeżdża milicyjny „Polonez".

— *Osoby biorące udział w manifestacji proszę o zejście na chodnik* — milicjant apeluje przez megafon, ale nie robi to na nikim wrażenia.

— *„NZS! NZS!"* — skanduje czoło. Tył trochę się gubi. Duża grupa nie krzyczy wcale. Jeszcze inni idą równolegle z pochodem, tyle że chodnikiem. *„Precz z komuną!"* — nie bardzo koresponduje to hasło z celem demonstracji (może się mylę).

I znów: — *NZS! NZS! Autonomia na uczelni!*

Teraz wszystkie transparenty są czytelne: *„Chcemy żyć tu i teraz" „Żądamy reformy szkolnictwa".*

Zatrzymuję się, żeby posłuchać co ludzie mówią.

7.

— *Żądają słusznych rzeczy — tego, co im się należy. Oni dadzą coś od siebie, ale państwo też musi coś dać.*

— *Studenci mają rację. Publicznie obiecano im rejestrację i tego się teraz domagają.*

— *Przyglądam się i prawdę mówiąc, nie wiem o co chodzi.*

— *Mają wiele racji. Jeżeli dorośli nic nie robią, to może oni coś zmienią.*

— *Przypuszczam, że decyzje już zapadły i nikt nas nie pytał o zdanie. Takie demonstracje nic nie zmienią.*

— *Bardzo mi się to podoba. Tylko trzeba odizolować tych oprychów.*

— *Może ktoś wreszcie zrozumie, że nie można nie dostrzegać studentów. Ja sama byłam studentką — jeszcze w czasach stalinowskich. Teraz moja córka bierze udział w tym wiecu. Żądania są podobne.*

— *Władza powinna iść na ustępstwa. To nie te czasy, że można wszystkich pozamykać. Twardogłowi muszą ugiąć kark. Inaczej na tym się skończy.*

— *Mnie to nie interesuje — skończyłem studia, jestem po wojsku.*

— *Nie wiem, o co im chodzi, ale myślę, że to jest tak: ludzie razem studiują, mają wspólne sprawy, o coś walczą. A potem rozchodzą się za szmalem i wszystkie ideały mają w dupie.*

— *Jak się władza uprze, to nic nie pomoże. Nic się nie zmieni, dokąd nie wymusi się tego.*

8.

Około godziny szesnastej cała kolumna dotarła pod „Central". Tu, na rogu al. Mickiewicza i Piotrkowskiej odbył się krótki wiec. Przypomnienie celu ogólnopolskiej akcji protestacyjnej i postulatów NZS. Andrzej Jasionowski w imieniu Międzyuczelnianej Komisji Koordynacyjnej dziękuje za przybycie *wszystkim* zebranym.

— *Na Komitet!* — rzuca ktoś z tłumu, *ale porządkowi szybko go gaszą.* Wiedzą czym to grozi. W al. Kościuszki i na ul. Sienkiewicza stoją wozy milicyjne. Zwiadowcy donieśli, że są też armatki wodne. Organizatorzy boją się prowokacji lub zwykłej głupoty.

Demonstracja jest rozwiązana. Przez kilka minut zwarty tłum wolno dzieli się na małe grupy i rozchodzi. się

9.

Wieczorne dzienniki obok innych wiadomości podały: *„W kilku miastach odbyły się demonstracje studentów. Siły porządkowe nie interweniowały".*

Ogólnopolska akcja protestacyjna NZS (przynajmniej jej łódzka część) przebiegła bez fajerwerków dla zabawy „korespondentów wojennych" ze świata.

Ja jednak nie byłem zachwycony. Dlaczego?

Nie podobał mi się udział młodzieży szkolnej i ich wystąpienie pachnące beztroską zabawą w konspirację. Nie podoba mi się też robienie szumu wokół NZS bez rzeczowego wyjaśnienia, o co w tym wszystkim chodzi. Nie każdy wie, czym różni się ustawa o szkolnictwie wyższym z 1982 roku od jej noweli z 1985 r.

Przypomina to nieco niedawną awanturę z podręcznikiem do „Przysposobienia do życia w rodzinie" — „góra" się spiera, a reszta nie bardzo wie, jak reagować. Skoro studenci się gubią, to nie wyobrażam sobie, jak osoby spoza środowiska akademickiego mogą zgłębić tajemnicę niuansów rozwiązań prawnych.

ze str. 1

Drang nach Westen

ży się do skoku, by gdy tylko pociąg stanie, znaleźć się jak najbliżej drzwi. Co sprawniejsi fizycznie od razu rzucają się do okien. Technikę wchodzenia mają już opanowaną: najpierw Janek podsadza Franka, podaje bagaże, potem Franek wciąga Janka za ręce i tak obaj są już w korytarzu, w którym rozpoczyna się bezpardonowa walka o dosłownie każdy centymetr kwadratowy podłogi. W końcu chodzi już jedynie o to, żeby znaleźć miejsce dla obu nóg.

Kto z siedzących w przedziałach nie zdążył przed Poznaniem do toalety, ten nie ma już teraz żadnych szans. Musi wytrzymać aż do granicy, choć i tam nie jest łatwo, gdyż wopiści i celnicy nie pozwalają „kręcić się" po wagonie.

Odprawa w Kunowicach rozpoczyna się od opróżnienia korytarzy. Wszyscy, którzy nie siedzą — na peron. Szybko! Szybko! Bez gadania! Po chwili celnicy zapalają światła w przedziałach.

— *Czyj to bagaż?*

— *Mój.*

— *A ten? Co pani wiezie?*

— *Prezenty, pół litra wódki, papierosy...*

— *Ile?*

— *Dziesięć paczek.*

— *A ta kurtka też pani?* — i wprawna ręka wyciąga z rękawa drugi karton „Marlboro".

— *Ta?* — dziwi się dziewczyna. — *Ja zaraz...*

— *Wysiadać! Zabierać wszystko i wysiadać! No, ile razy mam powtarzać?! Teraz pan: otworzyć torbę!*

— *Dobra, wysiadać! Następny! Pan też! Na peron! Szybciej! A pani niech otworzy tę walizę...*

W przedziale zostają tylko dwie osoby. W następnym — trzy. W następnym — cztery. Jedna. Dalej próbuje ktoś żartować, że przecież dzisiaj prima aprilis, ale celnik zupełnie pozbawiony jest poczucia humoru, krzyczy jeszcze głośniej, grozi. Polka z paszportem konsularnym od kilku lat mieszkająca w Berlinie, nie kryje swego oburzenia:

— *Co za hołota! Chamstwo!*

— *Dziwi się pani? Każdy chce zarobić.*

— *Trochę się dziwię, bo można też inaczej. Ale ja o celnikach. Czy nikt tych panów nie uczył grzeczności? Nawet „dzień dobry" taki nie powie. Traktują ludzi jak bydło. U nas jest to nie do pomyślenia. Chyba ostatni raz jadę pociągiem. Rodzina w kraju miała rację: jedni warci drugich. Niech dadzą ludziom porządnie zarobić, to nie będą handlować. A zresztą, o czym my mówimy. Czasem wolę w ogóle nie przyznawać się, że jestem Polką, bo mi zwyczajnie wstyd.*

Tymczasem pociąg coraz bardziej pustoszeje, cichnie, zamiera w ponurym oczekiwaniu na odjazd i tych, których wysadzono. Część zdąży jeszcze zająć swe dawne miejsca, choć już z mniej wypchanymi torbami. Część wróci do domu. Część pojedzie następnym. Nie wszystko przecież stracone.

6.

„Wskazówki dla odwiedzających Berlin:

Drodzy turyści z Polski, serdecznie witamy Państwa jako gości w naszym mieście. Z aktualnego powodu prosimy jednak bardzo o to, żeby Państwo w czasie wizyty w Berlinie nie sprzedawali żadnych towarów. Place dotychczas wykorzystywane do sprzedaży nie stoją już do dyspozycji i są strzeżone. Właściwe urzędy będą surowo kontrolowały i pilnowały przestrzegania istniejących przepisów prawnych nie tylko przy wjeździe, lecz także w czasie pobytu na terytorium miasta. Naruszenia pociągają za sobą:

— wydalenie z notatką w paszporcie, która zabrania ponownego wjazdu;

— konfiskatę ofiarowanych na sprzedaż towarów.

Prosimy o zrozumienie dla naszych wskazówek, które mają Państwu umożliwić przyjemny pobyt w Berlinie.

Senat Berlina".

7.

Na dworzec Zoologischer Garten pociąg relacji Warszawa—Berlin-Kolonia dociera z ponad dwugodzinnym opóźnieniem. Dwumilionowe miasto zdążyło się już obudzić, przetrzeć oczy i wypić poranną kawę. Teraz pora wyjść gdzieś na spacer, zrobić zakupy lub zająć się ogródkiem, działką, albo wsadzić nos w gazetę, czy w telewizor. Zwyczajnie, jak w każdy weekend, który dla większości berlińczyków upływa naprawdę pod znakiem wypoczynku.

Dla przybyłych właśnie Polaków weekend w Berlinie jest okresem wytężonej pracy, tułaczki po ulicach, nierzadko strachu i poniżenia. Mimo to, ochoczo wylegają z dworca, niosąc w torbach z trudem zdobyty w kraju towar, a w sercach nadzieję, że tym razem pozbędą się go szybko, bez kłopotu, choć z tygodnia na tydzień coraz to trudniej.

Miejscowe władze zamknęły już wiele nielegalnych targowisk, wzmocniły patrole policji, a w prasie wciąż pisze się o wyczynach *„polnische Schwarzhaendler"*[1]. Tylko że co to jest wobec perspektywy zarobku w prawdziwych pieniądzach? Dlatego kilkusetosobowa grupa turystów bez grosza przy duszy mknie na wyścigi w miasto, by jak najlepiej się ustawić, złapać jak najwięcej klientów i jak najszybciej wyjść na swoje. W biegu — wymiana ostatnich informacji: co, gdzie i za ile. Rutyniarze starają pozbyć się natrętnego towarzystwa debiutantów. Rodzi się konkurencja. Pytania po polsku i niemiecku: jak dojść do...?

Rzeka polskiej mowy rozlewa się szeroko na Kreuzberg, Tiergarten, Charlottenburg[2]. Po kilku godzinach, wraz z nadejściem następnego pociągu, następnych autobusów i samochodów — wzbiera ponownie. Tak samo nazajutrz rano.

Żywioł nie do opanowania.

8.

„Der Tagesspiegel" z 2 kwietnia 1989 roku:

„Nielegalna sprzedaż żywności, artykułów gospodarstwa domowego i odzieży przez polskich handlarzy na targu starzyzną i w jego okolicach podczas weekendu znów się zmniejszyła. Jak dowiedzieliśmy się od policji, jedynie na Schoeneberger Ufer spotkano ponad 150 polskich handlarzy.

Podobnie wyglądała sytuacja na przejściach granicznych. Na punkcie kontroli Dreilinden zatrzymano mniej gości z Polski. Do południa zarejestrowano tylko 280 samochodów osobowych i 14 autobusów. Przed pięcioma tygodniami w analogicznym czasie odprawiono na tym punkcie 550 samochodów.

Silniejszy natomiast był napór przyjezdnych na przejście Heiligensee, z którego korzystają przeważnie Polacy z północnej części kraju. Przekroczyło je 7 autobusów i ponad 180 samochodów osobowych. Liczba ta jest niewiele mniejsza od tej, jaką podały władze celne przed trzema tygodniami, kiedy to odnotowano tam najwięcej wyjazdów".

9.

Niedzielny ranek w Berlinie — jeszcze spokojniejszy, jeszcze bardziej senny od sobotniego. Zamknięte sklepy, pustawo w metrze i kolejce naziemnej, na ulicach... Zimno, więc nawet spacerowiczów nie za wielu.

Wyjątek stanowi mały park w pobliżu bazaru przy Potsdamer Platz, po którym od wczesnych godzin krąży kilkadziesiąt osób z wypchanymi torbami podróżnymi. Mówią po polsku, myślą po polsku, liczą po polsku... Po polsku mogą też przeczytać napisy na stojących wokół tablicach: *„Niszczenie zieleni i uprawianie handlu na terenie parku surowo wzbronione!"* Tablicach ustawionych specjalnie dla nich.

Zasada jest prosta: spacerujesz tam i z powrotem, albo siedzisz na ławce. Torba — obowiązkowo zamknięta — działa jak szyld, więc klient podejdzie sam. Wtedy otwierasz ją, pokazujesz towar, podajesz cenę i — gdy w pobliżu spokojnie — albo sprzedasz, albo czekasz dalej. Cenę wywoławczą dyktuje wartość towaru w złotówkach, wygląd zewnętrzy klienta i twoje zmęczenie. Możesz, ba, nawet powinieneś się targować, pamiętając, że tu przecież w sklepach wszystko jest. Nie tyle zatem klientowi potrzebny twój towar, co tobie — jego marki. To on ci robi łaskę, że kupuje za pół darmo. Dlatego musisz być elastyczny, udawać, że taniej już nie możesz, bo to się nie opłaca, choć dobrze wiesz, że i tak „przebicie" masz niezłe. Poza tym liczy się także twój czas. Klient nie kupi dziś, to kupi za tydzień. Ma blisko. Ty, kto wie, kiedy znów wysiądziesz z pociągu na głównym dworcu ZOO, bo polscy celnicy „trzepią" coraz bardziej. I to już naprawdę tylko twoje zmartwienie.

Kupują najczęściej Turcy, Jugosłowianie, Arabowie i.. Polacy. Ci, którzy są od niedawna i na razie im się nie przelewa. Tu zaoszczędzają trzy marki, tam — pięć, nie skasują biletu w metrze i jakoś daje się żyć. W kiosku lub w automacie paczka „Marlboro" kosztuje 4 DM, w parku — cały karton 15. „Carmeny" idą po 7-8 DM. Pół litra wódki — co najmniej o połowę taniej niż w sklepie. Kto musi wypić, a nie ma pieniędzy, kradnie lub bierze z torby. Wielu Polaków-emigrantów nie ma, dlatego biorą od rodaków. Ale rodowity berlińczyk nie weźmie. Stać go. No i nieeleganckie to jakieś, podejrzane, niezgodne z prawem. Co innego popatrzeć, pośmiać się, pokręcić głową. To wolno. Tego policja nie zabrania. A policja czuwa. Też przechadza się po alejkach, rozgląda. Do toreb jednak nie zajrzy, bo co kto nosi, to jego prywatna sprawa.

Kierownik wydziału d.s. polityki gospodarczej berlińskiego Senatu, Heydrich mówi, że w porównaniu z lutym i marcem sytuacja uległa pewnej poprawie i policja może zachowywać się bardziej powściągliwie.

10.

Z marcowego dodatku specjalnego do „Die Tageszeitung":

„Pytanie (na które wielu berlińczykom trudno odpowiedzieć): *jak daleko jest od Bramy Brandenburskiej do polskiej granicy? — Całe 50 kilometrów. I oto skutki, jakie przyniosła decyzja rządu w Warszawie o możliwości wyjazdu do Zachodniego Berlina bez ograniczeń. Na Potsdamer Platz powstało targowisko bez stołów i straganów. Ponad 8 000 polskich rodzin i studentów poprawia swoje marne dochody. Wystarczy sprzedać 20 butelek wódki, aby podwoić miesięczny zarobek".*

11.

Wódkę ma prawie każdy. Najczęściej z „Pewexu". W niedzielę można ją było kupić bez trudu w parku obok bazaru, na skwerze przy Anhalter Bahnhof, pod filharmonią, a nawet po mszy przed kościołem polskiej parafii katolickiej w dzielnicy Tempelhof, gdzie był również spory wybór najnowszej krajowej prasy, „Polityka", „Przegląd Tygodniowy", „Reporter", „Konfrontacje"... Po marce za egzemplarz Tamocha.

Prawie każdy oferował też papierosy. Poza tym — komplety pościeli (25 DM), kryształy (20 DM), budziki (10 DM). Wszystko dwa, trzy razy taniej niż w sklepach.

Ile z tego można mieć?

Pewien mieszkaniec Warszawy przyznał, że „na czysto" wychodzi zawsze po 40-50 marek, czyli tyle, ile dostaje za cały miesiąc pracy w kraju. Wychodził, bo był już przedtem cztery razy, ale teraz, zdaje się, koniec. Szlaban — mówi. Spisali go na granicy, więc pewno więcej nie pojedzie. Dziś zostały mu jeszcze tylko cztery tłuczki do mięsa po 3 marki sztuka i jeden budzik. No, może też jeszcze sprzedać termos, w którym miał herbatę na drogę. Nie będzie mu już chyba potrzebny.

12.

„Der Tagesspiegel" z 14 marca 1989 roku:

„Zalegalizowanie „polskiego bazaru", *na którym obywatele polscy mogliby legalnie sprzedawać w dowolnych ilościach przywiezione oficjalnie i przemycone towary, na razie nie wchodzi w rachubę. Opinia ta została wyrażona przez przedstawiciela specjalnej grupy roboczej powołanej przez Senat, jak również przez rzecznika francuskich władz wojskowych, które w tym miesiącu reprezentują aliantów.*

Jak poinformowano, w ostatnich tygodniach w Senacie rozważany był projekt zalegalizowania handlu przez Polaków, o ile ich liczba utrzymałaby się na stosunkowo niskim poziomie. Osobisty referent senatora d.s. gospodarki, Micheleit powiedział, że Polacy mogliby oferować swoje towary na wydzielonym terenie, na straganach, za korzystanie z których musieliby płacić. Warunkiem tego — twierdzi Micheleit — musiałaby być jednak zmiana zarządzenia władz alianckich z 17 lipca 1967 roku... (...)

Uzyskanie dodatkowego przywileju dla Polaków, chcących uprawiać prywatny handel, wymaga oficjalnej inicjatywy ze strony Senatu. Ale na to — wyjaśnił Micheleit — obecnemu Senatowi nie wystarczy już czasu. Także rzecznik aliantów potwierdził, iż na razie Senat nie poczynił w tym kierunku żadnych konkretnych kroków".

13.

Polski Drang nach Westen po 1 stycznia 1989 roku zaskoczył i zdumiał berlińczyków. Zwłaszcza tych, którzy o życiu za Odrą mieli raczej mgliste pojęcie.

— *Jak to możliwe* — pytali jedni — *że z kraju, gdzie jeszcze do niedawna wysyłaliśmy tak dużo paczek z żywnością, teraz przywozi się do nas kiełbasę, masło, ser?*

— *Zakazać, wyrzucić, zamknąć granicę!* — krzyczeli z oburzeniem drudzy, pisząc nawet w tej sprawie oficjalne petycje do władz miasta.

Jeszcze inni starali się zrozumieć, wczuć się w sytuację handlujących „na czarno" Polaków i nierzadko wyciągali prosty wniosek, że właściwie trudno im się dziwić. Przy takich zarobkach, relacjach cen i czarnorynkowym kursie walut...

Prasa od początku też nie była zgodna w ocenach. Gdy bowiem springerowski „Bild Zeitung" nawoływał do zaprowadzenia z Polakami porządku, widząc ich wszędzie dwa razy więcej niż rzeczywiście było, to zbliżony do Alternative Liste[4] „Tageszeitung" serdecznie witał na swych łamach „przybyszów z Polski" i zapewniał, że *„wszyscy uczciwi mieszkańcy naszego miasta, pomni cierpień i krzywd wyrządzonych naszym polskim sąsiadom w imieniu narodu niemieckiego, potępiają wszelkie oznaki wrogości wobec polskich przybyszów"*, gdyż *„wynikają one częstokroć z błahych przyczyn i małostkowej nieustępliwości"*, wobec czego *„oznakom takim należy się zdecydowanie przeciwstawić"*.

W miarę upływu czasu emocje zaczęły jednak opadać. Berlin jakby przyzwyczaił się, zobojętniał nieco, po części może nawet zaakceptował *„przybyszów z Polski"*, którzy w sumie okazali się mniej groźni niż początkowo sądzono. Co prawda, na polecenie władz place, gdzie grupowało się najwięcej handlarzy zostały ogrodzone i zamknięte, ale przecież problem nie zniknął całkowicie i to pomimo że polskie służby celne też w tym okresie nie próżnowały.

Po miesiącu intensywnej pracy utworzona ad hoc specjalna senacka grupa robocza d.s. nielegalnego handlu została rozwiązana z powodu — jak poinformowano — braku podstaw do dalszego działania. Zdaje się, ostatecznie upadł też pomysł zalegalizowania *„polskiego bazaru"*. Nie zyskał akceptacji inny — aby wprowadzić dla Polaków wizy. Berlin — powiedziano — w dalszym ciągu pozostanie miastem otwartym i na Wschód i na Zachód.

14.

Krempelmarkt przy Potsdamer Platz, czyli oficjalny bazar berliński niewiele różni się od tego na warszawskiej „Skrze", czy na łódzkim Górniaku. Stragany ze starociami, książkami, płytami, używanym sprzętem elektronicznym, buty, ubrania, narzędzia, śrubki i druciki. Tłum ludzi. Gwar i ciasnota. Jeszcze niedawno na jego obrzeżach rozkładali swe kramiki również Polacy. Teraz, po ogrodzeniu i zaostrzeniu kontroli nie ma ani jednego. Powód prosty: „placowe" kosztuje tu 20 marek, a na tyle niedzielnych handlarzy z Polski po prostu nie stać. Kręcą się więc przed bramą w asyście policjantów, przestępują z nogi na nogę, a jeśli już wchodzą, to żeby popatrzeć, albo okazyjnie kupić coś od Turków za uciułane z trudem drobniaki. Jakiś ładniejszy ciuch, magnetofon w nieziym stanie, parę kaset video. Na więcej ich nie stać. Tak samo zresztą — żeby zagrać w „trzy karty", które tu mają postać trzech pudełek po zapałkach, pod jednym z których kryje się kulka z aluminiowej folii.

— *Gdzie ona jest?* — pyta po niemiecku młody Turek, rozglądając się równocześnie, czy w pobliżu nie ma stróżów prawa.

— *Kto widział?* — zachęca. — *Pan? Pan? A może pan?*

— *Wieviel stawka?* — łamie się w końcu jeden z gapiów. Turek wyjaśnia, że tylko sto marek. Rozkłada pudełka jeszcze raz. Polak odchodzi zawiedziony. Czuje, że na pewno by wygrał. Przecież dobrze widział. Mówi, że zna te sztuczki z polskich bazarów, więc już on by pokazał temu Turkowi. Tylko skąd wziąć te cholerne sto marek?

PAWEŁ TOMASZEWSKI

[1]) czerwony stempel w paszporcie z herbem Berlina (niedźwiedź) uniemożliwiający ponowny wjazd do miasta

[2]) polskich handlarzy „na czarno"

[3]) nazwy dzielnic Berlina

[4]) berlińska odpowiedniczka zachodnioniemieckiej Partii Zielonych

Foto: Paweł Tomaszewski

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

Miało być...

Miało być szczęśliwie do bólu — iloczyn
tyluset marzeń,
a tu po prostu o bilet pytają kolejarze.
Wierzby miały pachnąć nam polsko — tam
przecież wierzb nie było,
tu rozdarte tragicznie stoją i po prostu
pozwalają się ominąć.
Na wiatr czekaliśmy znajomy, co kiedyś jak
wino odurzał —
jest, rzuca chmurą za nami, pył wapienny
miesza na gruzach.
A radość tych, co czekali? Jedna dobitniejsza
głoska
i już. I nic się nie stało. Jakby nigdy nie
było rozstań!
I nikt o nic nie zapyta. Szukaj dla siebie
miejsca
w świecie, co żył i bez ciebie, choć nikt z nas
w to wierzyć nie chciał.

(Wiersz napisany we wrześniu 1946 roku po powrocie z wieloletnich wędrówek wojennych)

Półka z książkami

LISTY CZECHOWA

Dwa obszerne tomy listów Antoniego Czechowa w przekładzie Natalii Gałczyńskiej i Ałły Sarachanow. Są one — tak sądzę — najlepszą z autobiografii, jaką mógł zostawić po sobie ten niezwykły człowiek. Cóż to za pasjonująca lektura! Korespondencja obejmuje 16 lat i była skierowana do rodziny, przyjaciół i znajomych. Wyłania się z niej nie tylko Czechow jako człowiek, ale także solidny kawał życia carskiej Rosji na przełomie XIX i XX wieku.

Antoni Czechow: Listy. Wyd. Literackie 1988. Tomy I i II. Str. 354+512. Cena 3.200 zł.

Poczta literacka

Co prawda pisał Norwid, iż „nie masz dróg do potomności, jeno po samodzielnych bojach", ale współczesnym życiem literackim (szczególnie młodoliterackim) rządzi zasada, którą tu wyrazamy nieco żartobliwie: w grupie raźniej! Rzeczywiście — grupa literacka z wyraźną poetyką podbudowaną jeszcze programem — manifestem może stanowić element „mnemotechniczny" we współczesnej wielogłosowej artykulacji poetyckiej. Najpierw jest znak rozpoznawczy dla kilku czy kilkunastu twórców, potem już można sobie pozwolić na „samodzielne boje". Spełniam zatem prośbę liderów grupy artystyczno-literackiej „IZAN 89" i przekazuję ich apel o „nawiązanie korespondencyjnych i osobistych kontaktów z wszystkimi ludźmi, którzy uprawiają nieprofesjonalnie różne formy twórczości artystycznej, a którzy z różnych przyczyn pozostają nie ujawnieni i nie znani w oficjalnym ruchu artystycznym". Brak miejsca nie pozwala mi na przedstawienie manifestu „IZAN", zresztą ów manifest będzie weryfikowany przez późniejsze konkretne działania. Zainteresowani mogą się kontaktować z panami: Bolesławem Michałem Donderem oraz Maciejem Oskarem Ratajczykiem — ul. Piotra Skargi 6 m. 19 95-100 Zgierz.

Dodam jeszcze, że młodzi twórcy, szczególnie ci, którzy mieszkają w Łodzi mogą „doszlusować" do grupy poetyckiej „WIADUKT" (Piotrkowska 262 — Pałacyk, kontakt z p. Wojciechem Tworko) oraz grupy „CENTAURO" (Centrum Kultury Młodych, Lokatorska 13 — p. Henryk Zasławski). Zapraszam i zachęcam.

„I w wieczność — skoczył..."

Jeszcze kilka miesięcy temu w przykościelnych stoiskach księgarskich można było natrafić na wydaną starannie książkę zatytułowaną **„Miłość jest twórcza. Św. Maksymilian Kolbe w rzeźbie i poezji"**. Warto zwrócić na nią uwagę.

Zamierzenie wydawcy — Ośrodka Pamięci Św. Maksymiliana Kolbego w Zduńskiej Woli — było skromne: opublikować katalog ogólnopolskiego konkursu na rzeźbę upamiętniającą postać świętego. W konkursie, rozstrzygniętym w sierpniu 1983 roku wzięło udział sześćdziesięciu siedmiu autorów. Byli to głównie rzeźbiarze nieprofesjonalni, świątkarze i artyści ludowi. Stąd prostota, pierwotność i naiwny realizm wszystkich nadesłanych dzieł. Ale i także konwencjonalność budowana z jednej strony przez folklorystyczną wyobraźnię, a z drugiej przez stereotypy rzeźby sakralnej, którą wypełnione są polskie kościoły, ołtarze i przydrożne kapliczki. Mimo rozmaitych tworzyw, technik i gatunków wszystkie nadesłane prace skupiają się na jednym, głównym motywie: cierpienia i ofiary, który kreowany jest przez oświęcimskie realia, też przedstawiane w symbolicznym skrócie: pasiak, cela, drut kolczasty, więzy. Ta dwojaka konwencjonalność sprawia, iż niektóre rzeźby mają charakter hieratyczny i wzniosły, inne natomiast podkreślają uproszczoną „zwyczajność". Przedstawiają świętego oddającego życie w imię ideałów, w które wierzył i człowieka, więźnia jakich było tysiące.

Zygmunt Graczyk

Ów katalog — jak sądzę — nie bez inicjatywy jego redaktora, poety i nieodżałowanej pamięci prawdziwie oddanego literaturze działacza — **Feliksa Rajczaka** (ostatnia to bodaj książka, którą przed śmiercią zdołał przygotować) przemienił się w całkiem pokaźną antologię poezji memoracyjnej ku czci ojca Kolbego.

Wiersze towarzyszące fotografiom konkursowych rzeźb, ich poetyka i językowy warsztat, wywodzą się z innego obszaru twórczości artystycznej. Rzeźby wyrosły na gruncie folkloru, kultury naiwnej i nieoszlifowanej — poezja nosi cechy literatury wysmakowanej, w pełni świadomej swojego tworzywa i wierszotwórczych chwytów. Pośród wielu nazwisk (nie sposób wymienić wszystkich) znajdziemy w antologii autorów w polskiej poezji znanych i cenionych: **Macieja Józefa Kononowicza, Jerzego S. Sitę, Jana Huszczę, Jana Twardowskiego, Feliksa Rajczaka, Michała Stefana Daleckiego, Tadeusza Chróścielewskiego, Romana Gorzelskiego i Zdzisława Łączkowskiego.** Zarówno daty, w których powstały wiersze (najwcześniejszy Kononowicza, pochodzi z roku 1944 — najpóźniejszy, Chróścielewskiego z 1983 — notabene liryczny opis jednej z konkursowych rzeźb), poetycka dykcja każdego z poetów, konwencje i tradycje, w których zakorzeniają swoją indywidualną twórczość decydują o niezwyczajnej różnorodności artystycznej antologii. Od prostej relacji ze ściśniętym gardłem (wiersz Kononowicza „Ojciec Kolbe"), poprzez gatunki utwierdzone w konfesyjnej liryce religijnej (akt strzelisty, litania, modlitwa i psalm), barokowe okresy nasycone metaforą (Chróścielewskiego „Błogosławiony ojciec Kolbe"), ludową pieśń („Kolbe dobry apostoł" Zbyszka Bednorza), po poetyckie ni to eseje, ni to reportaże pisane symbolizowaną prozą (teksty Gorzelskiego).

Łączą wiersze zgromadzone w antologii — co oczywiste — ich tragiczny bohater, motywy biograficzne i oświęcimskie realia.

„Tej śmierci nie da się jednak uprościć.
Wybrał. Z wiary. Z Ewangelii.
Z mocy.
Poświadczył istnienie nieśmiertelności
I w wieczność — skoczył..."

kończy swój wiersz Maciej Józef Kononowicz. Antologia — katalog zredagowany przez Feliksa Rajczaka przynosi artystyczny argument: tej śmierci nie da się uprościć.

GRZEGORZ GAZDA

F. Rajczak (red.), „Miłość jest twórcza. Św. Maksymilian Kolbe w rzeźbie i poezji", Zduńska Wola 1988. Oprac. graficzne Sławomir Iwański, zdj. Grzegorz Przyborek, nakład 5 tys.

„Buczki" i sokoły

Znana pieśń Moniuszki **„Przylecieli sokołowie"** stała się „powracającą melodyjką" **XIII Łódzkiego Turnieju Chóralnego,** zorganizowanego 16 kwietnia w sali Liceum Muzycznego przez miejscowy oddział Polskiego Związku Chórów i Orkiestr, przy współudziale Federacji Stowarzyszeń Kulturalnych. Spośród 11 biorących udział w imprezie zespołów aż 4 włączyły ów przebój do swego programu. Nie w każdym jednak wykonaniu brzmiał on ciekawie. Bo też nie same śpiewacze sokoły zleciały się tego dnia. Na skutek niebrania przez organizatorów pod uwagę jakichś wstępnych kryteriów uczestnictwa, poziom występów był tak zróżnicowany, że można by zastosować pełną skalę szkolnych ocen — od piątki do dwói. Podejrzewam, iż punktacja jury, pracującego pod przewodnictwem **prof. Zygmunta Gzelli** z łódzkiej Akademii Muzycznej, wyglądała, mniej więcej, tak właśnie.

Jedna z pierwszych pieśni zaśpiewanych tego przedpołudnia nosiła tytuł **„Trzysta buczków".** Gdy na estradę wkroczył **Chór Towarzystwa Śpiewaczego „Lutnia" w Konstantynowie,** tytuł ten ponownie przyszedł na myśl, ale w znaczeniu ironicznym. Ci najsłabsi w turnieju chórzyści buczeli bowiem, fałszowali i urywali frazę permanentnie, nie napotykając zresztą jakiejkolwiek próby ratowania sytuacji przez dyrygentkę. I ją też obarczam główną odpowiedzialnością za fatalny poziom konstantynowskiego ansamblu. Niewiele lepszy okazał się, notabene, inny chór...

Na szczęście udane produkcje przodujących grup stanowiły rekompensatę. Było ich niewiele, gdyż — jak powiedział mi prof. Gzella: „— Od szeregu lat sytuacja nie zmienia się. Jest tylko kilka zespołów dobrych i wybitnych. W tym roku dołączył do nich **Akademicki Chór Politechniki Łódzkiej,** pracujący pod nowym kierownictwem **Andrzeja Wierzbowskiego** oraz posiadający już nie tylko nowego dyrygenta (**Jana Przybylskiego**), ale też zupełnie zmieniony skład osobowy — **Chór Towarzystwa Śpiewaczego im. K. Szymanowskiego w Łodzi.** Skądinąd ciekawe, co stało się z dawnymi członkami tego stowarzyszenia... W większości chórów widoczny jest niedobór głosów męskich. Rzutuje to na równowagę i jakość brzmienia. Szkoda, że do obecnego turnieju przygotowała się zaledwie połowa zespołów zrzeszonych w łódzkim oddziale PZChiO".

Niedobór głosów męskich a ogólnie — trudności z werbowaniem młodzieży, nieskorej dziś do działalności amatorskiej, tzn. nie przynoszącej zysku, nie rokują nadziei na przyszłość. Najlepsze chóry: **„Harmonia" z Łodzi** pod dyr. **Henryka Blachy** (I miejsce w kategorii II) oraz Chór im. K. Szymanowskiego (II miejsce w kategorii I — miejsca I nie przyznano) dysponują młodymi głosami, jednak są to często zachęceni do współpracy studenci i absolwenci Akademii Muzycznej. W takiej sytuacji o wiele łatwiej osiągnąć wysoki poziom. Tym większe uznanie budzi więc nie zasilony muzykami, wykorzystujący umiejętnie atut młodości, Chór Politechniki (II nagroda w kategorii II).

W tym roku po raz pierwszy wprowadzona została klasyfikacja w dwu kategoriach. Rozdział nagród wyglądałby pewnie inaczej, gdyby niektóre dobre i doświadczone chóry nie wybrały repertuaru z łatwiejszej kategorii II. Za rok główni laureaci mogą być już więc zupełnie inni.

JANUSZ JANYST

PESTKI DYNI

„Jesteśmy u progu podróży w nieznane, a podróż ta przyniesie wielkie odkrycia". (prof. M. Augustine — BIOSFERA II).

Nie, nie, to nie z powodów efektów okrągłego stołu i spraw pochodnych rozpoczynam w ten sposób. Aż takim optymistą to ja jeszcze nie jestem; i nie będę...

Blisko 80-letnia już „popowa babcia" nadal jest w świetnej formie artystycznej i fizycznej — Tina Turner! Supergwiazda rocka i supersymbol seksu wierzy w reinkarnację: — Żyłam już kiedyś, w Egipcie... — mówi. Posiadła sztukę zaglądania w najdalsze i najtajniejsze zakamarki własnej duszy i nie robi nic bez uprzedniej konsultacji ze swoim psychiatrą. Co pewien czas każe sobie jakąś część ciała podnieść, popuścić, zmniejszyć, zwiększyć, zaokrąglić, wyszczuplić itd., zaś regularnie, co roku, poddaje się całkowitej wymianie czyli odmłodzeniu krwi. Tina pozwala też siebie raz na tydzień „doładować" energetycznie, na seansach akupunktury. Stosuje też inne jeszcze sposoby aby zachować dobrą kondycję, ale to są już jej prywatne sprawy. Albo temat na osobne opowiadanie...

Od dawna wszyscy, którzy pracują ciałem — aktorzy piosenkarze, modelki, luksusowe kurwy bądź bogate gospodynie domowe wszelkiej płci — poddają się zabiegom korekcyjnym, upiększającym, odmładzającym w specjalistycznych klinikach. Nie ma w tym niczego złego ani dziwacznego, bo jeśli można coś poprawić, zmienić na ładniejsze — to dlaczego tego nie zrobić? Nie tylko z zewnętrzną powłoką człowieka można dziś uczynić niemal wszystko; również niemal wszystkie organy wewnętrzne można przeszczepić, naprawić, wymienić, a tych, których nie można dziś, będzie można już jutro...

Pozostały — jak do tej pory — dwie enklawy dziewicze: rozum i talent. Prawdziwemu głupcowi rozumu nikt nie przeszczepi, a żaden przeciętniak — póki co! — nie zostanie geniuszem. Jest to pocieszające, bo mimo że głupcy na tym świecie rodzą się wprost na kamieniach, a przeciętniaków jest jak „mrówków" — to rodzą się też tu i ówdzie ludzie rozsądni i obdarzeni wielkimi talentami... Tak więc rozum i talent pozostają nadal w gestiach NATURY, PRZYPADKU, NIE WIADOMO CZEGO, może KOSMITÓW, którzy NAS HODUJĄ?...

Czerwonobrunatny piach ciągnący się od horyzontu do horyzontu, gdzieniegdzie dziwaczne kształty poszarpanych skał, pustka, sucho, gorąco i ciągle wiatry... Nieziemski krajobraz, „marsjański" — jak to się mówi. To pustynia Gila w Arizonie, jedno z najbardziej paskudnych miejsc pod słońcem — i o to właśnie chodziło! W jej sercu zbudowano przedziwną budowlę ze stali i pancernego szkła — półkulę wspartą na stalowych łukach. Jest całkowicie zamkniętym światem o pojemności 550 tys. m sześc. — bez żadnych otworów na zewnątrz, poza jedną śluzą wyjściową. Wewnątrz znajduje się 7 stref ekologicznych. Każda strefa jest swoistym odpowiednikiem typowych stref ekologicznych ziemi. Jest więc tu tropikalna dżungla, moczary, sawanna, pustynia, morze, góry i wreszcie część zmieniona przez działania ludzkie: ogrody i pola uprawne. Naturalnie nie są to wszystkie strefy ekologiczne istniejące w ziemskiej biosferze, ale wystarczają dla zamierzonego doświadczenia: ich malutka powierzchnia mieści najważniejsze gatunki roślin i niektóre wybrane gatunki ziemi, typowe dla danej strefy. W części uprawnej znajdują się sady, ogrody, pola, stawy rybne. Ponadto 140 starannie dobranych gatunków drzew owocowych, warzyw, zbóż a także farma ze zwierzętami hodowlanymi i oczywiście dom mieszkalny, wyposażony we wszystko, czego trzeba ludziom i w jeszcze więcej. A więc laboratoria naukowe i komputery z gigantyczną pamięcią wypełnioną informacjami naukowymi i technicznymi. Jest też supernowoczesny system dostarczania informacji na każdy żądany temat. Całość nazywa się BIOSFERA II, a przez projektantów, programistów i tych, którzy będą w niej mieszkać — BAŃKA NOEGO...

W tym SAMOWYSTARCZALNYM systemie ekologicznym zamkniętych będzie przez 2 lata 8 naukowców — kobiet i mężczyzn... Eksperyment ma dostarczyć informacji o wszelkich zależnościach ekologicznych, o powiązaniach wzajemnych występujących w rzeczywistej otoczce „życiowej" ZIEMI, czyli o biosferze. Drugi cel — to próba stworzenia kolonii ludzkiej na Księżycu lub Marsie... W swym egoizmie i egocentryzmie zaczęliśmy od siebie: potrafimy już przeszczepiać serca i nerki..., znakomicie podnosimy obwisłe cycki i pośladki... Teraz zaczynamy myśleć — jak wyleczyć ZIEMIĘ? I jak ewentualnie zabezpieczyć się przed katastrofą, kiedy się okaże, że jest ona chora nieuleczalnie...

ANDRZEJ GRUN

P.S. Wiadomości o eksperymencie z artykułu M. Nowieckiego — „Fantastyka" nr 1 — 1988.

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata

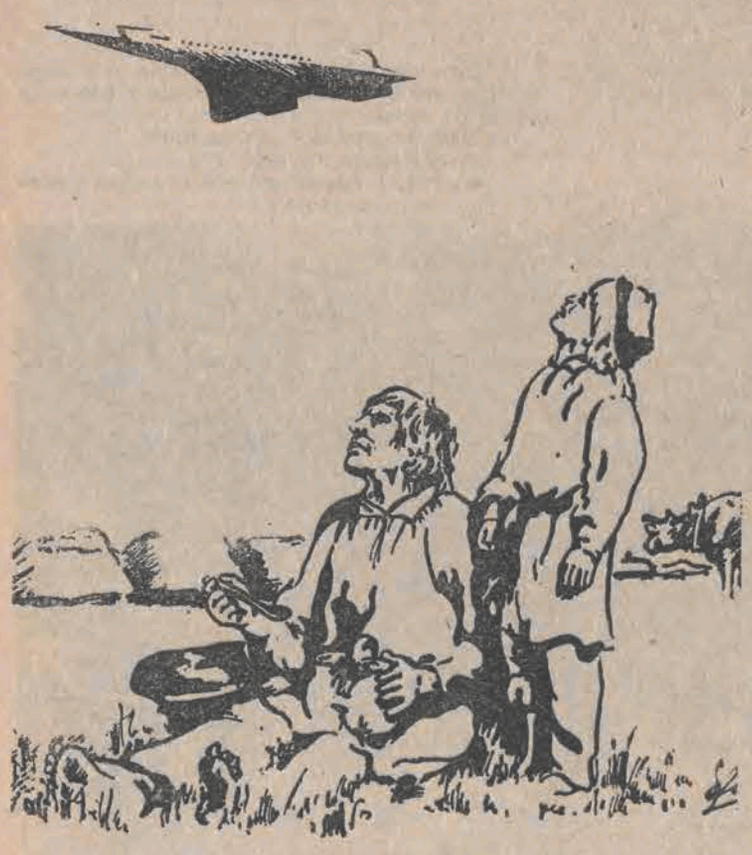

Rys. Sławomir Iwański

PÓŁWYGNAŃCY

Po wielu latach znów się zaprezentował w Polsce Teatr Ósmego Dnia. Od kilku lat zespół tego teatru pracuje w Ferrarze. Od władz miasta aktorzy dostali stary budynek szkolny z przeznaczeniem na mieszkania, zaś próby i spektakle organizują w gościnnej sali „Nuddeo". **Adam Borowski** utrzymuje, że najtrudniejsze jest jednak organizowanie tournee po świecie. „Trzeba się było uczyć, jak w warunkach wolnej konkurencji być rzeczywiście samodzielnym, jak obyć się bez menażerów, impresariów, bez dotacji ze strony państwa czy władz miejskich". Inny z aktorów Teatru Ósmego Dnia, **Marcin Kęszycki** stwierdził: „Kiedyś pewien krytyk napisał o nas: „to jest taki teatr życiem płacony" i aktorzy zgadzają się z tą oceną. „Jesteśmy dość rzadkim przypadkiem przystawalności życia do sztuki — mówi **Ewa Wójcik.** — Myślę, że nasze postawy i historia naszego życia potwierdza uczciwość tego, co robimy w teatrze. Także istotne jest to, jaki jest nasz aktualny status — jesteśmy półwygnańcami. Nigdy nie skorzystaliśmy z dobrodziejstw, jakie daje azyl polityczny, cały czas mamy paszporty konsularne, wszyscy zachowaliśmy polskie obywatelstwo".

Trasa zespołu wiodła z Polski do Moskwy. „Na Zachód mimo wielu perturbacji (głównie paszportowych) udawało nam się wyjeżdżać — mówi **Tadeusz Janiszewski** — ale nie na Wschód. W Moskwie byliśmy tylko raz przejazdem do Meksyku. Wówczas tam, na lotnisku, dowiedzieliśmy się, że my „anulirowany", a my z uporem maniaka twierdzimy, że nie jesteśmy „anulirowany" i chcemy tam grać..." (wg. „Wprost").

„PÓŁKOWNICY" U SĄSIADÓW

Słowacki film „Ja kocham, ty kochasz" z Romanem Kłosowskim w roli głównej dlatego, ponoć, przeleżał na magazynowych półkach, że pokazuje **„szkaradnych ludzi"** i to, że wszystko w nim jest szkaradne": praca, mieszkanie, życie, miłość, rozrywka, którą jest alkohol, a to, co szkaradne — wypacza obraz społeczeństwa. Prezentowany na ostatnim festiwalu filmowym w Berlinie Zachodnim film, to historia zwykłego, brzydkiego mężczyzny poszukującego miłości.

Reżyserowi, który po ośmiu latach widzi swój film trochę inaczej, nie pozwolono dokonać w nim żadnych zmian, a znajdujące się zaledwie trzy kopie tego obrazu zdają się wskazywać, że nie będzie przesadnie eksploatowany.

PO 15 LATACH

90-letni dziś **Jakow Rapoport** nie spodziewał się, że jego praca — książka pt. **„Na granicy dwóch epok. Sprawa lekarzy 1953 roku"** — wydana zostanie jeszcze za jego życia. I oto po 15 latach oczekiwania książkę wydało moskiewskie wydawnictwo „Kinga". Na spotkaniu w Centralnym Domu Medyka, gdzie uroczyście prezentowano książkę, okazało się, że Jakow Rapoport jest jedynym żyjącym spośród obwinionych w głośnej „sprawie lekarzy". W swojej książce opowiada o prowokacji Berii wymierzonej w świat nauki, w środowisko wybitnych lekarzy radzieckich. Wydana w nakładzie 100 tys. egz. książka J. Rapoporta rozpoczyna nową serię wydawniczą tej oficyny — **„Czasy i ludzie".**

AMERYKANIE O NIEBIE I PIEKLE

Instytut Gallupa (na zlecenie „Newsweeka") przeprowadził wśród Amerykanów interesujące badania na temat nieba i piekła. „Większość Amerykanów — podaje „Newsweek" — wierzy w istnienie nieba i spodziewa się tam trafić. Niektórzy mają nadzieję na spotkanie swego Stwórcy, inni tylko na połączenie się z przyjaciółmi i rodziną. Inaczej ma się sprawa z piekłem".

A oto wyniki badań. 77 proc. wierzy w istnienie nieba; 76 proc. sądzi, że tam trafi. 58 proc. ankietowanych wierzy w istnienie piekła, zaś 6 proc. sądzi, że tam trafi. Jak sobie wyobrażają niebo? 91 proc. uważa, że będzie tam panował spokój; 83 proc., że będzie się obcowało z Bogiem; 77 proc. uważa, że spotka się ze znanymi sobie ludźmi; 74 proc., że będzie tam panował dobry nastrój, zaś 32 proc. utrzymuje, iż w niebie będzie się miało tyle lat, co w chwili śmierci.

Seks i małżeństwo

Szczęśliwym trafem oglądałem przed kilkunastu laty, i to w berlińskiej Komische Oper, inaczej mówiąc „u Felsensteina" znany już wówczas na zachodzie musical **„I do, I do"**, grany w niemieckim przekładzie jako **„Niebiańskie łoże"** (Himmelsbett). Wspominam o tym z uwagi na pewną refleksję, która mi się nasunęła przy oglądaniu tego dwuosobowego utworu na łódzkiej scenie.

Znamienne, że męską rolę kreował we wspomnianym przedstawieniu zdecydowanie niemłody pan, niegdyś solista oper Mozarta, potem także ceniony aktor szekspirowski nie stroniący przy tym od kabaretu **Horst Schultze**, który grywał też w NRD-owskim filmie zarówno amantów, jak i trybunów ludowych.

No i takiego to tuza, wyposażonego w niebywałą swobodę i precyzję posługiwania się wszechstronnymi środkami aktorskimi upatrzył sobie do musicalowego zadania „sam" Felsenstein co chyba dużo mówi o potencjalnych możliwościach tkwiących w tej postaci scenicznej, o czym zresztą się przekonałem podziwiając maestrię wykonania roli **Michała**. Do roli Anny zaangażowano gościnnie świetnie śpiewającą gwiazdę zachodnioberlińskich scen muzycznych.

Po obejrzeniu obu przedstawień mam więc swój pogląd, jaka konwencja wykonawcza okazuje się skuteczniejsza w realizacji tego musicalu. U nas poszło się mianowicie, zwłaszcza w pierwszej części, na dość powierzchowny komizm, trochę rodem z operetki, z jej specyficznym wygłaszaniem dialogów, byle tylko ustawić się na czas do odśpiewania swojej solówki czy ansamblu. W tamtym natomiast przedstawieniu posługiwano się tonacją dyskretną, liryczno-refleksyjną, z ciepłym dystansem do własnych śmieszności, a z dialogu przechodzono płynnie w śpiew, zbliżony do interpretacji songu, stosując nierzadko parlando.

Na szczęście nasi wykonawcy pod sam koniec pierwszego aktu i już zdecydowanie w drugim znaleźli ów właściwy ton, choć np. w pełnej wdzięku i dowcipu piosence, sławiącej męską niespożytą siłę witalną przydałoby się nieco więcej autoironii. Sam zresztą utwór, przedstawiający w sposób żartobliwy małżeńskie dysonanse i frustracje, zmiany życiowej sytuacji i postaw bohaterów, w miarę jak z żarliwych kochanków stają się zatroskanymi rodzicami, jak wspólnie zaczynają się starzeć i buntować przeciwko zatracaniu walorów młodości, nabiera coraz więcej życiowej prawdy, jeśli nie całkowicie odkrywczej, to jednak wartej chwili uwagi i zadumy.

Jest to więc, nieczęsta w komedii, pochwała małżeńskiej miłości, która siłę do pokonywania przeszkód czerpie z pomyślnego przebiegu spraw tzw. łóżkowych. Toteż choć nie każdy z widzów może to sprawdzić na sobie (bo nie każdy zaznał trwałości szczęśliwego związku), to każdy przynajmniej łudzi się, że jest do trwałej miłości stworzony, a nie jego w tym wina, że mu poza małżeństwem smakuje lepiej.

Z reguły łatwiejsze zadanie rozbawienia widza przypada autorom erotycznych perypetii trójkątów, czworokątów, czy innych geometrycznych figur, tym większy więc sukces zarówno twórców musicalu, jak i jego realizatorów i wykonawców — **GABRIELI SARNECKIEJ** i **ANDRZEJA ŁĄGWY**, skoro usatysfakcjonowali widzów. Trzeba jednak zauważyć, iż niełatwa melodyka musicalowych piosenek, zwłaszcza o typie songów, nie znajduje u polskich wykonawców najlepszego zrozumienia.

Całkowicie do zaakceptowania wydaje mi się zarówno centralnie usytuowane łoże rozkoszy, jak i kostiumy wykonawców, a wszystko to razem pozwala przewidywać nie najgorszą, jak na obecny czas, frekwencję.

JERZY KWIECIŃSKI

Na zdjęciu: Gabriela Sarnecka i Andrzej Łągwa
Foto: Jerzy Neugebauer

Hervey Schmidt: „I do, I do". „Dwa razy tak". Libretto i teksty piosenek — Tom Jones. Przekład — Antoni Marianowicz, Janusz Minkiewicz. Reżyseria i choreografia — Wojciech Kępczyński, scenografia — Anna Bobrowska-Ekiert, kierownictwo muzyczne — Bogdan Pawłowski. Premiera w Teatrze Powszechnym 15 kwietnia 1989 r.

„Lubię pokonywać trudności..."

Rozmowa z EDYTĄ WASŁOWSKĄ, solistką baletu Teatru Wielkiego w Łodzi.

— Czym jest, według pani, kariera w tańcu?

— Kariera to popularność. Tańczenie głównych ról występy w telewizji. Prawdziwa kariera musi być oparta na mistrzostwie. Zdarza się przecież, że ktoś osiąga tanią popularność, bo jest jako gwiazda forsowany.

— Co warunkuje sukces tancerza?

— Przede wszystkim intensywna praca. Talent oczywiście też się liczy, ale określiłabym jego udział na 10 procent. Ważna jest ponadto odpowiednia budowa fizyczna. Ja np. nie miałam problemów z tzw. rozwarciem i skokiem, piruety i podbicie wypracowałam.

— A rola predyspozycji psychicznych?

— Na pewno nie bez znaczenia jest odporność na niepowodzenia, niespodziewane przeszkody w realizacji roli. Nieraz tancerzowi przez cały okres pracy trudno jest się pozbyć tremy. Jeśli nie jest ona mobilizująca — jak na szczęście u mnie — bardzo przeszkadza i męczy.

— Czy nie jest wciąż tak, że wielką karierę mogą zrobić polscy tancerze tylko za granicą?

— Podobno we własnym kraju nikt nie jest prorokiem. Sukces odniesiony za granicą, szczególnie na Zachodzie, przynosi największe uznanie i najbardziej nobilituje. I to się co jakiś czas komuś udaje. Ostatnio — **Kasi Gdaniec**, obecnej solistce w zespole Béjarta. **Krzysztofowi Pastorowi**, tańczącemu w Holandii czy **Ireneuszowi Wiśniewskiemu**, zatrudnionemu w Duesseldorfie. Niestety ci, którym się powiodło na Zachodzie i którzy automatycznie są wysoko notowani w Polsce, na ogół do kraju nie wracają.

— Jak wygląda pani dotychczasowa droga zawodowa?

— Jestem córką tancerzy, ale to nie rodzice wybrali dla mnie zawód. Sama chciałam iść do szkoły baletowej. W Łodzi takiej szkoły jeszcze nie było, wybrałam więc warszawską. Przez 9 lat mieszkałam w internacie. Do utworzonej w międzyczasie szkoły łódzkiej nie przeniosłam się, gdyż straciłabym rok. A kto wie czy właśnie ten rok nie zaważył na dalszych losach? Debiut solistyczny w łódzkim teatrze miałam w 1984 r. w **„Próbie"**. Potem obsadzono mnie w **„Panu Twardowskim"**, **„Don Kichocie"**, **„Śnie nocy letniej"**, **„Wolfgangu Amadeuszu"**, od niedawna jestem też Wróżką w **„Kopciuszku"**.

— Którą rolę ceni pani najbardziej?

— Chyba Przeznaczenie w „Amadeuszu" — partię urozmaiconą i zróżnicowaną wyrazowo. Ale też Dulcyneę w „Don Kichocie", z uwagi na trudne zadania techniczne. Nie ukrywam że do tych ról daleko np. mojej najnowszej partii w „Kopciuszku".

— Woli pani balet z treścią, czy też taniec czysty, abstrakcyjny?

— Wolę zdecydowanie balet przedstawiający. Daje on o wiele większe możliwości interpretacyjne, dla mnie zaś gest, mimika, ukazanie wnętrza, to składniki roli równie istotne, jak technika taneczna. One zresztą świadczą o osobowości. Ja nawet uważam, że tzw. wnętrzem zatuszować można pewne braki techniczne, a odwrotnie — nie. Sama technika do zbudowania roli więc nie wystarcza.

— W tańcu nauka trwa, jak wiem, ciągle. Nad jakimi elementami warsztatu pracuje zatem solistka Edyta Wasłowska?

— Głównie nad tym, by wszechstronnie doskonalić umiejętności i osiągnąć mistrzostwo. Mam sobie jeszcze wiele do zarzucenia. Myślę, że np. czasami jestem na scenie za wolna. Wielu rzeczy też jeszcze nie umiem, jak choćby pewnych dodatkowych ewolucji w trakcie 32 fouettés (czyli obrotów na jednej nodze bez podparcia).

— Pani stosunek do klasyki oraz do tańca modern?

— Klasyka jest, oczywiście, fundamentem techniki i od niej trzeba zaczynać. Ja równie chętnie tańczę w różnych stylach. Z tym, że nasze modern nie jest stylistycznie czyste. Działamy tu w Łodzi trochę po omacku. Nie ma, niestety, wyspecjalizowanych pedagogów i choreografów. Ci choreografowie, którzy pracują z nami stale, nie na wszystkim jednakowo się znają, są — stosując nasze określenie — „papierowi". Chciałabym, aby w rock-baletach było więcej problemów technicznych — nie interesują mnie bowiem rzeczy łatwe, lubię pokonywać trudności.

— Które role nęcą panią w odniesieniu do przyszłości?

— Kiedyś marzyłam o „Don Kichocie" i to się spełniło. O aktualnych marzeniach nie chcę mówić, aby nie zapeszyć.

— Co uważa pani za swoje największe osiągnięcie?

— Chyba jednak rolę Marii Magdaleny w „Próbie". Jako młoda tancerka zaczynałam dopiero pracę w zespole. Gdy główna solistka zwichnęła nogę, musiałam przygotować tę rolę w ciągu 3 dni.. I jakoś się udało.

— Z łódzkim teatrem występowała pani w różnych krajach. Z jakim spotykała się pani przyjęciem?

— Przedstawienia były na ogół bardzo dobrze przyjmowane, ale jako całość. W Łodzi publiczność reaguje inaczej. Zna solistów i nagradza ich oklaskami w zależności od tego, jak w danym dniu tańczą.

— W zespole baletowym występuje pewnie ostra konkurencja?

— Owszem, tyle, że nie zawsze jest ona zdrowa. Aspiracje ma każdy, natomiast nie wszystkim chce się jednakowo pracować.

— Czym okupić trzeba status solistki baletu?

— Dużymi wyrzeczeniami w dziedzinie życia prywatnego. Teatr pochłania moc czasu. Ledwo znajduję go na naukę języków — chodzę na konwersacje angielskie, uczę się biszpańskiego. Żyję w pośpiechu i napięciu, a nie zawsze jest się z kim podzielić problemami.

— Gdzie znajduje pani relaks?

— Sprawia mi przyjemność prowadzenie samochodu, szukam również odpoczynku w „babskich" zajęciach domowych, w lekturze. Nieraz, jak w czasach dzieciństwa, lepię różne figurki z plasteliny, utwardzając je potem lakierem. Choć wtedy myślę często znów o tańcu.

Rozmawiał:
JANUSZ JANYST

Kronika

W ZWIĄZKU RADZIECKIM trwają Dni Kultury Polskiej, tymczasem w Warszawie odbył się uroczysty koncert z okazji 44 rocznicy podpisania układu między PRL i ZSRR, zorganizowany przez ZG TPPR oraz Ministerstwo Kultury i Sztuki.

WICEPREZYDENT JANUSZ URBANIAK udekorował Honorową Odznaką Miasta Łodzi wybitnego brytyjskiego tłumacza z języka polskiego — **Noela Clarka**, który przebywał w naszym mieście na zaproszenie Oddziału Łódzkiego Stowarzyszenia Tłumaczy Polskich.

W ŁODZI ZAREJESTROWANO tymczasowy Zarząd Wojewódzkiego Związku Sybiraków. W jego skład wchodzą: **Felisk Milan, Mieczysław Wutke, Marek Dudziarek, Jan Onoszko, Stanisław Jaron, Adam Ochocki, Janusz Rusinek i Janusz Skarżyński.** Związek posiada siedzibę przy ul. Tatrzańskiej 111.

W NIMES WE FRANCJI zakończył się Międzynarodowy Festiwal Filmów Krótkometrażowych Szkół Filmowych. Uczestniczyło 12 krajów. Cztery główne nagrody — „Złote Krokodyle" zdobyły polskie filmy. **Łukasz Karwowski** za najlepszy scenariusz do filmu **„Wstęga Mobiusa"**, **Małgorzata Potocka** za najlepszą rolę kobiecą w filmie **„1 — 1"** w reż. **Natalii Korynckiej; Małgorzata Zając** za najlepszy montaż w tym samym filmie, zaś Państwowa Wyższa Szkoła Filmowa Telewizyjna i Teatralna im. Leona Schillera w Łodzi — za najlepszy zestaw filmów przedstawionych na festiwalu.

PIOTR MARCZEWSKI z kl. I PLM im. H. Wieniawskiego w Łodzi został laureatem I nagrody drugiej edycji międzywojewódzkiego konkursu muzyki dawnej, dla uczniów szkół muzycznych. Otrzymał on też nagrodę specjalną za wykonanie utworu obowiązkowego. Nagrodę I w grupie drugiej oraz nagrodę specjalną zdobyła **Anna Mikołon** z kl. V tego liceum. Piotr jest uczniem **prof. Cz. Kapczyńskiego** natomiast Ania — **prof. T. Chmielewskiego**.

JURY IX PRZEGLĄDU KONKURSOWEGO o Nagrodę im. Zenona Wasilewskiego — za najlepszy animowany film dla dzieci zrealizowany w latach 1987—1989 — obejrzało 30 zgłoszonych filmów. Nagrodę im. Z. Wasilewskiego postanowiono przyznać ex aequo reżyserom: **Łucji Mróz-Raynoch** — za film pt. **„Kule i koła"** (Kraków) oraz **Andrzejowi Kukule** za film **„Bazgrota"** (Wrocław).

24 BM. w KINIE „WISŁA" odbyła się uroczysta premiera filmu **Henryka Kluby** pt. **„Gwiazda Piołun"**. Wzięli w niej udział realizatorzy filmu. Następnego dnia w kinie „Włókniarz" miała miejsce kolejna premiera filmowa. Z udziałem aktorów i realizatorów zaprezentowano film **Krzysztofa Nowaka** pt. **„Co lubią tygrysy"**.

W MUZEUM HISTORII MIASTA ŁODZI odbyło się spotkanie z autorami książki pt. **„Okręg Łódzki Armii Krajowej"**.

W MUZEUM MIASTA ŁODZI odbyły się dwa koncerty. Pierwszy 21 bm. — kameralny w wykonaniu zespołu **Concerto Avenna** — specjalizujący się w interpretacji muzyki baroku — z udziałem solisty francuskiego **Philippe Bernolda** (Francja). W programie zaprezentowano utwory J.P. Haendla, A. Vivaldiego, J.S. Bacha. W cztery dni później odbył się wieczór duetów — **Barbary Hesse-Bukowskiej i Macieja Piotrowskiego** (fortepian). Zaprezentowano utwory S. Rachmaninowa, J.S. Bacha i M. Ravela.

ROLF HENRICH Z NRD, autor wydanej w RFN książki pt. **„Państwo opiekuńcze"** usunięty został z NSPJ. Wcześniej uniemożliwiono mu wykonywanie praktyki adwokackiej.

AGENCJA AFP poinformowała o wstrzymaniu przez władze NRD dystrybucji siódmego numeru niemieckiego wydania radzieckiego tygodnika „Nowoje Wriemia". W numerze tym zamieszczono wywiad z Lechem Wałęsą.

W AARHUS (Dania) rozpoczyna się w najbliższy czwartek I Międzynarodowy Festiwal Muzyczny „Głasnost". Barw polskich bronić będą zespoły **„After Blues"**, **„Armia"**, **„Recydywa"**, **„Tie Break"**, **„TSA"** i **Voo Voo"**. W festiwalu mają także uczestniczyć grupy z ZSRR, NRD i CSRS.

W GALERII „CHIMERA" w Łodzi, przy ul. Wólczańskiej otwarto wystawę „Plastyka Dzieci i Młodzieży Szkół Województwa Łódzkiego i Okręgu Szegedzkiego".

W DDK ŁÓDŹ-GÓRNA odbył się Turniej Jednego Wiersza o tematyce miłosnej. Jury pod przewodnictwem **Lucyny Skompskiej** przyznało: I nagrodę — **Elżbiecie Tomczak**, II — **Sławomirowi Fijałkowskiemu** zaś III — **Andrzejowi Arczewskiemu**.

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata •

KINO „DWÓJKI" ZAPOWIADA

Jak podaje „Antena" wiosenne dni w telewizyjnym kinie „Dwójki" zapowiadają się niezwykle interesująco. Na emisję w soboty czekają trzy **„Opowieści ze wzgórz Hollywoodu"** (prod. angielska), będące adaptacjami prozy różnych pisarzy, następnie pięcioodcinkowe **„Wyznanie hochsztaplera Feliksa Krulla"** (prod. RFN), adaptacja powieści **Tomasza Manna**. Po serialu o Zoli w cyklu biograficznym będziemy mieli okazję obejrzeć czteroczęściowy, angielski film dokumentalny o burzliwym życiu **Ernesta Hemingwaya**.

Dla tych, którzy nie lubią seriali „Dwójka" zapowiada równie interesujące pozycje fabularne. W cyklu prezentującym dorobek reżyserski **Johna Hustona** zobaczymy jeszcze tak głośne pozycje jak: **„Key Largo"**, **„Skłóceni z życiem"**, **„Noc iguany"** i **„Moby Dick"**. Po Hustonie — cztery filmy **Alaina Resnaisa**, francuskiego reżysera. Dwa z nich są w Polsce nie znane: **„Stavisky"**, **„Życie jest powieścią"**, **„Wujek z Ameryki"** i **„Onatrzność"**.

Zapowiedziano też emisję zdjętego z „półek" słowackiego filmu pt. **„Ja kocham, ty kochasz"**, o którym pisaliśmy, a którego twórca — Milos Kalina, na tegorocznym Festiwalu Filmowym w Berlinie otrzymał nagrodę za reżyserię. W filmie tym wspaniałą rolę dramatyczną gra **Roman Kłosowski: „Dwójka"** zapowiada również **„Królewskie polowanie na słońce"** — amerykańską ekranizację dramatu **Petera Shaffera**.

O WYSOCKIM

Nie słabnie zainteresowanie wybitnym pieśniarzem i poetą — **Włodzimierzem Wysockim**. W stołecznym Teatrze Ateneum przygotowano spektakl zatytułowany **„Wysocki"**. Składają się nań songi legendarnego poety — w większości utwory z tzw. nurtu więzienno-łagrowego. Jak utrzymuje twórca widowiska i tłumacz — **Wojciech Młynarski**, wybrał te, które lubi i które można tłumaczyć bez szkody dla tekstu orvginalnego". Autorami scenariusza widowiska są **Irena Lewandowska i Wojciech Młynarski**.

W Związku Radzieckim tymczasem ukazała się książka **Mariny Vlady** o Włodzimierzu Wysockim, pt. **Włodzimierz, czyli przerwany lot"**. Opublikowało ją wydawnictwo „Progress", które zaprosiło Marinę **Vlady** (współautorkę przekładu) do Związku Radzieckiego na cykl spotkań z czytelnikami.

BERGMAN I ZANUSSI

W Berlinie Zachodnim powstało Towarzystwo ds. Filmu Europejskiego, skupiające znanych reżyserów i producentów filmowych z wielu krajów Europy. Towarzystwo postawiło sobie za cel wspieranie młodych talentów angażowanie się na rzecz rozpowszechnienia filmu europejskiego, sprawowanie pieczy nad Europejską Nagrodą Filmową „Felix" itd. Prezydentem towarzystwa został wybrany **Ingmar Bergman**. Współzałożyciel towarzystwa **Krzysztof Zanussi** stwierdził na konferencji prasowej w Berlinie Zachodnim, że jego członkowie pragnęliby stać się czymś takim dla filmowców, jak Pen-Club dla pisarzy.

Galeria pisarzy

ANTONI KASPROWICZ

Rys. Sławomir Arabski

Sen Wilka

(2)

JERZY WAWRZAK

— Oczywiście, Osóbka i Gomułka będą tańczyć jak im zagra Bierut będzie im wszystkim błogosławił, a towarzysz Stalin udekoruje prezesa złotą gwiazdą.

— Zawsze byłeś przekorny — ojciec wstał — musimy pójść, potem będzie nam się trudno przecisnąć do naszej ławki.

Karol lubił się sprzeczać z ojcem dla zasady. Hieronim Radłowski był członkiem Polskiego Stronnictwa Ludowego prawie od samego początku. Wstąpił do partii Mikołajczyka nie tylko na skutek agitacji mecenasa Ostrowskiego, ale z własnych przekonań. W przeszłości umiarkowany orędownik BBWR i OZON, krzywił się na wiele punktów PSL-owskiego programu, ale nie widział innej możliwości legalnego, politycznego działania. Karol w pełni aprobował taką postawę ojca i na jego ręce przekazał pokaźną kwotę na rzecz stronnictwa ze swoich zasobów. Sam nie wstąpił, by, jak to enigmatycznie określił, nie stawiać powiatowego zarządu w dwuznacznej sytuacji. Mecenas Ostrowski skwapliwie się z nim zgodził, co Karola trochę dotknęło, ale musiał mu przyznać rację. Przyszły teść był wytrawnym politykiem, posłem ostatniej kadencji Sejmu Rzeczypospolitej, dla nikogo nie ulegało wątpliwości, że znów będzie się ubiegał o poselski mandat, kiedy Mikołajczyk przy poparciu Zachodu, wymusi na PPR i PPS zgodę na wybory prawowitych władz państwa; Krajowa Rada Narodowa i jej, pożal się Boże, prezydent, to zlepek marionetkowych figur posłusznych dyktatowi sowieckiego ambasadora. Więc ten wytrawny polityk, zadowalający się na razie skromną funkcją jednego z wiceprezesów powiatowego zarządu (prezesem był dwudziestohektarowy rolnik Franciszek Ziarko, stary wiecowy pyskacz, jeszcze witosowego chowu) w istocie odgrywający pierwszoplanową rolę, tłumaczył Karolowi obłudnie: „Dla stronnictwa byłby to wielki zaszczyt, gdyby ktoś taki jak pan kapitanie Zawisza, przystąpił do ruchu, ale są sprawy ważniejsze. Bardziej liczy się pańskie poparcie, moralne i finansowe, świadomość, że chociaż nie formalnie, ale sercem jest pan z nami. Pepeerowcy wymyślają nam od reakcjonistów, że utrzymujemy kontakt z podziemiem, co jest podłą insynuacją, ale lepiej nie dawać im pretekstów do nowych ataków. Prezes Mikołajczyk ciągle nam przypomina: jesteśmy legalną partią, uczestniczymy w rządzie, nie odrzucamy systemu, lecz krytykujemy konkretne rozwiązania szkodliwe dla kraju i społeczeństwa, w tym tylko sensie jesteśmy partią opozycyjną" A potem mecenas dodał, nie precyzując, czy są to nadal słowa prezesa, czy jego własny komentarz: „Jak tylko wygramy wybory, zdobędziemy większość w Sejmie, to podyktujemy pepeerowcom i socjalistom nasze warunki, odrzucimy wszelkie pozory, które obecnie narzuca nam sytuacja polityczna i wymogi taktyki partyjnej. Pan mnie rozumie, kapitanie?" Radłowski, jak wymagała uprzejmość, przytaknął z porozumiewawczym uśmiechem, gdyby nie był ojcem Kamy, zapewne puściłby do mecenasa perskie oko. Ale swoje pomyślał: „Niech ci się wydaje, stary, wyliniały lisie, że mnie kupiłeś czułymi słówkami. Chcecie mnie trzymać w odwodzie, a sami, wczorajsi dekownicy, rwać zaszczyty, pilnować aż się zrobi miejsce przy żłobie. A ja będę was popierać, bo muszę." Gdy zaś rozmawiał z ojcem, który w gruncie rzeczy był człowiekiem prostolinijnym i politycznym naiwniakiem, zapamiętałym w przedwojennych regułach politycznych rozgrywek sankcji z opozycją, dokuczał mu, przy okazji nie oszczędzając i siebie samego: „Czas pracuje dla komunistów. Dziś nie chcą wyborów, bo są słabi Ale jak się poprawi sytuacja gospodarcza. to ich akcje pójdą w górę Nasze społeczeństwo w swej masie jest w istocie głupie, łase na równościową demagogię. Może na nich głosować. Obawiam się, że mają rację ci, którzy zostali w lesie, którzy uważają, że dla polskich bolszewików najlepsze miejsce jest dwa metry pod ziemią. Powinienem nadal trzymać się tej dewizy, za mało ich posłałem do piachu, bo zachciało mi się spokojnego życia, codziennie kąpać się w wannie i zmieniać bieliznę, spacerować po ulicach, chodzić na dancingi do „Europy" albo „Riwiery", flirtować, a wreszcie ożenić się i powołać do służby ludowej ojczyźnie nowe pokolenie Radłowskich... Chyba, że ty masz rację, tatku — zawsze starał się swoje zgryźliwości kończyć pojednawczo — i wtedy wszystko uroczyście i chętnie odszczekam".

Już miał wstać od stołu, gdy w uchylonych drzwiach ukazała się głowa Weroniki. Zamknęła je starannie za sobą i dopiero wtedy cicho powiedziała:

— Panie Karolu, Grzeszczuk przyszedł, mówiłam, że pan śpi po sylwestrze, co za człowiek...

— Niech Weronika weźmie pod uwagę, że mamy teraz demokrację — Karol uśmiechnął się do siwowłosej, ale jeszcze krzepkiej kobiety, która od zawsze była u Radłowskich i nie traktowano jej jak służącej, lecz członka rodziny — i poprosi Grzeszczuka bez ceregieli.

Grzeszczuk był zwalistym, niespełna czterdziestoletnim mężczyzną, z łysiną na pół głowy i kępą nastroszonych wąsów pod wydatnym nosem Ubrany był w kurtkę z grubego, szarego szewiotu z kołnierzem z nutrii, w ręku trzymał czapkę z takiego samego futra; idąc nieco powłóczył nogą.

— Ależ, panie Stanisławie — Karol wstał i uścisnął mu dłoń — proszę się rozebrać, ciepło tu jak w ulu — poczekał aż wróci z holu w brązowym garniturze i niebieskiej koszuli, wyglądającej spod zapiętego na rząd drobnych guzików swetra — niech pan siada — wyjął z kredensu filiżankę i nalał mu kawy — coś się stało?

— Panie kapitanie... — Grzeszczuk chciał się podnieść z krzesła, ale Karol przytrzymał go za rękę.

— Prosiłem już, żadnego tytułowania, trzeba się przyzwyczaić.

— Panie kapitanie, mam złe wiadomości...

Po śniadaniu i kawie Radłowski poczuł się znacznie lepiej, ale myśli nadal zbierał z trudem, zdenerwowanie Grzeszczuka oraz tak nietypowa pora odwiedzin, jakby do niego nie docierały

— Coś nie w porządku z naszą spółką?

— Nie, nie — zamachał rękami — nieszczęście, panie kapitanie, UB chce pana aresztować.

Radłowski roześmiał się głośno. Spokojnie rozpieczętował paczkę z obrazkiem jednogarbnego wielbłąda i głęboko, smakowicie zaciągnął się dymem camela.

— Mogę znać szczegóły? — spytał nieco kpiąco, bo Grzeszczuk wiercił się jak piskorz na swoim miejscu.

— To nieważne, trzeba uciekać...

— Muszę mieć pewność, że chcą mnie wziąć... to nie pierwszy fałszywy alarm.

— A ilu chłopaków wzięli?

— Ale też wypuścili.

— Panie kapitanie, nie widział pan tego plakatu? AK-zapluty karzeł reakcji. Wyłożyli kawę na ławę.

— To propaganda, jakiś prymityw ich załatwił. Tym sloganem więcej wyrządził szkody im, niż nam... A chłopaki doskakiwali do Śmiałego, to fakt, coś o tym obaj wiemy, prawda?

Radłowski myślał już intensywnie. Grzeszczuk nie był panikarzem, ale mógł prowadzić swą własną grę, teraz też nie kwapił się z ujawnieniem swojego informatora. Nie było jednak żadnego powodu, aby mu nie ufać. Były sierżant Wydra radził sobie doskonale jako kwatermistrz oddziału Zawiszy. Postrzał w nogę wyeliminował go z walki tuż przed nadejściem Rosjan. I był to w pewnym sensie szczęśliwy przypadek. Zawisza przekazał mu część kasy oddziału i polecił mu dobrze zainwestować pieniądze. Wydra ujawnił się, wrócił oficjalnie do swego sklepu, ale faktycznie prowadził spółkę transportową, zarejestrowaną na nazwisko zawodowego kierowcy Kosmali, która po kilku tygodniach dysponowała pięcioma samochodami z demobilu Między dowódcą a byłym kwatermistrzem nie było żadnych umów, papierków. Porozumienie było zwięzłe i jednoznaczne. Dziewięćdziesiąt procent zysków i dziesięć procent od kapitału, po potrąceniu sobie pensji, Wydra będzie przekazywał Zawiszy Bez rozliczeń i buchalterii, która potrzebna jest tam gdzie nie ma zaufania. „Ja wam ufam, Wydra, powiedział mu wtedy Zawisza, ale jak się połaszczycie nie na swoje, to żadnych sądów nie będzie, osobiście wam wpakuję kulę w łeb". I tak było do dzisiaj, spółka transportowa Jana Kosmali miała wysokie obroty, a Grzeszczuk okazał się w nowej roli prawdziwym człowiekiem interesu. Radłowski część pieniędzy wymienił na czarnym rynku na dolary, reszta szła na potrzeby oddziału, na pomoc rodzinom poległych partyzantów, a po ujawnieniu się Kruka na dotacje dla stronnictwa, finansowego wsparcia Śmiałego, antyreżimową propagandę, łapówki i osobiste potrzeby Karola. Radłowski odkąd wyszedł z lasu rozumiał całą dwuznaczność niepisanej umowy między nimi a Grzeszczukiem i że w nowej sytuacji nie może trwać bez końca. Tym bardziej że pieniądze płynęły stałym, niewąskim strumieniem. Musiał nawet hamować operatywność Grzeszczuka. Nocne rajdy na Dolny Śląsk, do Wrocławia, Wałbrzycha, Kłodzka, stawały się coraz bardziej niebezpieczne, mimo iż wywożenie maszyn i surowców ze zburzonych fabryk przynosiło największe zyski. Milicjanci już nie tak łatwo dawali się wywodzić w pole, na miejscu nie zawsze pomagały wysokie łapówki, kilka razy doszło do strzelaniny na trasie, z ofiarami po obu stronach. Karol podczas tych nocnych rajdów czuł się znów w swoim żywiole, niebezpieczeństwo wyzwalało w nim nową energię i pomysłowość, ale rozsądek podpowiadał, że trzeba te wypady ograniczyć, albo z nich zupełnie zrezygnować, kontentując się mniejszym, ale pewnym zyskiem firmy.

— Amnestia to była pułapka, żeby nas wyciągnąć z lasu rozszyfrować, a teraz będą nas wybierać pojedyńczo, jak pisklęta z gniazda.

— Sierżancie Wydra, chcę znać szczegóły, to rozkaz! — Radłowski zaczął się niecierpliwić.

— Panie kapitanie — powiedział widocznie zdeprymowany Grzeszczuk — mam w komendzie milicji swojego człowieka, przy naszym interesie musiałem o to od początku zadbać. Właściwie kobietę, dziewczynę, ale niech to zostanie między nami mężczyznami. Pan wie jakie są teraz kobiety, co druga za parę jedwabnych pończoch tyłka nadstawi, a jej dobrze płacą i za łóżko i lewe przepustki na kursy poza województwo. Jedno i drugie mi potrzebne, bo moja stara dobra kobieta, ale między nogami nie ma tego, co ta mała kurewka...

— Panie Stanisławie, nie jestem waszym spowiednikiem, do rzeczy.

— Więc ta moja Zochna ma apsztyfikanta, ubowca, pan rozumie, jeden resort, ma do niej zaufanie, a przy tym głupi wsiok, chwalipięta. Nie raz jej o panu mówił, jest im pan solą w oku od początku, a dzisiejszej nocy uchlał się i wygrażał, że jutro wsadzą kapitana Kurka do klatki. Bił się nawet w piersi, bo go Zochna sprytnie podpuściła, że przy niej bohatera struga, a przed leśnymi w portki ze strachu robi. Tak wygląda sprawa, teraz pan wierzy?

— Wierzę. I dziękuję za ostrzeżenie — Karol wstał, Grzeszczuk też poderwał się ze swego miejsca, uścisnęli sobie dłonie — Muszę przemyśleć tę sprawę, zamelinuję się na kilka dni, a potem zobaczymy. Czekajcie na kontakt, sierżancie.

— Tak jest, panie kapitanie — Grzeszczuk wyprężył się i utykając ruszył do wyjścia.

Radłowski ubrał się pospiesznie i pokonując zwały śniegu ruszył w stronę kościoła Świętej Rodziny. Szedł szybko, aby się zmęczyć, a potem zatrzymując się w pobliżu katedry wysapać z siebie straszną wściekłość, od której aż mu chwilami ciemniało w oczach. Gdyby w tym momencie spotkał Bronka Kowala z przyjemnością strzeliłby mu prosto między oczy. Do końca sumy było nie więcej niż kwadrans. Zaczął krążyć w pobliżu wyjścia z lewej nawy, w której również Ostrowscy mieli swoje miejsce. Palił jednego papierosa za drugim, już bardziej na chłodno analizując sytuację, która z dnia na dzień przyjęła tak niespodziewany obrót. I niezależnie od sposobu w jaki chciałby ją rozwikłać, wszystkie jej splątane wątki prowadziły do tego samego człowieka, porucznika Kowala.

CDN.

(Fragment powieści)

Felieton o felietonie

Czytelnicy go kochają – krytycy mają z nim kłopoty

Wiemy, skąd się wzięła nazwa felietonu, ale już precyzyjne zdefiniowanie tego gatunku przysparzało zawsze literaturoznawcom sporo kłopotu. Nazwa felietonu wywodzi się z łacińskiego *„folium"* skąd z kolei wzięło się francuskie *„feuille"* czyli płatek, listek, arkusz papieru.

Ale czym jest felieton? Jeszcze XIX-wieczny słownik literacki W Koscha określał, że jest to *„apolityczna część gazety znajdująca się poniżej kreski (dzielącej) kolumnę na część górną i dolną)"*. Dziś owa zwięzła definicja jest już zupełnie nieaktualna Felieton bywa także często właśnie polityczny, a i jego miejsce w gazecie jest bardzo różne „Słownik wyrazów obcych" Michała Arcta z 1927 roku także nie przyznawał felietonowi prawa do tematyki politycznej Czytamy tam, że jest to *„odcinek dziennika, w którym bywają pomieszczone utwory beletrystyczne lub krytyki sztuki i literatury"*

Współczesne próby zdefiniowania felietonu są również dość bezradne wobec tego gatunku, który charakteryzuje się taką różnorodnością i bogactwem form, że właściwie każdy autor tworzy inną odmianę felietonu. Hasło „felieton" w przewodniku encyklopedycznym „Literatura polska" liczy sobie ponad dwie szpalty, a zaczyna się tak: *„Gatunek obejmujący różnego rodzaju prasowe utwory publicystyczne, reportażowe, eseistyczne, nawet beletrystyczne, przeważnie cykliczne, odznaczające się na ogół zwięzłością i popularną, przystępną formą, subiektywizmem ujęcia i nastawieniem na bezpośredni kontakt z czytelnikiem, lekkim, gawędziarskim, często żartobliwym stylem, elementami humoru, satyry, parodii itp., występującymi w różnych układach charakteryzowanych jako „styl felietonowy"*.

Utrzymując się w konwencji felietonu można by zatem rzec, że felieton to utwór pisany stylem felietonowym. Jest to definicja o konsystencji maślanego masła. Ale trudno się dziwić.

Jeszcze wcześniej, bo w 1976 roku podjęto próbę zdefiniowania gatunku w „Słowniku terminów literackich" Czytamy tam: *„Jeden z gatunków publicystyki, swobodny w charakterze, często posługujący się literackimi środkami ekspresji (...) Felieton stanowi zwykle stałą pozycję w dziennikach i tygodnikach, dotyczy zazwyczaj aktualnych w danym momencie wydarzeń lub problemów, nie jest jednak nigdy programowym komentarzem do nich, składają się nań raczej swobodne dywagacje, często nie pozbawione zabarwienia satyrycznego. W felietonie mogą występować elementy fikcji literackiej, z tym, że nie stanowią one celu same w sobie, podporządkowane są doraźnym celom publicystycznym"*.

Warto zwrócić uwagę na nagromadzenie w obu tych opisach felietonu takich zwrotów jak *„przeważnie"*, *„na ogół"*, *„często"*, *„zazwyczaj"*, *„raczej"*... Ma więc po stokroć słuszność Zygmunt Szweykowski, pisząc, że felieton *„jest jednym z najmniej sprecyzowanych terminów literacko-publicystycznych"*.

Podobnego zdania jest Jan Józef Lipski, który we wstępie do swojej antologii felietonistyki warszawskiej pisał: *„Gdyby zebrać z encyklopedii, leksykonów, podręczników i opracowań specjalnych wszystko, co jest przybliżoną choćby definicją felietonu i spróbować ograniczyć się do wyciągnięcia z nich jeśli nie elementów wspólnych — pytanie, czy takie by się znalazły — to przynajmniej najczęściej powtarzających się, a zasadniczo nie kwestionowanych w innych definicjach — niewiele by zostało. Okazałoby się, iż felieton jest gatunkiem z pogranicza literatury i szeroko rozumianej publicystyki, iż jest gatunkiem organicznie związanym z prasą, że często sięga do form charakterystycznych dla literatury pięknej — i na ogół nosi piętno wyraźnego, nie ukrywanego subiektywizmu; na koniec — iż ujęciami właściwymi felietonistyce, występującymi razem lub osobno i w różnych swych odmianach — są humor i satyra. To chyba wszystko"*.

Rzeczywiście: niby sporo, a przecież niewiele.

Aby jednak zbliżyć się do pewnej granicy precyzji zacytujmy rozważania Stanisława Fity: *„Felieton osiągnął bujny rozwój i zdobył szeroką popularność w połowie XIX wieku. Wprawdzie początki tego gatunku historycy literatury skłonni są widzieć już w wieku XVIII, a nawet niektórzy z nich za „ojca" naszego felietonu uważają Franciszka Bohomolca, jednak powszechnie przyjmuje się tę późniejszą datę za faktyczne narodziny tej tak dziś poczytnej formy wypowiedzi dziennikarskiej. Nazwy „felietonu" używano wówczas w dwóch znaczeniach. W pierwszym, bardziej „formalnym", nazwa ta oznaczała określone miejsce u dołu kolumny gazety, odcięte od reszty kolumny grubą linią. Tu drukowano powieści w odcinkach, recenzje teatralne i literackie oraz właśnie owe „pogawędki z czytelnikami", które zwano felietonami"*.

Tak więc początkowo „felietonem" były odcinki powieści, ale prawie jednocześnie rozwinął się *„felieton właściwy"*, którego to określenia użył po raz pierwszy Władysław Olendzki na łamach „Niwy" (1875): *„Właściwy felieton zaczyna się i kończy w jednym numerze pisma jako odrębna całość. Cechująca go właściwość nie polega tu na treści, ale na sposobie jej traktowania. Posiadamy z jednej strony sprawozdawców teatralnych, nie mających najlzejszego wyobrażenia, co to jest felietonistyczne traktowanie przedmiotu, z drugiej zaś strony posiadamy — mianowicie we Francji — uczonych, którzy wziąwszy za przedmiot pierwsze lepsze, dajmy na to przyrodnicze, zagadnienie, podają je publiczności w felietonie w formie najmilszej pogawędki"*.

A więc jesteśmy w domu! Owa pogawędka wskazuje — jak twierdzi Stanisław Fita — na istotę odrębności gatunkowej felietonu. Felietonista zdaje się swobodnie rozmawiać z czytelnikiem, tak jak rozmawia się przy stoliku w kawiarni, przerzucając się swobodnie z tematu na temat, chętnie operując dygresjami, zmieniając ton i nastrój wypowiedzi, traktując wszystkie przedmioty subiektywnie, nie cofając się nawet przed niekonsekwencją w rozumowaniu czy uzasadnieniu jakiegoś poglądu. O co — nawiasem mówiąc — czytelnicy mają nieraz do autorów pretensje, w sytuacji, gdy obca im jest cała złożona i różnobarwna konwencja felietonu.

Felietoniści — jak pisał Władysław Olendzki — *„z szybkością polnego konika a zjadliwością osy z przedmiotu przeskakują na przedmiot, z polemiki do estetyki, z Offenbacha do historiozofii, z zakulisowych bachanalii do muzyki przyszłości, a z Byrona na giełdę"*.

„Felietonem nazywam swobodną pogadankę, lekko i dowcipnie omawiającą jakąś sprawę, która w danej chwili zajmuje umysły" — pisał Piotr Chmielewski w 1902 roku. Owa pogadanka natomiast — jak wywodzi Stanisław Fita — bierze się w prostej linii z gawędy, tak bardzo ulubionej w pierwszej połowie XIX wieku. Podczas gdy gawęda związana jest z tradycją kultury szlacheckiej i tworzona była głównie z myślą o odbiorcach z kręgu szlacheckich dworów — felieton związany ściśle z rozwojem prasy, tworzony był z myślą o najnowszym kręgu odbiorców ówczesnych gazet, odbiorców wywodzących się ze środowisk mieszczańskich.

Spróbowałem powyżej — przywołując autorytety historyków literatury — odpowiedzieć na pytanie *„czym jest felieton?"* Ale to jeszcze nie to samo, co odpowiedzieć na pytanie *„co jest felietonem?"* Czy jest nim na poły reportażowa na poły felietonowa opowieść Zygmunta Nowakowskiego Miasto Ariadny" opublikowana w 1931 roku w zbiorze felietonów tego autora, a po latach włączona przez Konrada Frejdlicha do antologii reportażu łódzkiego? Sądzę, że ów znakomity tekst świetnego felietonisty, jest reportażem i felietonem równocześnie. Takich przykładów znaleźć można więcej i one to właśnie sprawiają najwięcej kłopotu literaturoznawcom.

Czy wierszowane gawędy Artura Gliszczyńskiego z „Łodzianki" to jeszcze publicystyka, czy już literatura? Sądzę, że ani jedno, ani drugie — po prostu felietonistyka.

Zapytano kiedyś Juliana Tuwima o definicję i istotę poezji. Wybitny twórca rzekł: *„Tyle się znam na poezji, co ptak na ornitologii"*. I słusznie Felietonista także nie musi odpowiadać na pytania o gatunkową czystość i precyzję definicji felietonu. Wystarczy, że pisze — a raczej gawędzi — o dziesiątkach spraw, które się dzieją w naszym życiu A ponieważ także felieton jest obecny w naszym życiu: funkcjonuje w setkach autorskich wersji — więc i o nim czasem warto napisać... właśnie felieton.

JERZY WILMAŃSKI

Andrzej Makowiecki

Pięćdziesiąt melonów

18

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Urzędnik czytał w myślach karykaturzysty z wprawą oficera śledczego:

— Zaraz każę podać popielniczkę — podpuszczał. — Niech się pan nie krępuje.

— W żadnym wypadku! — zaprotestował Jan.

— Więc przejdźmy do rzeczy. Ksiądz Białecki opowiedział mi z grubsza pańską historię, ale kilka faktów będę musiał zapisać.

Imię i nazwisko. Imiona i nazwiska członków rodziny. Rok urodzenia. Zawód. Wykształcenie. Przebieg pracy twórczej w Polsce. Przebieg pracy twórczej za granicą. Jaką drogą opuścił ojczysty kraj. Kiedy. Dlaczego. Obozik rekreacyjny w Austrii. Kontakty. Pseudonimy. Zapomogi. Darowizny. Honoraria. Sezon w Kanadzie. Aklimatyzacja w Stanach. Krótki życiorys drugiej żony. Rozwód. Kolaboracja z periodykami polonijnymi. Pijaństwo. Awantura w knajpie. Leczenie odwykowe. Zawał. Więzienie. Ucieczka do Meksyku. Sprawy paszportowe. Aktualny adres. Poprzednie miejsce zamieszkania. Zasoby pieniężne. Długi. Zobowiązania. Samopoczucie. Zdrowie. AIDS. Wenera. Narkotyki. Korespondencja z przyjaciółmi i potomstwem. Gwarancje. Referencje. Znajomości.

Tkwiący za biurkiem urzędnik zadawał wszystkie te pytania niedbałym, towarzyskim tonem; uśmiechał się, ale jedną tylko połową ust; mrużył niby to przypadkiem oko, jakby chciał powiedzieć: przestań mi zalewać, bracie! W ogóle nie robił dobrego wrażenia, a już w żadnym wypadku nie wyglądał na dyplomatę. Był młody; jeśli nawet stuknęła mu trzydziestka, nie podkreślał tego zachowaniem i ubiorem — sandały, dżinsy tandetnego kroju, flanelowa, rozchełstana pod szyją koszula i piejący na głowie kędziorek, który przypominał w brzydki sposób Janowi fotografię młodszego syna.

Jedynie blade, nieruchome, pozbawione ciepła i ekspresji źrenice, groźne nawet wtedy, gdy przysłaniała je, niby to żartem, lewa lub prawa powieka (oj, niełądnie tak mataczyć, drogi panie!) kazały wierzyć, iż mamy tu do czynienia z fachowcem. Szperał przy tym w mózgach petentów z niebywałą intuicją.

— Pan się dziwi? — zapytał.

— Czemu?

— Mojemu strojowi?

— Ależ skądże znowu! — zaprzeczył osłupiały Jan.

— Wracam akurat z lotniska — ciągnął swoje pracownik konsulatu. — Krawat i garnitur odstraszają ludzi, którzy wolą trzymać się z daleka od wszystkiego, co pachnie urzędem. W tym ubraniu natomiast budzę zaufanie.

— Czyje? — Jan ponownie sięgnął po papierosy i ponownie powstrzymała go tabliczka z wytwornym dwujęzycznym apelem:

JEŚLI MOŻESZ, NIE PAL!

Urzędnik tymczasem dźwignął do góry wąską, delikatną jak u kobiety brew i huknął z wyrzutem:

— Jak to: czyje?! Rodaków. Polaków. Chłopów z Białegostoku, z Łomży, z Suwalskiego, pojedynczych ochotników z Elbląga i Bydgoszczy, studentów z Warszawy i Lublina, szaleńców, którzy nie otrzymawszy wizy amerykańskiej przylecieli do Meksyku, aby wynająć kojota i przeszmuglować się pod jego opieką na teren Stanów Zjednoczonych, gdzie czeka już na nich robota w garkuchniach, kotłowniach i szambach. Nie wspominał o tym panu ksiądz Białecki?

— Wspominał — przyznał niechętnie karykaturzysta. — Lecz co to ma wspólnego ze mną?

— Ja mówię tutaj mimochodem — oświadczył sucho urzędnik, podkreślając wyrazem twarzy, iż wcale nie mówi mimochodem. — Ja mówię tylko dla przykładu. Oni ciągną do raju przez pustynię Sonora, albo przez graniczną rzekę Rio Bravo, lecz los coyotes wystawiają ich często meksykańskiej policji i ja muszę ich wówczas ratować, wspomagać, wydobywać z tego czy innego więzienia w Tijuanie, w Piedras Negras, w Nuevo Laredo lub Ciudad Juarez spłukanych, skrachowanych, wyczyszczonych do ostatniego centa i zrozpaczonych, marzących wyłącznie o tym, aby wrócić czym prędzej do Polski, co nie jest znowu takie proste, bo kto ma niby zapłacić za bilet?

— Ze mną w tej kwestii nie będzie problemów. Dysponuję odpowiednią kwotą pieniędzy...

— No, ja myślę! — zauważył zgryźliwie urzędnik. — Artysta, wzięty dziennikarz, człowiek, który spędził kilkanaście lat na emigracji i pracował w najbogatszym kraju świata, nie pojedzie chyba u schyłku życia do biednej ojczyzny w charakterze nędzarza, żeby wsiąść na kark dzieciom, które kiedyś porzucił, i wyłudzić rentę od parszywych bolszewików.

Jan spąsowiał.

— Pan mnie obraża!

Urzędnik przyglądał się chłodno pięknej, uduchowionej twarzy starca o lubieżnych wargach, nastroszonych siwych brwiach i krótkich, gęstych jeszcze, choć białych jak kreda włosach, sterczących na głowie niczym szczotka. Milczał. Widząc, że petent znowu chwyta za kieszeń, mruknął:

— Śmiało, śmiało!

— O co chodzi?

— O pański nałóg. Żałuję, że nie mogę poczęstować pana wódką, jednak pod tym względem ambasador jest szalenie zasadniczy.

— Nie prosiłem o alkohol.

— Więc może papierosa?

— Dziękuję uprzejmie.

— Głupstwo. — Urzędnik uśmiechnął się lewym, ruchliwym kącikiem ust, ale reszta twarzy była sztywna, jakby ją odlano z gipsu. — Moc kłopotów przysparzają nam każdego tygodnia nasi kochani kompatrioci. Gubią dokumenty, wdają się w bójki, wynajmują pokoje w drogich hotelach i chcą, żebyśmy płacili za nich rachunki; z języków obcych znają tylko polszczyznę, i to kiepsko. Tu, w Dystrykcie Federalnym, jest areszt dla Polaków. Chodzę tam nieraz, żeby im podrzucić mleko, owoce, pieczywo, jakąś wędlinę... Wie pan, gdzie mieści się biuro Polskich Linii Lotniczych?

— Nie.

— Przy Paseo de la Reforma. Niczego nie przyrzekam, ale będę rozmawiał w pana sprawie z Warszawą.

Jan zdziwiony był tą nieoczekiwaną zmianą frontu. Rzekł z gwałtowną, niepohamowaną wdzięcznością:

— Jestem panu ogromnie, ale to ogromnie zobowiązany!

— Spełniam tylko swoją powinność — zakomunikował obojętnie pracownik konsulatu. — Nie wiadomo zresztą, co z tego wyniknie. Trzeba czekać na decyzję władz.

— Długo?

— Różnie. Parę dni albo i parę miesięcy. — Wręczył Janowi w dwóch palcach wizytówkę. — Niech pan dzwoni do mnie od czasu do czasu. Jeśli wyrok będzie dla pana pomyślny... — zawiesił głos i mruknął z przekąsem: — Artystom wiele się dzisiaj wybacza... to pójdzie pan do LOT-u przy Paseo de la Reforma i zarezerwuje pan bilet. — Wstał. — Do widzenia panu.

— Do widzenia! — Przełknął ślinę. W głowie błysnęła zuchwała myśl: muszę się napić! Bąknął w drzwiach: — Gdybym umarł tej nocy, to ze szczęścia. — Nagłym, zaskakującym gestem chwycił dłoń dyplomaty i wycisnął na niej pocałunek.

Zapalił rozdygotanymi rękami papierosa i pochylił się nad białym ogrodowym krzesłem, które okupował ksiądz w czarnej sutannie i czarnym, zawadiackim kapeluszu o szerokich kresach. Znowu się pocił wszystkimi porami wydelikaconego ciała; wyprażone tropikalnym słońcem patio było jednak najpiękniejszym miejscem na ziemi; staruszek, w duchownych szatach był najpiękniejszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek spotkał, a krzepka, kwitnąca pod murem juka o długich szablistych liściach była najpiękniejszym drzewem, jakie kiedykolwiek oglądał.

Pucołowaty Indianin stał na ganku ambasady i patrzył z zachwytem, jak jeden siwy starzec przykłada do ust rękę, drugiego siwego starca, który zdjął na chwilę kapelusz i wachlował się jego skrzydłem.

— Dobre wieści przynosisz, synu?

— Chyba tak.

— Bogu Najwyższemu niech będą dzięki!

— Przywróciłeś sens mojemu życiu, ojcze!

— Nie zapominaj jednak o duszy!

Portier otworzył przed nimi furtkę w mahoniowych wrotach; po wschodniej stronie Calle de Cracovia czekał parafialny ford o blaszanym dachu i drzwiach wykonanych z imitacji drewna. Kiedy wsiedli, ksiądz włączył klimatyzację i znowu dało się oddychać.

10.

We wtorek około południa Kopyto pojechał tramwajem na rynek przy placu Niepodległości, przeszedł wolnym, leniwym krokiem obok straganu Bernarda, ominął halę, wyszamotał się z tłumu i pomaszerował ulicą Wólczańską do najbliższego rogu, po czym zawrócił i stanął twarzą w twarz z byłym ekonomistą.

Tak to wcześniej uzgodnili; szewc zachował się bez zarzutu i Bernard nagrodził go uśmiechem.

— Kupiłeś?

— Kupiłem.

— Co?

— Junaka 350. Jednocylindrowy czterosów; kanapa; biegi, opony i hamulce w porządku.

— Szybkość?

— Sto dwadzieścia.

— Spalanie?

— Trzy i pół; jak się przygazuje — cztery.

— Parking?

— Bezpieczny.

— Gdzie?

— Zobaczysz.

— Benzyna?

— Zatankowałem po drodze.

— Ile dałeś?

— Za benzynę?

— Nie. Za motocykl.

— Dwieście.

Akurat! — Bernard uśmiechnął się po raz drugi, ale trochę inaczej. Powiedział:

— Rutyna jest taka, że należałoby wyciąć seryjny numer spawarką i dospawać inny numer, pochodzący z jakiegoś trupa, który poszedł już na cmentarzysko, ale dokumenty zostały.

— Nie trzeba nic robić — oświadczył autorytatywnie szewc. — Nikt mnie nie zapamiętał, bo byłem w kasku — kłamał. — Wepchnąłem funflowi zastaw i zwiałem, że to niby muszę sprawdzić motór. Niczego nie podpisywałem, a numer seryjny, to już ktoś usunął przed nami.

— Dowód rejestracyjny wziąłeś?

— Tak.

— Pokaż.

Gustaw wyjął zniszczony kartonik, a Bernard obejrzał go i schował do kieszeni.

— Na razie zostanie u mnie.

— To i lepiej — zgodził się szewc.

Później nie było już między nimi zgody. Sporny punkt planu pozostał punktem spornym; Kopyto powtarzał z uporem, że nie weźmie udziału w bezpośredniej akcji. Owszem, da Paranę, podrzuci motór w pobliże, lecz dalej, to niech prowadzi Bernard lub Jacek — obydwaj potrafią przecież pokierować junakiem.

— Mnie jest potrzebny rasowy, szybki motocyklista, a nie dzieciak bez prawa jazdy.

— Prawo jazdy nie będzie sprawdzane na kilometrowym odcinku. Sprawdzane będą wasze nerwy.

— Zastanów się jeszcze nad tym, Gustaw.

— Co ja się będę zastanawiał. Ja chcę żyć.

Pomaszerowali każdy w swoją stronę. Szewc wsiadł w tramwaj, aby czym prędzej wrócić do warsztatu, Bernard powlókł się na targowisko zdenerwowany i zniechęcony. To nie ma sensu, to jest szaleństwo — myślał. A jakiś głos podszeptywał: — Sens mają właśnie rzeczy szalone. — Taki skok nie może udać się amatorom. — Przeciwnie, tylko nie notowany amator może wykonać ten skok bez zwrócenia na siebie uwagi. — Nie wolno mi narażać brata, nie wolno łamać mu życia, nie wolno skazywać go na ryzyko złej sławy i długoletni pobyt w więzieniu. On powinien natychmiast uregulować swoje stosunki z fizyczką, z belfrem od polskiego, i przystąpić do matury. Ja tam muszę pojechać, i to zaraz!

11.

Jacek wszedł do klasy i zajął miejsce w trzeciej ławce środkowego rzędu — nie siedział już bowiem w pierwszej ławce obok drzwi z kolegą Waldemarem Manolem, synem wybitnego chirurga. Nie, już z nim nie siedział! Byli pokłóceni od czasu sławnej awantury z profesorem Idiotą, kiedy to trwała dyskusja na temat Sienkiewiczowskiej trylogii i podrażniony Wicher wpakował Manolowi nos w oczodoły. Nie znaczy to przecież, iż Wicher był całkowicie pozbawiony towarzystwa. W trzeciej ławce środkowego rzędu towarzyszyła Wichrowi koleżanka Rozwadzińska.

— Boję się, boję!

Tego pięknego, wiosennego dnia nie było lekcji. Tego pięknego wiosennego dnia klasa o profilu biologiczno-chemicznym w liceum, któremu patronował wybitny pisarz, oczekiwała z niepokojem na werdykt rady pedagogicznej: kto został dopuszczony do egzaminów maturalnych, a kto nie! Szesnaście dziewcząt i osiemnastu chłopców z rodzin bogatych, średnio bogatych, zasobnych i ustosunkowanych popatrywało na drzwi, nie tracąc raczej poczucia humoru.

— Boję się, boję!

Koleżanka Rozwadzińska, dziewuszysko nieco otłuszczone, wywodziła się z kręgu dyktatorów mody, co jednak nie miało dodatniego wpływu na jej notowania — groziła biedaczce lufa z historii i lufa z polskiego, a więc repeta czwartej klasy. Zafrasowana, spocona, wierciła się w ławce niczym skazaniec, którego poproszą za chwilę na szafot.

— Boję się, boję! — powtarzała omdlewającym głosem gwiazdy filmowej, którą skądinąd zamierzała zostać po ewentualnym uzyskaniu świadectwa dojrzałości. Dyktatorzy mody działali już w szkole aktorskiej z właściwą sobie finezją i było wielce prawdopodobne, że przysadzisty kopciuch przeskoczy ten próg.

Trąciła Jacka łokciem:

— A ty się nie boisz?

— Nie.

— Kłamiesz! Wszyscy trochę się boją.

— Manol się nie boi! — zawył z ostatniej ławki pryszczaty chłopak.

— Michalak się nie boi! — wrzasnęła szczupła dziewczyna o prowokująco dużym biuście.

— Od Michalaka, Storczykowska, to ty się trzymaj! — odwrzasnął zainteresowany; był synem dyrektora wielkiej spółdzielni polonijnej i cała ta heca z maturą zaczynała go już lekko nużyć.

— Zda to zda, a nie zda to mazda — zażartowała niejaka Iwona Cymer.

— U kogo popijawa?

— U Borkowskiej.

— W żadnym wypadku!

— Jak mnie dopuszczą, popiję sobie ze starym.

— A ja rąbnę sobie zaraz po wyjściu ze szkoły! — oświadczył zuchwale tęgi, łysiejący przedwcześnie młodzieniec, i na dowód, że nie jest to czcza przechwałka, wydobył z kieszeni piersiówkę.

Kolega Manol doszedł do wniosku, że inicjatywa wymyka mu się z rąk; wstał zatem i huknął:

— Słuchajcie, opowiem wam fakt autentyczny!

— Wal stary, byle krótko!

— No więc jest taki doktor nauk medycznych, Eustachy Trul; prowadzi zajęcia ze studentami, oblewa jednego chłopaka i ten chłopak postanawia się zemścić. Dzwoni do Eustachego wieczorem i leci w dialog:

„Czy mogę mówić z panem docentem Trulem?"

„Owszem, przy telefonie, tyle, że ja nie jestem docentem, a doktorem".

„To co się, dzwonie, nie uczyszl"

Klasa zawyła uszczęśliwiona, łysiejący młodzian potrząsnął piersiówką, ale w tym samym momencie szczęknęła klamka i w drzwiach pojawiła się twarz pani profesor od fizyki.

C.D.N.

Wideonotes

FILM TV WIDEO

Twórcy filmu reż. Janusz Zaorski, scenarzysta Jan Purzycki i kierownik produkcji Tadeusz Lampka. Foto: Grzegorz Gałasiński

WOKÓŁ „PIŁKARSKIEGO POKERA"

„Ratowanie tego, co splugawione..."

Wieść ze świata filmu niesie, że gdy powstał, bodaj trzy lata temu, scenariusz o szwindlach na Państwowym Torze Wyścigów Konnych w Warszawie, ludzie związani ze Służewcem, nie tylko niewpuścili filmowców na tor lecz rozesłali wici po bratnich torach wyścigowych, aby i tam ich niewpuszczono. Faktem jest, że film nie powstał. **Janusz Zaorski** zrealizował natomiast film (tego samego scenarzysty — **Jana Purzyckiego**), pt. **„Piłkarski poker"**, o mafijnym światku piłkarskim (i nie tylko), film, który rozbudził wielkie namiętności zanim pojawił się na ekranach. Nic dziwnego. Powstał „z miłości i jest próbą ratowania tego, co splugawione i przeżarte gangreną" — piszą krytycy (m. in. Maciej Pawlicki w „TK"). „Film zrobiony z biglem... Piękna zasada szlachetnych szeryfów »jeden przeciw wszystkim« tym razem zmienia się w zawody kanciarzy — kto kogo sprawniej nabije w butelkę".

Na przedpremierowej konferencji prasowej w Łodzi — z udziałem **Janusza Zaorskiego, Jana Purzyckiego** i kierownika produkcji, **Tadeusza Lampki** — tym razem pojawili się także dziennikarze sportowi.

— Od lat towarzyszę wydarzeniom sportowym — rozpoczął **Michał Strzelecki** z „Expressu Ilustrowanego". — Znam sport, znam zakulisowe życie sportowe i muszę przyznać, że w filmie doszukuję się wyraźnych i niedwuznacznych sugestii. Pod niejedną sekwencję filmu można by podłożyć konkretne wydarzenia. Oczywiście, jak w każdej komedii pewne sceny są przerysowane, ale w moim odczuciu jest w nim wiele „sportowych racji". Pytanie: Skąd panowie czerpaliście inwencję?

— Z szarych komórek — odpowiada J. Zaorski. — Ale nie tylko naszych. Jest to film w pewnym sensie wykreowany, z akcentami komediowymi, z pewną skłonnością do pokazywania rzeczy spotęgowanych. A czy tym protoplasta jest ten czy ów z żyjących? Otóż szereg postaci jest konglomeratem rozmaitych postaci obracających się w tym światku. Wiele z nich i wiele wydarzeń, które miały miejsce w rozmaitych klubach jest usytuowanych w jednym miejscu, ale to jest nasze prawo. Jest tylko sprawa pewnej optyki, jak ten film chce się oglądać. Tak zwany prosty widz doszukuje się tylko anegdoty kto kogo zabił, a już dlaczego — nie jest tak istotne. Nasze ambicje sięgały troszkę wyżej, dalej, jednakże odbiór zależy po prostu od stopnia wyedukowania nie tylko filmowego. Podkreślam, to nie jest tylko film dla kibiców. Naszą ambicją nie było też zrobienie filmu dla tych tylko, którzy w tym siedzą, wiedzą o tym więcej, stąd i spojrzenie inne — od strony gabinetów, szatni, garderoby, a więc od strony kuchni...

Piłka w tym kraju wzbudza wiele emocji. Jak byśmy chcieli powiedzieć, na czym zna się Polak, to na pewno na piłce, medycynie, piosence i na filmie. Tytuł brzmi „Piłkarski poker", jest więc trochę o piłce, trochę o hazardzie — na przykładzie piłki, na przykładzie sportu. Może ktoś będzie chciał się zastanowić w trakcie, czy po wyjściu z kina, do czego to doszło? Przecież ten sport kiedyś był zupełnie inny! Jeszcze nie tak dawno dominowały szlachetne idee Pierre de Coubertine'a, a sam udział w wydarzeniu sportowym był tak samo ważny, jak zwycięstwo. Boję się, że gdybyśmy to teraz przypomnieli, któremuś z naszych zawodowców to by nas obśmiał. Stąd właśnie ogarnia nas pusty śmiech, gdy widzimy, co się dzieje na boiskach i poza nimi i być może z tego właśnie wzięło się, żeśmy taki gatunek wybrali. Ta myśl wydaje mi się bardzo ważna, wcząca nie tylko piłki, nie tylko sportu — jak to się stało, że pewne trwałe wartości moralne, jakby wyparowały, że wszechpotężny pieniądz rządzi wszystkim? Dlaczego? Jest w tym filmie także wyraz naszej niezgody na takie postawy...

Wracając do filmu. Pewne inicjacje są absolutnie prawdziwe wzięte z życia piłkarskiego. Pomysł z małym kruczkiem w przepisach że bramka nie może być uznana gdy piłka wyrzucona z rzutu autowego wpadnie do bramki — wszystko to rosło, puchło gdzieś się magazynowało ale nie było tej porządkującej myśli przewodniej, jak to opowiedzieć. I właśnie ten konkretny wypadek był powodem zaczepienia się. Natomiast od początku wiedzieliśmy jedno: bohaterem powinien być sędzia, bo to jest najlepsze medium, bo on jest jakby między wszystkimi — zawodnikami, trenerami, klubami, jest w środku i wszystko przez niego przechodzi...

— Jest pan doskonale zorientowany, co się dzieje w światku piłkarskim — zagadnął M. Strzelecki i zapytał wprost. — Ale czy panowie uprawialiście kiedyś sport?

— Różne sporty — odpowiada J. Zaorski. — Uprawiałem koszykówkę i tenis. W klubie grałem w tenisa zawodowo. Pewne mechanizmy, rozmowy z działaczami są bardzo podobne, nie mówiąc już o rozmowach z działaczami filmowymi — tutaj też da się wiele przenieść do piłki, i na odwrót. Te relacje są w sumie bardzo podobne — uzależnienie, rodzaj hierarchii, powinności z tego wynikającej, to mniej więcej wygląda podobnie...

Fascynacja zakulisowym życiem sportowym owładnęła także krytykami filmowymi. **Renata Sas** z „Dziennika Łódzkiego", nawiązując do wypowiedzi Janusza Zaorskiego (na łamach „Życia Warszawy") zapytała wprost: — Czy to prawda, że widzowie nie uwierzyliby w całą prawdę a pokazanie jej na ekranie nie dałoby się oglądać i czy rzeczywiście twórcy filmu musieli tak dalece weryfikować fakty, żebyśmy się nie zapłakali na widowni?

— Były takie fakty — odpowiada Jan Purzycki — wzięte z życia, które nie nadawały się do przeniesienia na ekran... Były „zbyt filmowe" — w złym tego słowa znaczeniu. Jak ze złego scenariusza. Wstyd by nam było coś takiego zamieścić, posądzono by nas o brak ambicji, pójście na łatwiznę. Gdybyśmy się chcieli wzorować na postaciach autentycznych byłoby to także nie do przyjęcia. Pan **Mariusz Dmochowski** np. nie wierzył w to, że prezes może tak się zachowywać, używać takiego języka. Wiemy natomiast, że w rzeczywistości bywa znacznie gorzej...

— Chciałabym się dowiedzieć — red. Sas zwraca się do reżysera — o mechanizmach doboru aktorów, czym się pan kieruje?

— Ja ich nie znalazłem — mówi Janusz Zaorski. — Oni po prostu byli. Od dawna twierdzę, że aktorzy dobrzy grają dobrze, w związku z tym robię wszystko, aby angażować aktorów wybitnych. Nie szukam wysokiego, szczupłego bruneta bo uważam, że **Piotr Fronczewski** zagra i dużego i małego, i grubego, i chudego. Zagra tę butelkę jak go poprosimy... **Kazimierz Górski** — zapytany o to, dlaczego nie zmienia składu „srebrnego jedenastki" z 1974 r. skoro są już inni, a Gorgoń podobno popija i mógłby zagrać Ostapiński — powiedział: „Wolę pijanego Gorgonia niż trzeźwego Ostapińskiego". Tak oto sport ze sztuką czasami się zazębia. Myślę dość podobnie. Angażujemy wybitnych aktorów, ale muszą mieć coś do zagrania. Same nazwiska nie zagrają. Aktor chce móc pokazać się, trzeba stworzyć mu możliwość pokazania twarzy, warsztatu, umiejętności. Przekleństwem naszych filmów, zwłaszcza z lat 60. i 70., był polski bohater, tzw. s n u j! Snuł się przez cały czas po przekątnej ekranu: snuł się i mędził, patrzył i obserwował... Film można zrobić wspaniale w pokoju z kuchnią, ale musi być w tym człowiek ze swoim skomplikowaniem uwarunkowaniami. Aktor musi mieć stworzone możliwości, żeby zaistniał, jako wybitny i już współtwórca filmu, a nie tylko ktoś, kto po prostu jest przez nas wyciskany..

— Czy to znaczy, że liczy pan na twórczy współudział aktora — wtrąciłem.

— Oczywiście lecz tu znów wkraczamy w rejony szersze. **Rene Clair** np. pisał bardzo drobiazgowy scenopis, co się dzieje na drugim planie, na trzecim, gdzie jakiś statysta i co robi lewą ręką, prawym palcem itd. Po skończeniu scenopisu mówił: „No, film jest gotowy. Teraz trzeba go tylko nakręcić". Ja mam inne podejście, że co dwie głowy to nie jedna, ponieważ wierzę w ludzi, wierzę. Weźmy za przykład **„Popiół i diament"**, przecież **Zbyszek Cybulski** był autorem tego wielkiego pomysłu, że w chwili zabójstwa Szczuki wpadają sobie w objęcia... Te race, bo 9 maja, koniec wojny — jakby wielki symbol: dwóch Polaków z przeciwstawnych sobie obozów mogło złączyć się dopiero po śmierci.. Lecz na dobrą sprawę to także wymyślił Andrzej Wajda, bo ten pomysł zaakceptował. Przecież mógł powiedzieć: przepraszam, ja robię autorski film.. A znam takich reżyserów, którzy są zdania, że oni robią film i już! To jest nieporozumienie. Uważam bowiem, że robienie filmu to jest drużynowa jazda na czas. Oczywiście, ktoś jest liderem, trenerem, ktoś kimś innym — role są rozdzielone, lecz jest to żywa materia. Trzeba mieć cały czas oczy i uszy otwarte, pamiętać o nadrzędnym celu, o przesłaniach filmu i o tym, że z tych cegiełek dziennej mordęgi zdjęciowej układa się cały film...

MARIAN ZDROJEWSKI

(P.S. Zapis jest nie autoryzowany).

A może do kina?

Dziewczyna żyjąca w rozbitej rodzinie szuka pociechy w alkoholu i przygodnych związkach, a planowane małżeństwo ma niewiele wspólnego z prawdziwym uczuciem — oto w największym skrócie treść niezwykle interesującego filmu pt. **„Mała Wiera"**, który proponujemy. Jest to debiut **Wasilija Piczula**, a swoimi walorami film podbił jurorów międzynarodowych festiwali w Montrealu i Wenecji, zdobywając tam nagrody. W ZSRR obraz ten oglądany jest w atmosferze skandalu obyczajowego, jako pierwszy film erotyczny i może dlatego niektórzy widzowie domagają się usunięcia zbyt śmiałych scen i złagodzenia słownictwa.

W rolach głównych występują **Natalia Niegoda, Andriej Sokołow, Jurij Nazarow, Ludmiła Zajcewa** i inni.

Masz temat dla reportera? Coś cię drażni, niepokoi, szlag cię trafia — podnieś słuchawkę i wykręć numer: 56-77-70

Poglądy, opinie i fakty przedstawiamy w relacji z reporterskiego dyżuru wyłącznie na odpowiedzialność Czytelników, którzy przekazali je nam telefonicznie. Rubryka ta funkcjonuje na zasadzie wzajemnego zaufania. Daje ona naszym Czytelnikom możliwość przekazania opinii publicznej spraw, które utrudniają im życie.

Na Twój telefon czekają redaktorzy:

27 kwietnia — PAWEŁ TOMASZEWSKI — godzina 10—15.

4 kwietnia — BOGDA MADEJ — godzina 10—15.

RELACJA Z DYŻURU REPORTERSKIEGO W DNIU 20 KWIETNIA 1989 R.

Pan *Grzegorz Rumowicz* prosi o naszą interwencję w sprawie wyrwy będącej od miesięcy utrapieniem dla kierowców, a znajdującej się u zbiegu ulic Prądzyńskiego i Zamojskiej. Ponoć samochody łamią resory, a skargi składane do Zarządu Dróg nie skutkują.

Pani *Elżbieta Nowak* z Osiedla Piastów bardzo by chciała (a wraz z nią mieszkańcy okolicznych bloków), aby MPK przywróciło zlikwidowany przystanek autobusowy na ulicy Tuszyńskiej. Teraz jest tak, że albo trzeba pędzić na ul. Broniewskiego za Rzgowską, albo za rondo Titowa. Najgorzej jest wieczorami i zimą: strach iść przez Park Młodości, a do tego daleko. Niegdyś był tam przystanek dla autobusów 52, 69 i 61 i było dobrze. Komu ten przystanek przeszkadzał? — pyta pani Elżbieta Nowak.

Pani *Irena Burzec* z ul. Wandurskiego postuluje, aby łódzkie tramwaje oznaczać numerami także z ich lewej strony, co umożliwi pasażerom lepsze rozpoznanie. Ponadto pani Irena Burzec pyta, co zrobić, by ludzie młodzi i w sile wieku nie wsiadali przednim pomostem? By nie blokowali w ten sposób wyjścia innym?

Pan *Kazimierz Iliński*, aktor Teatru im. Jaracza pyta: dlaczego podczas prac ziemnych wycięto ponad dwudziestoletnie drzewa na ul. Gagarina? Czy nie można było ich oszczędzić? Teraz jest pusty trawnik, na którym zaczynają siać trawę. A może by tak — nim zasadzi się nowe drzewa — posadzić bodaj krzewy. Czy naprawdę Łódź, pyta pan Kazimierz Iliński, musi być brzydka i bez zieleni?

Pani *Maria Dziubek* otrzymała rachunek za telefon z trzydniowym opóźnieniem, tj. trzy dni po terminie płatności. Poszła do UPT 11 na ulicę Zgierską zapytać, jak to będzie z naliczaniem kary, bo przecież opóźnienie zapłaty nastąpiło nie z jej winy. Niestety, tam odpowiedziano, że to nie ich sprawa, a zapłacić karę musi. Więc pani Maria Dziubek pyta: dlaczego to ona ponosi konsekwencje, skoro poczta zawiniła i dostarczyła jej rachunek z tak poważnym opóźnieniem? Ja także nie wiem, dlaczego tak jest i myślę, że na to pytanie uzyskam odpowiedź Urzędu Telekomunikacji.

Pan *Stanisław Pietrzak* z Marzenina pod Łaskiem pyta, czy za to, że kominiarz raz jeden wszedł na jego dach i przeczyścił komin, trzeba płacić kwotę 1.400 zł? Czy to czasem nie za dużo? 9 lutego 1989 roku kominiarz był u pana Stanisława Pietrzaka, później Spółdzielnia Usług Kominiarskich przysłała rachunek na powyższą kwotę określając w nim czas: zapłata dotyczy terminu do 20 marca 1989 r. Nie określono jednak, od kiedy liczy się ów termin. Teraz pan Stanisław Pietrzak zachodzi w głowę i dziwi się, dlaczego za jedno wejście na dach chcą aż tyle? Może wyjaśni nam to Spółdzielnia Usług Kominiarskich?

Pan *J.W.* (dane personalne do wiadomości redakcji) skarży się, że jego córka, absolwentka UŁ (teoria ekonomii), nie może znaleźć pracy w szkolnictwie. W Kuratorium i dzielnicowych wydziałach oświaty odpowiadają jej, iż nie ma etatów. Pan J.W. pyta więc: jak to jest, że kształci się specjalistów, dla których nie ma pracy?

Pan *Kazimierz Amurski* prosi, by kilka ciepłych słów poświęcić *Bolesławowi Sobczykowi*, 70-letniemu dozorcy z XXII LO im. Tekli Borowik, który nie tylko znakomicie sprząta, ale śmiecie zakopuje pod drzewami, co przyczynia się do lepszego wzrostu tych drzew. Więcej takich dozorców w Łodzi, a będzie więcej zieleni i MPO będzie miało mniej pracy.

EUGENIUSZ IWANICKI

Łódzkie getto w filmie

KONRAD TUROWSKI

W zaułkach koło Rynku Bałuckiego, gdzie zachowały się fragmenty zabudowy pamiętającej czasy utworzonej tu przez hitlerowców dzielnicy żydowskiej — „Litzmannstadte getto", reż. Agnieszka Holland realizuje zdjęcia do „Salomona" wg własnego scenariusza. Film finansowany jest przez producentów z Francji i RFN.

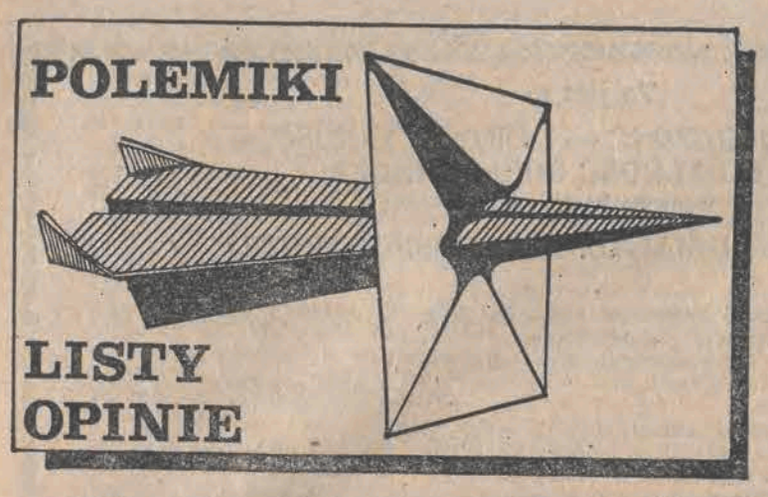

Na kolumnie „Polemiki — listy — opinie" publikujemy tylko teksty podpisane imieniem i nazwiskiem z podaniem adresu. Wszelkie dane na życzenie zainteresowanego zatrzymujemy do wiadomości redakcji. Prezentujemy również poglądy i opinie, których redakcja nie podziela. Przedstawiane w listach fakty publikujemy na odpowiedzialność autorów.

„SOLIDARNOŚĆ" INSTYTUTU GEOGRAFII UŁ MA NAM ZA ZŁE

W numerze 16 „Odgłosów", z 16 kwietnia 1989 r. ukazał się artykuł Marka Koprowskiego pt. „Krótki zarys sporów w (nielegalnej) „Solidarności", który powstał w oparciu o dyskusję, jaka miała miejsce w gronie pracowników i studentów Uniwersytetu Łódzkiego, członków i sympatyków „Solidarności". Spotkanie z naszym uniwersyteckim kolegą dr Jerzym Kropiwnickim, pełniącym jednocześnie odpowiedzialne funkcje w związku miało charakter spotkania wewnątrzuczelnianego, a celem jego było przybliżenie nam pewnych dyskutowanych aktualnie problemów. Nie informowaliśmy o tym środowiska pozauniwersyteckiego. Zamieszczony w „Odgłosach" tekst świadczy o uczestnictwie autora w zebraniu i posiadaniu przez niego zapisu magnetofonowego. Jako organizatorzy tego zebrania pragniemy wyrazić swoje oburzenie z powodu pogwałcenia podstawowych zasad współżycia, dobrego tonu. Marek Koprowski, osoba przybyła z zewnątrz, nie prosił o pozwolenie uczestnictwa, nagrywania i publikowania materiałów naszego zebrania.

Drugą kwestią jest treść artykułu Otóż jest to zlepek pojedynczych kwestii, czy tylko zdań nie oddający nawet myśli przewodniej wypowiedzi kol. dr Jerzego Kropiwnickiego Tak spreparowany tekst jest nieczytelny i trudno zrozumiały dla osób nie uczestniczących w zebraniu. Robi natomiast wrażenie chaosu, braku koncepcji działania, braku zasad postępowania, a jest to sprzeczne z tym, co zaprezentował prelegent. Spaczenie istoty wypowiedzi świadczy o tendencyjności prezentacji braku kompetencji bądź umiejętności prezentowania cudzych poglądów.

Zarówno w sposobie uczestnictwa jak i w prezentacji materiałów nie zachowane zostały podstawowe normy etyczne.

Za Zarząd Koła NSZZ „Solidarność"
przy Instytucie Geografii UŁ
JOANNA KOTLICKA

P.S. Żądamy opublikowania naszego listu.

List przedstawicielki Zarządu Koła NSZZ „Solidarność" przy Instytucie Geografii UŁ przeczytałem z niejakim zdziwieniem. Zastanowiło mnie kilka spraw w liście tym poruszonych.

1. Od wielu lat prowadzimy w piśmie kolumnę pod znamiennym tytułem: „Listy — Polemiki — Opinie", na której zamieszczamy listy nie tylko interwencyjne, ale i polemiczne oraz opinie nie zawsze nam przychylne. Skąd więc to „żądamy opublikowania naszego listu"?

2. Spotkanie z dr Jerzym Kropiwnickim było otwarte publiczne, nie *było* specjalnych zaproszeń, ogłoszenie zapraszające na to spotkanie *było* wywieszone w pomieszczeniach Uniwersytetu Łódzkiego i nie *było* nigdzie zastrzeżone, że „obcym wstęp wzbroniony".

Obowiązkiem dziennikarza jest informowanie swoich czytelników o wszelkich możliwych zjawiskach, zdarzeniach i sprawach, jakie dzieją się w naszej rzeczywistości. Podstawę prawną dla takiej działalności daje „Prawo prasowe", które jednoznacznie określa wszelkie próby ograniczania informacji i wolności słowa jako niedopuszczalne.

3. Marek Koprowski zapewnił mnie, że nie posiada nagrania magnetofonowego spotkania z dr Jerzym Kropiwnickim. Dziennikarz korzysta z magnetofonu jako notatnika i nie widzę w tym nic nagannego. Marek Koprowski korzystał z notatek. Dr Jerzy Kropiwnicki zapoznał się przed drukiem z tekstem Marka Koprowskiego i naniósł niezbędne jego zdaniem poprawki. Nie kryl wszakże, że jego zdaniem inne sprawy uważa za ważniejsze niż to zrobił Marek Koprowski. Ale każdy ma prawo do innego widzenia tych samych spraw.

4. List podpisany przez Joannę Kotlicką przypomina mi dawne czasy. Tylko że przez ostatnie 8 lat coś się w Polsce zmieniło. Przykro mi, że członkowie Koła NSZZ „Solidarność" przy Instytucie Geografii UŁ nie potrafili tego dostrzec. Boję się, że otaczająca nas rzeczywistość szybko ich rozczaruje, gdyż jest inna niż sobie to wyobrażają.

5. Mogę spokojnie zapewnić Joannę Kotlicką, że wymagam i będę nadal wymagał od dziennikarzy „Odgłosów", aby byli obecni tam wszędzie, gdzie coś się dzieje i relacjonowali to Czytelnikom. Tak rozumiem między innymi „pluralizm polityczny". Jeśli komuś zdaje się, że „pluralizm polityczny" sprowadza się tylko do uznania jego poglądów i stanowiska, to jest — niestety — w błędzie.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

„W OBRONIE DOBREJ TRADYCJI..." — RACJE DRUGIEJ STRONY

Czy publikowany w rubryce „Listy, opinie, plemiki" tekst zwalnia redakcję „Odgłosów" od odpowiedzialności za słowo — tego nie wiem Wiem, że każdy przedstawiony publicznie krytyczny materiał powinien opierać się na prawdzie. Jak w tym kontekście zakwalifikować list „W obronie dobrej tradycji...", opublikowany w nr 12 „Odgłosów" z 9. 03. 1989 r.?

List prawie identycznej treści otrzymała Rozgłośnia Polskiego Radia w Łodzi. W naszym posiadaniu są również wcześniejsze listy „Emerytowanego Aktora", pełne próśb i lamentów.

„Emerytowany Aktor", odkąd podziękowano mu za współpracę z „Wesołym Autobusem" w lipcu 1988 roku, postawił sobie za życiowy cel, jak mówił do kolegów aktorów — „rozwalenie tego zespołu". Jego twórczość epistolarna nie jest chyba jeszcze znaną tylko w ..., ale sądząc po jego aktywności i tam wkrótce trafi.

„Emerytowany Aktor" permanentnie upijał się podczas wyjazdów na koncerty. Szło to w parze z niedbałością o swój wygląd, również na estradzie (oszczędzę opisu innych drastycznych szczegółów), oraz niemożnością nauczenia się jakichkolwiek nowych tekstów „Zarabiał" więc na konto kolegów z coraz mniejszym spokojem znoszących tę żenującą sytuację. Jako wizytówka zespołu dobrych i sprawnych aktorów wobec osób z zewnątrz nie był powodem do chwały.

W jednym ze swoich listów do dyrekcji rozgłośni z 4.12. 1988 r. zastanawiając się nad przyczynami rozstania z nim „Wesołego Autobusu" sam stawia pytania udzielając jednocześnie odpowiedzi na rozstania owego powody. Cytuję:

„Czy dlatego, że brak mi talentu? Znam gorszych. Czy dlatego, że niewyraźnie podaję tekst? Znam bezzębnych, którzy zdobywają wielkie nagrody".

I jeszcze dalej:

„Czy wyrzucono mnie dlatego, że nie uczyłem się tekstów?"

A więc „Emerytowany Aktor" zna jednak powody i jeszcze do 4 grudnia 1988 roku nie ubolewa nad karygodnym upadkiem audycji. Próbuje w tym czasie mniejszych i większych szantażyków, łącznie z powoływaniem się na swoje znaczenie w jednej z sojuszniczych partii.

Nie mam zamiaru ustosunkowywać się tutaj do ocen programu i audycji „Wesołego Autobusu" zawartych w liście, tym bardziej że Ośrodek Badania Opinii Publicznej i Studiów Programowych przy Komitecie do spraw Radia i Telewizji niezmiennie od lat lokuje „Wesoły Autobus" na czołowej pozycji wśród najbardziej słuchanych i najwyżej ocenianych audycji Polskiego Radia.

List ten napisałam nie z potrzeby podejmowania dyskusji z „Emerytowanym Aktorem', ale zmuszona licznymi telefonami słuchaczy oburzonych na ową epistołę To właśnie słuchaczom audycji i Czytelnikom „Odgłosów" wyjaśniam kulisy tej „troski o świadomość słuchacza i widza" W naszej historii najnowszej bywało tych „troskliwych" wielu. Tylko jak się oni nazywają, ci Starsi Panowie? — Nie mogę sobie przypomnieć. Może ktoś wie?

Proszę o wydrukowanie listu bez skrótów w najbliższym numerze „Odgłosów", zgodnie z prawem prasowym

MAŁGORZATA WARZECHA
(Redaktor odpowiedzialny audycji
i kierownik Zespołu „Wesoły Autobus")

JAK NIE DOSZŁO DO POJEDYNKU

Cała ta historia zaczęła się od chwili przyjazdu Adama Mickiewicza do Kowna i zamieszkania w domu miejscowego lekarza, doktora Józefa Kowalskiego. W urodziwej jego małżonce, Karolinie, Adam — mimo przestróg przyjaciela Jana Czeczota — zakochał się na zabój. Na nieszczęście zjawił się niespodziewanie w domu państwa Kowalskich drugi amant, ubiegający się o względy pani Karoliny. Był nim nie byle kto — szambelan cesarsko-austriackiego dworu wiedeńskiego, Józef Nartowski. Z okazji pobytu w Kownie w sprawach spadkowych złożył wizytę państwu Kowalskim i zakochał się od pierwszego wejrzenia w pani Karolinie.

Do zatargu doszło wieczorem pierwszego dnia Świąt Wielkanocnych, 14 kwietnia 1821 r. Obydwaj zasiedli do gry w karty w mieszkaniu państwa Kowalskich. Józef Nartowski zamiast grać spokojnie, począł ni stąd ni zowąd, robić złośliwe wymówki przeciwnikowi. Adam Mickiewicz początkowo nie reagował na docinki. Ale gdy ten począł coraz bardziej podnosić głos, poeta zwrócił uwagę, mówiąc:

— At, lepiej patrz w karty niż masz tak głupie prawić koncepty.

Przy tych słowach rozdając karty rzucił je od niechcenia szambelanowi. Józef Nartowski rozgniewany z pogardą odsunął rękę Adama Mickiewicza. Ten, nie panując nad sobą, uderzył w twarz rywala tak silnie, że bezwładnie osunął się z krzesła na woskowaną podłogę. Szambelan nie dał jednak za wygraną. Próbował wstać i zaatakować przeciwnika. Ale Adam Mickiewicz w tej samej chwili porwał za stojący na stole lichtarz i z całej siły uderzył nim w głowę konkurenta. Szambelan jak długi runął na ziemię nieprzytomny, a pani Karolina Kowalska na ten widok pobladła i bliska była omdlenia. Kto wie, czy nie doszłoby do poważniejszych jeszcze starć, gdyby nie wejście pana Józefa Kowalskiego i „rozbrojenie obu przeciwników". Józef Nartowski, który po chwili przyszedł do siebie, nie dał i tym razem za wygraną. Oznajmił gospodarzowi, w jakiej roli przyjmuje Adama Mickiewicza u siebie, Józef Kowalski zapytał poetę, czy to prawda? Adam Mickiewicz zmieszany odpowiedział, „iż choćby to było prawdą", nie należy w takiej sytuacji poruszać tego rodzaju spraw.

Do pojedynku jednak nie doszło. Do Kowna przyjechali zaalarmowani przez Adama Mickiewicza, J. Czeczot, T. Zan i K. Piasecki. Skłonili oni trzech zwaśnionych panów do zaniechania pojedynku i pogodzenia się. 18 kwietnia 1821 roku szambelan wyzwał ponownie Adama Mickiewicza do pojedynku. Ale tym razem, głównie za sprawą J. Czeczota, odprawiono z kwitkiem szambelana, odmawiając mu raz na zawsze wstępu do domu państwa Kowalskich. Odtąd zapanował spokój, a Adam Mickiewicz starał się być bardziej powściągliwy w zachowaniu wobec pani Karoliny.

FRANCISZEK LEWANDOWSKI

Z SĄSIADAMI WARTO ŻYĆ W ZGODZIE

W jednej z audycji PR poruszono problem Śląska Zaolziańskiego i interwencji czeskiej na tym terenie w r. 1920. Ponieważ „Odgłosy" zajmują się stosunkami polsko-radzieckimi w latach 1920—1945 uważam, że nie będzie stanowić „grzechu", jeżeli poruszę i tę sprawę, która stanowi jeden z filarów nieporozumień narodów polskiego i czeskiego.

W 1945 r. byłem członkiem „Szarych Szeregów" na terenie Radomszczyzny. Prowadziliśmy wówczas działalność samoszkoleniową. W tym czasie wpadła mi w ręce książka „Czesi", która wydana była w latach trzydziestych. Rzucała ona pewnego rodzaju światło na odzyskanie przez Polskę Śląska Zaolziańskiego w 1939 r. Śląsk Zaolziański należał do Księstwa Cieszyńskiego, które było zamieszkiwane w większości przez Polaków. Ludność polska po rozbiorach oparła się germanizacji, która uczyniła duże spustoszenie wśród Czechów zamieszkujących na pobliskich terenach (Sudety). Czesi straciwszy niepodległość po bitwie z Habsburgami pod Białą Górą (1620 r.) musieli setki lat walczyć o byt swojego narodu. Przyjęli oni taktykę uległości wobec swoich ciemiężycieli, zamykając się w gronie swoich bliźnich w ten sposób pielęgnując swoją odrębność narodową, religię i byt. Ich los był więc trochę podobny do losu polskiego.

W r. 1918 Czesi odzyskali wolność. Połączyli się ze Słowacją i Rusią Zakarpacką. W jaki sposób to uczyniono — nie wnikam. W tym samym roku Polska odzyskała też niepodległość. Granicę Polski z Czechosłowacją ustalono na Śląsku Zaolziańskim w ten sposób, że pozostawiała ona po polskiej stronie Karwinę, Cieszyn, Bogumił i inne miasta.

W r. 1920, kiedy Polska zajęta była walkami na Podolu w rejonie Lwowa i Wilna, wojska czeskie przekroczyły linię demarkacyjną na Zaolziu i rozpoczęły marsz w głąb Polski. Księstwa Cieszyńskiego broniły nieliczne oddziały garnizonowe pod dowództwem gen. Latinika, które były zbyt słabe na stawianie oporu. Czesi niemal bez oporu dotarli do Skoczowa. Tutaj gen. Latinik zaatakował przeważające oddziały i pobił je. Wkrótce dotarł do Cieszyna. I właśnie wtedy dały znać o sobie wpływy Czechów na forum międzynarodowym. Zawarto zawieszenie broni, a wkrótce ustalono granicę na Olzie, dzieląc Cieszyn na dwie części polską i czeską.

Tak wyglądała pokrótce cała historia. Nie chcę wnikać w to komu co się należało, ale nie rozumiem jednego — dlaczego wmawia się Polsce, że w październiku 1938 r. zajęła Zaolzie napadając wspólnie z Niemcami na Czechosłowację. Przecież Węgry zajęły wtedy Ruś Zakarpacką (nie w pełni zamieszkaną przez Węgrów). I to chyba była bardziej kwestionowana historia.

Po roku 1945 Śląsk Zaolziański przyznano Czechom. Za decyzją stał Związek Radziecki. Moje pokolenie przypomina sobie czas, kiedy w roku 1946 Czechosłowacja wystąpiła, aby Polska oddała jej tzw. „cypel kłodzki z miastami Kłodzko, Bystrzyca Kłodzka, Kudowa Zdrój, Duszniki i Lądek Zdrój", motywując tym, że Polska nie ma ludzi na zaludnienie tych terenów.

Dzisiaj po upływie wielu lat, dawne tarcia ustąpiły. Nawet polska ludność na Zaolziu może uczyć się w szkołach we własnym języku. Ale tamte tarcia nasuwają refleksję.

Pierwsza z nich. Czy zdobycia terytorialne kosztem państwa sąsiedniego i jego sąsiadów popłacają? Czy nie lepiej jest żyć w zgodzie z sąsiadami?

To, że Polska i Czechosłowacja stały się państwami demokracji ludowych umocniło ich więź wzajemną, zmieniło wzajemne stosunki, chociaż istnieją jeszcze drobne nieporozumienia np. spory celne itp. Wydaje się, że pora już jest zastanowić się nad zatarciem granic (przykład wzajemne i nie krępowane kontakty Alzacji z RFN, gdzie nie utrudnia się rodzinnych porozumień).

Są w Europie grupy ludzi, którym marzy się przekraczanie granic bez krępacji, paszportów itp. Coś w rodzaju St. Zjednoczonych Europy. A może taka propozycja dałaby pozytywny wynik?

MIECZYSŁAW KOZAK

DO KOLEGÓW Z TEATRU STUDENCKIEGO „PSTRĄG"

Drodzy Koledzy!

Dołączam się do najlepszych życzeń z okazji XXXV-lecia istnienia Teatru, o czym sporo ostatnio w prasie i telewizji. Jest nas jeszcze — z obsad pierwszych przedstawień STS „Pstrąg" w Łodzi sporo. Ot, choćby Machejkowie, Czubaczyńscy, Zaliński, Gawlik, Fertel, Bierkowski, Hoszowska, Horodecka, Nagurska, Boczkowski, Michalski, sam naczelny „Odgłosów" — Włodkowski i wielu, wielu innych, nie licząc niżej podpisanego.

Szkoda, że o obchodach XXXV-lecia dowiedzieliśmy się w trakcie lub po. Czy mam pretensje? Nie, tylko tak jakoś trochę głupio na duszy...

WITOLD AFELT

KIEDY „OKOLICE OKOLIC ŁODZI"?

Ucieszyłem się, gdy ujrzałem w księgarni książkę pt. „Okolice Łodzi. Szlaki turystyczne" Adama Banasiaka i in. (Warszawa 1988. Wyd. PTTK „kraj" — Na szlaku). Ta oczekiwana od dawna publikacja zawiera opisy miejscowości i tras wraz ze schematycznymi mapkami Pabianic, Zgierza, Aleksandrowa Łódzkiego, Tuszyna a nawet Kolumny czy Łasku, które to okolice należą do województwa sieradzkiego.

Wielkim brakiem jest opuszczenie Ozorkowa, a nawet Głowna. Nasze województwo jest tak małe, iż właściwie wszystkie miejscowości mogą stanowić okolice Łodzi. Przecież do Ozorkowa z Łodzi kursuje tramwaj, a z Ozorkowa można wyruszyć koleją wąskotorową aż na Kujawy.

Autorzy podają też literaturę zawierającą 12 pozycji w tym wydane w latach... pięćdziesiątych czy sześćdziesiątych. Nie podano natomiast trzech najnowszych informatorów turystycznych dotyczących Łodzi i województwa miejskiego. A w ciągu niespełna dziesięciu lat było tych pozycji trzy:

1. Informator turystyczny miasta Łodzi i Województwa Miejskiego Łódzkiego. Brak autora i roku wydania (ok. 1989—81). Pozycja nieudana, ale istniejąca.

2. Województwo Miejskie Łódzkie. Praca zbiorowa pod red. Tadeusza Olszewskiego. Wyd. Naczelna Redakcja Wydawnictw Pozaprasowych Łódź 1980 (Vademecum Turystyczne). Bez mapek i planów miast.

3. Stanisław Liszewski. „Łódź i okolice. Przewodnik". Wyd. Sport i Turystyka Warszawa 1982. Mapki dotyczą tylko miasta Łodzi.

Wydana obecnie publikacja — „Okolice Łodzi" rozczarowuje. Aż czterech autorów wydało aż 93-stronicową książeczkę — kosztującą aż 450 zł. I w dodatku z niedociągnięciami.

CZESŁAW ŻYLIŃSKI

INSTYTUCJE WYJAŚNIAJĄ

RADA NADZORCZA SM „ZARZEW" — pismem dyrektora mgr inż. **Edwarda Pastwińskiego** — informuje, że zmiany w pracy portiera w Domu Seniora przy ul. Tatrzańskiej 31/35 były konsultowane z samorządem, jak też Rada Klubu Domu Seniora kontroluje prace klubu.

DYREKCJA WOJEWÓDZKA „POCZTY POLSKIEJ, TELEGRAFU I TELEFONU" w Łodzi informuje, że **Barbara Kraszewska** ma numer telefonu, który w „Spisie Telefonów" figuruje jako telefon Wojewódzkiego Zarządu Gospodarki Komunalnej. Stąd liczne pomyłki. Wszakże na zmianę numeru Barbara Kraszewska nie wyraża zgody.

MPK poprzez rzecznika prasowego mgr **Danutę Salamachę** wyjaśnia, że linia autobusu „69" obsługiwana jest przez autobusy kursujące z częstotliwością 4.5—5 minut. Wydłużenie tej linii do Widzewa-Wschodu pogorszyłoby częstotliwość kursowania autobusów.

NACZELNIK MIASTA I GMINY KOLUSZKI — mgr inż. **Andrzej Opala** w odpowiedzi na artykuł Pawła Tomaszewskiego „Skóra na niedźwiedziu" pisze, że spór z Tadeuszem A. toczy się już od dłuższego czasu. UMiG w Koluszkach przydzielił dzieciom Tadeusza A. trzy działki bezpłatnie. Tadeusz A. uważa, że miasto nie powinno mieć terenów budowlanych, dlatego kwestionuje zasadność przejęcia przez UMiG w Koluszkach 0,47 ha gruntu, z którego część była własnością Tadeusza A. Jeśli do tej pory Tadeusz A. nie otrzymał odszkodowania, to z powodu trzykrotnej zmiany przepisów w tej sprawie oraz stale zmieniających się cen ziemi.

DZIĘKUJEMY, PRZEPRASZAMY!

Otrzymujemy dużo listów od naszych Czytelników, za co jesteśmy serdecznie wdzięczni. Wiele listów publikujemy, do niektórych ustosunkowujemy się. Nie wszystko możemy jednak publikować ze względu na brak miejsca. Z tego powodu niektóre listy tracą aktualność. Dziś publikujemy listę autorów, których listów nie opublikujemy. Chcemy być w porządku wobec naszych Czytelników. Prosimy jednak nie zniechęcać się! Prosimy utrzymywać z nami nadal kontakt! I prosimy pisać możliwie zwięźle, krótko!

A oto lista autorów, z których listów nie skorzystamy: **Eugeniusz F.** z Łodzi, **Andrzej Sidorski,** Łódź, **Edmund G.** z Łodzi, **Zdzisław Piasecki** z Gałkówka, **Janina Robakiewicz,** Łódź, **Stanisław Sowiński,** Zgierz, **W.A.** z Łodzi, **Marta Sobocka,** Łódź, **Adam Białowiejski,** Łódź-Widzew, **Tadeusz Kolaczyk,** Łódź, **D. Kuleczycka, Łódź, Tadeusz Chyliński,** Łódź.

Jeszcze raz dziękujemy i przepraszamy!

UWAGA, SYBIRACY!

Został już zarejestrowany w organach administracyjnych Tymczasowy Zarząd Wojewódzkiego Związku Sybiraków w Łodzi w następującym składzie: mgr Feliks Milan — prezes, Mieczysław Wutke — wiceprezes, dr Marek Budziarek — sekretarz, mgr Jan Onoszko — skarbnik, Stanisław Jacoń, red. Adam Ochocki, adw. Janusz Rusiniak, Janusz Skarżyński — członkowie zarządu.

W każdy poniedziałek w godzinach 16—19 członkowie zarządu pełnią dyżury w lokalu przy kościele pod wezwaniem św. Maksymiliana Kolbego (ul. Tatrzańska 111), udzielają tam wszelkich informacji zainteresowanym i przyjmują zapisy.

Zakłady Tekstylno Konfekcyjne

teofilow

w ŁODZI ul. Szparagowa 6/8

O F E R U J Ą

do sprzedaży następujące maszyny znajdujące się na terenie ZTK

SZYDEŁKARKI PŁASKIE RASZLOWE

„LIBA", r. bud. 1971, 65 proc. zuż. techn. — 16 sztuk.

SNOWADŁA SEKCYJNE

„LIBA", r. bud. 1971, 60 proc. zuż. techn. — 4 szt.

PRZEGLĄDARKO-MIERZARKA

„DOMISSE", r. bud. 1972, 65 proc. zuż. techn. — 1 szt.

PRZEGLĄDARKA

„MAAG", r. bud. 1974, 70 proc. zuż. techn. — 1 szt.

Informacji udzielamy w **Wydziale Mechanicznym, tel. 52-01-40 wewn. 137 lub 329. Od 2 maja, tel. centr. 52-11-71, 52-10-19, 52-51-90 wewn. 137 lub 329.**

Zainteresowani proszeni są o złożenie pisemnych ofert w ww. wydziale. Oferty zostaną rozpatrzone po 14 dniu od ukazania się ogłoszenia. Nie odpowiadamy za wady ukryte, brak elementów i nie udzielamy gwarancji na zakupione maszyny.

Zastrzegamy sobie prawo wyboru oferty lub odstąpienia od akcji ofertowej bez podania uzasadnienia.

Ponadto informujemy, że mamy do sprzedania części do maszyn dziewiarskich firmy „LEBOCEY". 1690/K

To jest to

PRZEDSIĘBIORCZOŚĆ — INNOWACYJNOŚĆ — — DZIAŁALNOŚĆ GOSPODARCZA

w książkowym kompendium wiedzy

„VADEMECUM DZIAŁALNOŚCI GOSPODARCZEJ"

CZĘŚĆ II ZAWIERA:
— przepisy dotyczące gospodarki finansowej przedsiębiorstw, spółek kapitałowych, rzemiosła oraz innych organizacji gospodarczych.
— komentarz oficjalny — dotyczy organizacji gospodarczych.
— spółki akcyjne — wzór umowy i statutu (stan prawny 6 luty 1988)

CZĘŚĆ III ZAWIERA:
— kodeks handlowy (przepisy — komentarz — zarys wykładu).
— postępowanie rejestrowe w sprawach spółek z o.o i spółek akcyjnych (wzory niezbędnych dokumentów wraz z omówieniem)
— postępowanie przed urzędem skarbowym w sprawach rejestracji funkcjonowania spółek prawa handlowego.
— ustawa o opłacie skarbowej wraz z omówieniem.

(stan prawny 15 luty 1989)

ZAMÓWIENIA REALIZUJE NATYCHMIAST BIURO INICJATYW GOSPODARCZYCH „BIC—POL"

Spółka z o. o. 75-234 Koszalin, ul. Morska 62a/7
tel. 342-47 lub 537-16 (godz. 12—16) telex 534305
Sprzedaż prowadzą także „Domy książek" w Warszawie tel. 31-01-13, Wrocławiu tel. 57-04-21 i Poznaniu tel. 52-11-81.

N O W O Ś Ć:

w przygotowaniu: „VADEMECUM DZIAŁALNOŚCI GOSPODARCZEJ" cz. IV ZAWIERAJĄCE między innymi:
— prawo dewizowe (wraz z omówieniem)
— ustawa o rzemiośle (wraz z omówieniem)
— ustawa o przedsiębiorstwie państwowym (ze zmianami) oraz akty wykonawcze do ww. ustawy.
— ostatnie nowości w sferze działalności gospodarczej.

UWAGA: Stała konkurencyjna cena każdej części 2850 zł. NIE ZWLEKAJ Z ZAMÓWIENIEM! 1716/k

OGŁOSZENIA DROBNE

NIERUCHOMOŚCI

BUDYNEK gospodarczy, mieszkalny, działka, Tuszyn — sprzedam. 74-23-38. 24062-g

KUPNO-SPRZEDAŻ

GLAZURĘ, terakotę — kupię. 33-43-61. 24409-g

SPÓŁKA „Jasta" zakupi barwniki BC, kalander. 51-65-00, Łódź. 24359-g

BONY kupię, 51-95-92. 23807-g

SIMENS miniwieża gramofon, Canon fotoaparat, TVC nowy, zachodni — sprzedam. 36-19-56. 24443-g

„ROLEX" męski niedrogo — sprzedam. 86-81-28. 24580-g
GLAZURĘ sprzedam. 555-716. 25085-g

BISTOR 167, bawełnę 40 — sprzedam. Zgierz, Krawiecka 12. 24858-g

SPRZEDAM komputer PC/XT. 55-23-61. 24724-g

BONY sprzedam. 51-95-92. 22402-g

DOGI rodowodowe — sprzedam. 36-50-60. 24563-g

KERRYBLUE teriery, rodowodowe — sprzedam. 43-88-40. 24564-g

STARE książki — kupię. 81-62-35. 25307-g

LODÓWKĘ „Mińsk 16" sprzedam. 33-30-79 25297-g

POJAZDY

NOWĄ karoserię „Skoda" — sprzedam. 34-34-55. 25096-g

LOKALE

ŚWIDNICA M-3 zamienię na Łódź. 55-16-19 Łódź. 25169-g
SAMODZIELNEGO mieszkania (telefon) — poszukuję. 87-49-43. 25084-g

LOKALU na pracownię, Bałuty — poszukuję. 51-76-70. 24472-g

NAUKA — PRACA

WP CENTROPOL — Zespół Psychologów — Logopedów — Pedagogów poleca usługi specjalistów w domu klienta. Diagnostyka, poradnictwo, korepetycje (kl. 0—III), inne 55-70-27, 55-70-45 (8—15), 43-16-48 (dni robocze 18—21). 22278-g
ZATRUDNIĘ blacharza i mechanika samochodowego. Łomnicka 18 (od Smutnej). 25083-g
CHAŁUPNICZKI z overlockami, stębnówkami — szycie spódnic, zatrudnię. 51-76-70. 24473-g
BRYGADZISTĘ, murarzy, tynkarzy na stałe zatrudnię. 87-73-38. 24992-g
WYKWALIFIKOWANĄ szwaczkę do pracowni na Rudzie przyjmę. Płaca bardzo dobra. 81-66-17. 25007-g

USŁUGI

FIRMA „ARBUD" — projekty, kosztorysy, nadzory. Tel. 81-19-54. 23057-g

EKSPRESOWA naprawa pralek automatycznych. Misiak 33-00-86 (8—12). 22340-g

WYPOŻYCZALNIA magnetowidów. 74-82-92 Woźniak. 23010-g

AMORTYZATORY, pompy: wodne, hamulcowe — naprawa, Wólczańska 63, Sala. 23962-g

USŁUGI ogrodnicze w zakresie: projektowania ogródków działkowych, zakładanie, koszenie trawników, ścinanie, karczowanie drzew, nasadzanie roślin. Tel. 51-58-88 Jasielec. 24912-g

MALOWANIE 78-58-88, Adamek. 25126-g

ZE SLAJDÓW — odbitki, duplikaty. Z negatywów-slajdy. Wykonuje: „Studium" Łódź, Wacława 9, (od Tatrzańskiej). BEZPŁATNE WYWOŁYWANIE NEGATYWÓW. 25245-g

SERWIS mikrokomputerów. Limanowskiego 200, (17—19.30) Nikodemski. 25237-g

PIASEK przewożę. Tel. grzecznościowy 36-66-70. Makucki. 25164-g

RÓŻNE

PRZYJAŹŃ, romans, małżeństwo — kraj, zagranica. 36-83-66, „Romantica", Roosevelta 5. 24125-g

ZGUBY

ZAGUBIONO legitymację studencką 2362/AM, Robert Sęk. 24631-g

BIURO USŁUG CONSULTINGOWYCH **consult** sp. z o.o.

JAKO PRZEDSTAWICIEL FIRMY SINGAPURSKIEJ

✱ J E C ✱

oraz

ZACHODNIONIEMIECKIEJ FIRMY

✱ N A W R O T ✱

OFERUJE DOSTAWY:
✱ profesjonalnego sprzętu mikrokomputerowego klasy IBM XT/AT/386
✱ lokalnych sieci komputerowych
✱ drukarek, digitizerów, ploterów, innych urządzeń peryferyjnych

WYKONUJE OPROGRAMOWANIE:
◆ wspomaganie zarządzania (np. kadry, płace, gospodarka magazynowa itp.)
◆ narzędziowe (wielodostęp, komunikacja)
◆ numeryczne, statystyczne

GWARANTUJE:
▶ wysoką jakość dostarczonego sprzętu i oprogramowania
▶ kurs obsługi sprzętu i oprogramowania
▶ 12-miesięczny serwis gwarancyjny
▶ możliwość zakupu za złotówki i dewizy (osoby prawne i fizyczne)

PROWADZI:
▼ skup elementów, podzespołów, komputerów i innych urządzeń

ZARZĄD
81-862 SOPOT
ul. Kujawska 38
tel. 51-69-21
tlx 0512416 cons pl

ODDZIAŁ W ŁODZI
90-646 Łódź
ul. 22 Lipca 80
tel. 32-60-18
tlx 884315 buk pl

1378/k

POWAŻNE
PRZEDSIĘBIORSTWO PAŃSTWOWE
P O S Z U K U J E
◄ KANDYDATA ►
na stanowisko Głównego Ekonomisty
z bliską perspektywą objęcia stanowiska z-cy dyrektora.

Reflektujemy na kandydatów z terenu Łodzi, mężczyznę w wieku do 50 lat, z praktyką na stanowiskach kierowniczych w zakresie ekonomiki i finansów przedsiębiorstwa.

Oferty prosimy kierować pod nr 2830/K. Biuro Ogłoszeń Łódź, ul. Sienkiewicza 3/5.

2830/K

UWAGA PRYWATNI PRZEDSIĘBIORCY!

FIRMA MARKETINGOWA UŁATWI CI

Z A W A R C I E S P Ó Ł K I

także z udziałem kapitału zagranicznego.

Poważne oferty zawierające konkretne propozycje prosimy kierować na: Biuro Ogłoszeń, Łódź, Sienkiewicza 3/5. Oferta nr 1694/K.

FABRYKA DYWANÓW „D Y W I L A N" w Łodzi, ul. Dąbrowskiego 247/249
P O S I A D A
do sprzedaży
ŚCINKI DYWANOWE — NIEUŻYTKOWE
w cenie umownej.

Szczegółowych informacji udziela Dział Zaopatrzenia, tel. 43-24-85. 1615/K

Zakłady Hydrauliki Siłowej w Łodzi.

I N F O R M U J Ą
UCZNIÓW KL. VIII
o możliwości zdobycia zawodu:
◄ **operator obrabiarek skrawających,**
◄ **mechanik aparatury automatycznej.**

Zapisów dokonuje sekretariat Zasadniczej Szkoły Mechanicznej nr 1, Łódź, ul. Z. Nałkowskiej 2, tel. 43-46-46, 43-46-12.

2973/K

Ośrodek Kształcenia Zawodowego nr. 4 ZDZ w Łodzi ul. Wróblewskiego 17

organizuje
K U R S Y
w zakresie:
◄ **RACJONALNEGO PROWADZENIA GOSPODARSTWA DOMOWEGO,**
◄ **MAŁEJ GASTRONOMII,**
◄ **GOSPODNIKA**
◄ **tzw. MINIMUM SANITARNEGO**
◄ **BHP i PPOŻ.**

UWAGA: Osoby zainteresowane prowadzeniem działalności gospodarczej zapraszamy na szkolenie dotyczące interpretacji przepisów finansowych zakładów rzemieślniczych oraz przepisów prawnych o spółkach i handlu zagranicznym.

Zapisy przyjmuje i informacji udziela **Sekretariat OKZ w Łodzi, ul. Wróblewskiego 17, tel. 84-97-21.** 1720/K

kalkulatory firmy casio z wyświetlaczem i drukarką

Zasilanie sieciowe i bateryjne.
Nowoczesne i niezawodne.
— 10-, 12-, 14- i 16-cyfrowe niezastąpione w działach finansowo-księgowych
— KALKULATORY INŻYNIERSKIE

Udzielamy 12-miesięcznej gwarancji, zapewniamy serwis pogwarancyjny.

Krótkie terminy do odbiorcy. Płatność przelew, inkaso, czek.

Nasz adres:
Przedsiębiorstwo Techniczno-Handlowe, Sp. z o.o.
ul. Słowackiego 189, 26-600 Radom
tel. 524-65: 527-80
teleks. 067645

460 K

Z różnych szuflad

„Ojczyźnie miłej służ!"

„Czym twa ziemia"? — pytał kiedyś młodocianego czytelnika poeta Władysław Bełza w do dziś zapamiętanej rymowance „Katechizm polskiego dziecka". Dziecko odpowiadało niezmiennie: „mą ojczyzną", która nie tylko dla zapewnienia zgodności rymów zdobyta została „krwią i blizną". Kiedyś dawno, bardzo dawno temu, mieszano to pojęcie z ojcowizną — dziedzictwem po ojcach, niekoniecznie z pierwszego pokolenia. Jeszcze Łukasz Górnicki pisał w „Dworzaninie" (1566): „Moim zdaniem lepiej uczyni kto mówiąc o Polszcze rzecze patria moja, niźli ojczyzna, bo ojczyzna częściej się rozumie to, co gruntu komu ojciec zostawił". Od czterystu lat tradycje utożsamia już pojęcie ojczyzny z rodzinną ziemią ową dostojną "patria" starożytnych Rzymian.

Piotr Skarga w słynnych „Kazaniach sejmowych" (1597) nauczał, że „kto ojczyźnie swej służy, sam sobie służy". Złotousty kaznodzieja przyrównał ojczyznę, szarpaną namiętnościami, do tonącego okrętu: *„Gdy okręt tonie, a wiatry go przewracają, głupi tłumoczki swoje opatruje i na nich leży, a do obrony okrętu nie idzie, i mnima, że się sam miłuje, a on się sam gubi. Bo gdy okręt obrony nie ma i on, ze wszystkim, co zebrał, utonąć musi (...) Ten najmilszy okręt ojczyzny naszej wszystkich nas niesie, wszystko w nim mamy, co mamy. Gdy się z okrętem źle dzieje, gdy się o utrzymanie jego nie staramy, gdy dla bezpieczności tego wszystkim, co w domu jest, nie pogardzamy zatonie i z innymi my sami poginiemy" „Jeśli cię zapomnę, ojczyzno miła moja i Hieruzalem moje* — wołał kaznodzieja — *niech zapomnę prawicy ręki mojej. Niech język przyschnie do ust moich, jeśli pomnieć na cię nie będę, a jeśli cię na czele wszystkich pociech moich nie położę".* Anatemę rzucił Skarga na wyrodnych synów Ojczyzny: *„Przeklęty, kto zasmuca matkę swoję! A która jest pierwsza i zasłużeńsza matka jak ojczyzna, od której imię macie i wszystko, co macie, od niej jest? która gniazdem jest matek wszystkich. Hieruzalem, matka nasza — mówi Apostoł — nad wszytkie matki czci i szanowania godna".* Z tego samego posiewu myśli Skargi wywodzi się sentencja Szymona Starowolskiego, zawarta w jego dziele „Prawy rycerz" (1648): *„Powinnej miłości ku ojczyźnie, w której się zamykają bracia wszystkie powinowactwa nasze i majętności, nie opuszczajmy".* Wtórował Skardze i Starowolskiemu również Krzysztof Opaliński (1610—1656):

Trudno tego zamilczeć, co ojczyznę boli,
Bodaj nie żył, kto jej nic nie życzy dobrego,
Jakoby sam miał zostać, gdy ona upada.
Całością każdy z nas stoi, a kiedy ta
Obalona, upaść też fortuny z nią muszą.

Kotłowało się w Rzeczypospolitej Obojga Narodów i od sporów wewnętrznych i od szarpania przez wrogów zewnętrznych, i buntów kozackich, i frymarczenia godnością Polaka i obywatela. Kosmopolityczni panowie polscy łatwo powoływali się na Cyceronową maksymę „Ubi bene, ibi Patria" (gdzie dobrze, tam ojczyzna), nie zdając sobie sprawy, że i w tej ojczyźnie-ojcowiźnie może być dobrze, gdyby zjednoczyć siły „ku poprawie Rzeczypospolitej", czego domagał się już Frycz Modrzewski. Nic dziwnego, że tylko wychowankowie Szkoły Rycerskiej powtarzali hasło „Święta miłości kochanej ojczyzny", rzucone przez Krasickiego, zaś inne postawy reprezentowała większość społeczeństwa szlacheckiego, co trafnie dostrzegł Franciszek Dionizy Kniaźnin: „Ojczyzna ginie! czcze imię. Ten się syn kłóci, ów drzymie". Nic dziwnego, że nadszedł kres tej ojczyzny, o której obronie zapomniano. Tuż po upadku Rzeczypospolitej pisał Adam Jerzy Czartoryski:

Ojczyzno rozszarpana! wszystko ci stracone,
Nieszczęsna Polsko! nawet twe imię zgładzone.

Dziedzictwem Polaków pozostały łzy i żal za utraconą ojczyzną, wyraźny w wierszu Franciszka Karpińskiego:

Ojczyzno moja, na końcuś upadła:
Zamożna kiedyś i w sławę i w siłę!...
Ta, co od morza aż do morza władła,
Kawałka ziemi nie ma na mogiłę!...
Jakże ten wielki trup do żalu wzrusza,
W tym ciele była milionów dusza.

I tylko w kościołach od czasu ostatniego rozbioru śpiewano jedną z najpiękniejszych pieśni religijnych — pieśń Karpińskiego:

Podnieś rękę, Boże Dziecię!
Błogosław ojczyznę miłą.
W dobrych radach, w dobrym bycie
Wspieraj jej siłę swą siłą.

Przez cały wiek XIX słowem i czynem walczono o ojczyznę. Mickiewicz w „Księgach narodu polskiego i pielgrzymstwa polskiego" (1832) modlił się: „O niepodległość, całość i jedność ojczyzny naszej. Prosimy Cię, Panie!", a Norwid wskazywał, że „ojczyzna jest to wielki-zbiorowy obowiązek".

Emigrantom polskim pozostawało najczęściej tylko wspomnienie o utraconym kraju, ze smutną świadomością złożenia swych kości na wieczny spoczynek gdzieś na obczyźnie.

Ojczyzno moja! może wszyscy wrócą
Na twoje pola, ale ja nie wrócę!
(J. Słowacki).

W świadomości wygnańców jawił się miraż idealnego kraju, wymarzony przez Stefana Garczyńskiego (1833):

Gdzie dobrze urodzajna niwa,
Pop ma litość, król z ludem przyjaźń zobopólną,
Gdzie wszystko myśleć wolno, wszystko mówić wolno,
A sędzia ubogiemu sprawiedliwość przyzna,
Tam kraj mój — moje imię — rodzina — ojczyzna!

Tymczasem w kraju było całkiem inaczej, za samo wspomnienie ojczyzny groziły represje zaborców. Kiedy nadeszła pora kolejnego zrywu niepodległościowego arcybiskup warszawski Zygmunt Szczęsny Feliński ośmielił się napisać w memoriale do Aleksandra II w 1863 r., świadomie nawiązując do kazań Skargi: „Zbrodnię nam czynią z tego, że kochamy Polskę, a nie Rosję, zapominając o tym, że miłość ojczyzny jest tak samo uczuciem wrodzonym, jak miłość matki. Jako wyrodne chyba dziecko nie kocha swej matki, tak wyrodny tylko obywyatel nie miłuje swej ojczyzny". Feliński odpokutował swój buntowniczy memoriał zesłaniem do Jarosławia nad Wołgą, zaś kraj bezprzykładnymi represjami wobec powstańców styczniowych.

Wiele ofiar i krwi popłynęło, lecz wciąż pozostawała wiara w niepodległość i odrodzenie ojczyzny:

Ojczyzno! Nie płacz swych dzieci, i co giną,
Niechaj krew płynie i łzy niechaj płyną,
Niechaj się ziemi wstrząsają krawędzie,
Jest Bóg nad nami, wiec i Polska będzie!

pisał Bolesław Czerwiński, autor „Czerwonego sztandaru".

Minęły lata, niebawem miał się ziścić sen o Niepodległej. Pisał Józef Relidzyński w 1916 r. na placu boju:

Zbudź się! Kajdany rdzawe rwij!
Na polską glebę żyzną
poniesiem krew i z onej krwi
rozkwitniesz nam, Ojczyzno (...)

Jeśli dziś, dzięki wzmożonej aktywności społecznej powstają nowe pomysły ratowania Najjaśniejszej Rzeczypospolitej, przypomnijmy, że Skarga pisał: „Gdzie serca różne, jako zgodna rada około ojczyzny ma być", a wtórował mu Opaliński wezwaniem: „Boże, daj jedność w ojczyźnie!"

ANDRZEJ KEMPA

1

Nagłe zastępstwo Menadżeria

Jeśli cokolwiek mnie rozśmiesza w historii ruchu związkowego lat 1980—81 to przede wszystkiem krótka, ale wesoła historia związku zawodowego dyrektorów. Ta kuriozalna organizacja odradza się w jakiś sposób: powstają rady dyrektorów, powstało jakieś stowarzyszenie menadżerów. Dokładnie nie wiadomo, o co w tych gremiach chodzi, choć niektóre z nich wydają niezbyt sympatyczny zapaszek. Oto na przykład taka rada dyrektorów z pewnego miasta wykombinowała porozumienie zupełnie bezprawne i mafijne, że nie będą sobie panowie dyrektorzy podkupywać pracowników. Niby pięknie, tyle że polega to na cichym zakazie zatrudnianie przez jeden zakład pracownika, któr z własnej woli odszedł z innego zakładu.

Spośród wielu słów, jakie ostatnio zrobiły u nas karierę na jednym z pierwszych miejsc wymienić można piękne słowo „menadżer", które na tyle się w polszczyźnie zadomowiło, że można je już pisać w polskiej pisowni. Co do rąk wezmę gazetę, co włączę radio czy telewizor to mi menadżera odmieniają przez wszystkie przypadki. A to że nie doceniany, a to znów, że cała w nim nadzieja, bo tylko od przedsiębiorczości i menadżerskiego talentu zależy przyszłość gospodarki, a to znów, że szkoła menadżerów, a to znów ktoś tam jest „polski Lee Iacocca".

Jak to zwykle bywa tam, gdzie konie kują żaba łapinkę marną podstawia: bo u nas menadżer to jest nie tylko laureat nagrody im. Zygmunta Szeligi, dyrektor EXBUDU, nie tylko minister Mieczysław Wilczek (Szczęść Boże!), nie tylko dyrektor łódzkiego „Centralu". Nie, u nas menadżer to jest każdy facet, który przez przypadek czysty i wyniku pomyłki nomenklaturowej został dyrektorem zakładu, który zatrudnia sto osób i produkuje takie buble, że nawet na naszym rynku nie ma zbytu... Dyrektor jest, czyli po nowemu: „menadżer"!

Polega to, niestety, panowie PT dyrektorzy i prezesi na pewnym nieporozumieniu leksykalnym. Słowo „menadżer" ma w sobie pewien odcień znaczeniowy wartościujący: menadżer to jest więcej niż kierownik zakładu, więcej niż dyrektor. Oznacza to specyficzny talent, szósty zmysł, oznacza sukces. Menadżer to jest artysta wśród rzemieślników, facet charyzmatyczny i przez Stwórcę namaszczony i natchniony. Ot- co!

Tymczasem my, zamiast kadry menadżerów mamy, proszę wybaczyć słowo, menadżerię ... A w menadżerii jak w menażerii, jest i lew i słoń i pantera. Ale jest też zajączek malutki (sympatyczny skądinąd), jest kundel, a czasem to i skuns się trafi...

Wreszcie sprawa ostatnio szczególnie drażliwa. Podobno rząd ma wydać jakieś specjalne dokumenty (a może już wydał?) regulujące płace kadry kierowniczej i gwarantujące tej kadrze określone przywileje. Jestem otóż przeciwnikiem zdecydowanym urawniłowki, wiem że płaci się nie tylko za pot na czole i odciski na rękach. Płaci się — na świecie, jeszcze nie u nas — za kwalifikacje, za odpowiedzialność, za miejsce w hierarchii nawet.

Tak, ale ... otóż przywykliśmy od lat, że wyższa płaca należy się za wyższe stanowisko jak — za przeproszeniem — psu zupa. Kierownik ma więcej od referenta, naczelnik więcej od kierownika, dyrektor więcej od naczelnika. I to jest prawidłowość jakaś, tyle że nie do końca obowiązująca. Nie wyobrażam sobie, żeby dyrektor szpitala automatycznie miał zagwarantowaną wyższą płacę od genialnego chirurga, który jest tylko ordynatorem. Nie może tak być, żeby dyrektor teatru zarabiał więcej niż najwybitniejszy aktor w jego zespole, żeby dyrektor wydawnictwa miał wyższe pobory niż honoraria bardzo wybitnego pisarza, który u niego wydaje.

Przykłady są ze specyficznych branż, ale wcale nie boję się napisać, iż uważam za słuszne zastosowanie tej reguły w przemyśle, budownictwie, handlu, transporcie. Wyobrażam sobie mianowicie tak wspaniałego szefa produkcji, że się o niego cała branża bije i w efekcie zarabia grubo lepiej niż jego zwierzchnik. I broń Boże go awansować! Może się okazać, że ów genialny szef produkcji jest dyrektorem od siedmiu boleści, historia zna takie przypadki...

Opowiadano mi kiedyś, że w czasie wizyty w jednym z naszych zakładów pewien zachodni menadżer (prawdziwy) bardzo się dziwił, że dyrektor wzywa do siebie szefa produkcji. Pan go odrywa od steru? Nigdy bym tego nie zrobił! Ja zawsze chodzę do swojego szefa produkcji...

Inni dyrektorzy, inni szefowie, inna produkcja, proszę szanownych członków menadżerii.

ANDRZEJ KAROL

2

Tak jest tylko w Łodzi

— Wiadomo powszechnie, że kierowcy to ludek trunkowy. Czy w łódzkim MPK nie ma problemów z absencją spowodowaną spożywaniem napojów wyskokowych?

— Absolutnie nie! Jest to temat tak dalece nam obcy, że kierownik D. pisze alkohol przez „ch", vide — zakładowa tablica ogłoszeń z wyszczególnieniem przewinień i potrąceń premii pracowniczych. Nie dostaną podwyżek.

— A niedawne podwyżki były przecież znaczące dla domowych budżetów.

— Tak. Na skutek rzeczowych rozmów i obustronnej woli porozumienia prawie wszyscy ci, którzy nie publikują swoich refleksji w „Odgłosach", zostali objęci przegrupowaniem i regulacją płac. Usprawnia się również system motywacyjny zachęcający do pracy w dni wolne, a docelowo planuje się taki nabór pracowników, żeby praca z wolnego nie była konieczna. Tymczasem luki kadrowe uzupełnia się odpracowującymi służbę wojskową. Jeden z takich radosnych dwudziestolatków najechał nawet na mój tramwaj, bo nie doszkolono go dość gruntownie.

— Ma pan na myśli przepisy o ruchu drogowym?

— W tym wypadku akurat nie. Chodzi o specyfikę niektórych punktów naszego miasta. Mamy wciąż tory układane wtedy, gdy szerokość tramwaju typu „N", a więc 2,20 m, była jedyną stosowaną. Obecnie większość wozów ma 2 m 40 cm i nie wszędzie mogą się swobodnie mijać.

— Dużo jest w Łodzi takich miejsc?

— Coraz mniej, a najbardziej uciążliwym jest skrzyżowanie ulic Jana Kilińskiego i Stefana Przybyszewskiego. Trochę usprawniło ruch przeniesienie pierwszeństwa przejazdu, ale zastosowanie sygnalizacji świetlnej znowu powoduje korki. Tylko jeden tramwaj może skorzystać z zielonego światła, drugi czeka przed zwężeniem na następne. Jest to kwestia przesunięcia szyn o kilka centymetrów, ale jakieś względy blokują działania. Zdaje się, że najbardziej przeszkadza narożna kamienica, w której mieści się bar. Jej właściciel jest w Kanadzie i nie chce posesji odprzedać. Myślę jednak, że remontu torów można dokonać nie ruszając budynku, a tymczasem kładzie się zupełnie nowe torowiska, na których tramwaje również się nie mieszczą. Przykładem zygzakowaty wjazd z ul. Marcelego Nowotki w Telefoniczną. Tam już miejsca jest pod dostatkiem i dał znać o sobie jedynie partactwo wykonawców. Światła nat...niast niezbędne są gdzie indziej.

— Mianowicie?

— Choćby na rogu ul. Stefana Żeromskiego i Mikołaja Kopernika albo na Karolewskiej przy Oszczepowej. Przydałaby się też zmiana, a właściwie powrót do dawnej organizacji ruchu na ul. M. Nowotki przy Strykowskiej. Ruch okrężny stanowił tam rozwiązanie kompromisowe, a teraz tramwaj dwukrotnie musi ustępować pierwszeństwa.

— Ostatnie zmiany w kodeksie drogowym miały ułatwić ruch pojazdów szynowych...

— Miały. Powstał przepis mówiący, że kierowca ma zatrzymywać pojazd przed skrzyżowaniem w sposób nie utrudniający jazdy tramwajom, ale nikt tego nigdy nie egzekwował. Fukcjonariusze Komendy Ruchu ostatnio są jakby źle do nas nastawieni, choć nie znam przyczyny. Zdarzyło się parę dni temu, że uznano winnym starcia kierowcę samochodu, a mandatami ukarano obydwu uczestników. Motorniczego za zatrzymanie ruchu, choć wiadomo, że do przybycia pogotowia nie powinno się zmieniać położenia pojazdów. Takie salomonowe rozstrzygnięcia służą na pewno dobrze kasie Komendy Ruchu, ale nie budzą zaufania do jej pracowników. Wracając do przepisów, ten o pierwszeństwie samochodów jadących prosto przed skręcającym tramwajem powoduje, że możemy jechać tylko przy żółtym świetle i to dzwoniąc głośno na wszystkich spóźnialskich.

— Jakie mogłoby być rozwiązanie?

— Chyba znowu kompromis. Tramwaj skręcający w lewo ustępowałby pierwszeństwa, a skręcający w prawo — nie. Skręt w prawo wymaga teraz ekwilibrystyki, bo lusterko wsteczne jest ustawione na drzwi wagonu, a wyglądanie oknem jest niewygodne i nie zawsze możliwe.

— Zasłaniają stojący pasażerowie?

— Zwłaszcza ci, którzy tłoczą się przy pierwszych drzwiach wagonu. Jest to problem, z którym walczą już całe pokolenia motorniczych. Dyrektor Józef Korkosiński obiecał nam wprawdzie przywrócenie napisu „wyjście" na pierwsze drzwi, ale zrobił to już trzy lata temu i jak dotychczas nie dotrzymał słowa. To nie jest błahostka! Te drzwi są niewidoczne w lusterku zewnętrznym i w interesie bezpieczeństwa podróżnych należałoby kategorycznie zabronić wsiadania tędy pod prąd. Dla inwalidów montuje się już specjalne poręcze przy drugich drzwiach, ale są wśród nich fanatycy, którzy potrafią przeczłapać wzdłuż całego składu, żeby dobijać się laską do pierwszych drzwi. Tak dzieje się tylko w Łodzi.

— To wszystko denerwuje i zniechęca, prawda?

— Owszem. Choroba wrzodowa żołądka na tle nerwowym jest tak nagminna w naszej branży, że powinna zostać uznana za schorzenie zawodowe. Podobnie zresztą zwyrodnienie kręgosłupa.

Z motorniczym 30 057 rozmawiał: ANDRZEJ KRAKOWSKI

3

Sport

Przypisani do klubu

Piękna to baśń. Opowiada się w niej o krainach, które leżą za siedmioma morzami, siedmioma górami i siedmioma rzekami, w których znosi się granice, wizy i cła. Paszport jednego kraju upoważnia do podróżowania po innych. Coś pięknego. Przyjemnie się słucha.

Niegdyś, gdy chodziłam do szkoły, uczono mnie, że świat podzielił się na dwa wrogie obozy. U nas wszystko jest postępowe, najlepsze, przyszłościowe, tylko trudności są obiektywne, choć przejściowe. Przyszły i odejdą, a przyjść musiały, w tym jest ich obiektywność. Między tymi dwoma wrogimi światami — uczono mnie — źli ludzie, zwani imperialistami zawiesili żelazną kurtynę i prowadzą zimną wojnę. Później okazało się, że kurtyna wcale nie jest żelazna, że wojna jest letnia, a na Zachodzie też są ludzie postępowi, którzy robią dobre filmy, piszą niezłe książki, malują piękne obrazy, robią dobre samochody i wiele innych pożytecznych rzeczy. Można z nimi współpracować, uczyć się nawet od nich, ale mimo wszystko tamten świat gnije i umiera. Choć śmierć ma piękną...

Z tego podziału na dwa światy wynikały prawne konsekwencje. Obowiązkiem każdego z patriotów było tkwić w tym lepszym świecie, a na Zachód uciekali zdrajcy i sprzedawczyki. Kto uciekał na Zachód ten z porządnego, zdolnego, obiecującego, robił się natychmiast zły, przegrany, niezdolny, generalnie oszust i wszelka swołocz. Z białego robiło się natychmiast czarne. Taki schemat obowiązuje niemal do dziś. Przynajmniej w sporcie...

Nie zajmuję się dziejami emigracji, ale gdy oglądam filmy, na przykład amerykańskie, to słyszę różne nazwiska: włoskie, irlandzkie, szkockie, angielskie, niemieckie, hiszpańskie i również polskie. Po prostu ludzie wyjeżdżali w poszukiwaniu lepszych warunków do życia i pracy i osiedlali się tam, gdzie te warunki znajdowali. Akurat tak się złożyło, że była to Ameryka. Dziś ponoć takie warunki stwarza Australia.

Ludzie na ogół wyjeżdżają z kraju biednego w którym nie potrafią znaleźć dla siebie miejsca. Dla takiego kraju, z którego ludzie wyjeżdżają nie jest to powód do dumy. Ale też w kraju takim powinno się mieć nadzieję, że część z tych ludzi wróci, dorobiwszy się na obczyźnie i przyczyni się jakoś po powrocie do rozwoju rodzimej gospodarki. Na to trzeba nawet liczyć. Dlatego, choć wstyd, wyjazdy takie trzeba traktować normalnie. Ale Boże broń, żeby dotyczyło to sportowców...

Coraz to słyszy się lament, że któryś sportowiec pozostał za granicą. Ostatnio pozostał pingpongista z Wybrzeża. No i co z tego? Pozostało już tylu...

A może jednak warto się nad tym zastanowić? Dlaczego lamentujemy? Czy człowiekowi nie wolno wyjechać, aby grać w zagranicznym klubie? Że to osłabia nasze kadry sportowe? Osłabia, ale widać nie mamy na to w kraju sposobu. Jeśli będziemy nadal sztucznie bronić wyjazdów, to sportowcy lepsi i gorsi będą... uciekali. Proste i logiczne.

Z innych krajów też uciekają. Niedawno pozostał w USA radziecki szachista Gat...ski wraz z ojcem. Zamiast lamentować, zapytano trenera Aleksandra Roszalena, dlaczego tak się dzieje? Odpowiedź była zadziwiająco prosta. W ZSRR jest dużo dobrych szachistów. Możliwość przebicia się nawet tych lepszych wśród dobrych jest mała. Możliwość pokazania się wśród dobrych choćby w USA jest znacznie większa. Dlatego młodzi, przedsiębiorczy szachiści radzieccy chcą grać na Zachodzie. Gdy im się to uniemożliwia — uciekają. Tak przed 10 laty zrobił Lew Albutow, który do dziś mieszka i gra w Nowym Jorku.

Polskie przepisy o wyjazdach sportowców za granicę kształtowały się albo w czasach, gdy wszystko na wschód od Łaby było najlepsze i najbardziej postępowe, albo pod wpływem pozostałości ducha z tamtych czasów. Według tych przepisów najpierw trzeba „dać z siebie wszystko" u siebie, a później można się sprzedać „zgniłym imperialistom". Tymczasem przykład Zbigniewa Bońka, który wyjechał do Juventusu w najlepszym dla sportowca okresie, pokazuje, że grając we Włoszech zrobił on dla Polski znacznie więcej niż inni tępo kopiący piłkę w rodzimej lidze i od czasu do czasu usiłujący grać w kadrze narodowej. Bez powodzenia zresztą. Toż to czysta antypropaganda rodzimego sportu.

Wielu sportowców gra w zagranicznych klubach i nie odmawia gry w narodowej reprezentacji. Tak się dzieje na całym świecie. Dlaczego nie można przyjąć takiej zasady i u nas? Pozytywne przykłady już mamy. Czyż Andrzej Rudy musiał robić takie „cyrki", aby znaleźć się w zagranicznym klubie? Czy nie było innego sposobu, aby tak zrobić, żeby „wilk był syty, i owca cała". Mam nadzieję, że kiedyś i do tego dojdzie.

Jest tylko inny problem. Co zrobić, aby tacy ludzie, jak Zbigniew Boniek chcieli wrócić do Polski i mieli tutaj takie warunki działania, jakie mają na Zachodzie. Oto jest pytanie!

BOGDA MADEJ

ANDRZEJ BRYCHT

Azyl polityczny

Część II
Zanzibar (13)

Jan Duch czytał w młodości książkę pod tytułem „Na zachód od Zanzibaru", autor nazywał się bodaj Dąbrowski. Były to krótkie opowiadania, ukazujące los najbiedniejszych mieszkańców przedwojennej Warszawy, bezdomnych lumpów, nocujących w śmietniskach, kradnących i żebrzących. Zanzibarem nazywano teren za Dworcem Gdańskim, w owym czasie było to bardzo daleko od przyzwoitej Warszawy. Tej przygnębiającej lektury Jan Duch nie zapomniał nigdy, tak jak nie zapomniał książek Uniłowskiego, czy „Ludzi stamtąd" Marii Dąbrowskiej.

I oto kilkadziesiąt lat później jacyś dwaj furiaci proponują mu robotę w „Zanzibarze". Duch się zgadza, bo nie ma innego wyjścia. Znów załapał się na zapomogę z Manpower, ale jest to tylko dwadzieścia dolców na tydzień. Pokój, wynajęty na Palmerstone Avenue, najtańszy jaki się trafił, kosztował piętnaście tygodniowo. Jak wyżyć za pozostałą piątkę? Na szczęście Duch nie palił, a piwo wieczorami stawiali mu zwykle jego nowi przyjaciele, synowie byłych prominentów Ludowej. Zabierali go do klubów jazzowych, nareszcie mógł się nasłuchać do woli tradycyjnego jazzu, który przywracał mu optymizm.

Ale powroty do domu były kłopotliwe. Schody skrzypiały, na górze osiem pokoików przedzielały cienkie ścianki z „gyprocu", czyli po prostu płaty gipsu obciągnięte papierem. Słychać było każdy krok, chrapanie, nawet głębszy oddech. Połowa lokatorów pracowała w nocy, inni w dzień Wobec tego w dzień trzeba było zachowywać się tak samo cicho, jak w nocy.

O porządnym umyciu się nie było mowy. Stara wanna na krzywych nogach, kran. Duch kupił sobie gumowy prysznic, podłączył do kranu i jakoś poszło. Ale zapomniał odłączyć wynalazek i zabrać z sobą, więc na drugi dzień już węża z sitkiem nie było Zgłosił się do gospodyni. Była to całkiem jeszcze na chodzie Ukrainka w średnim wieku, mówiąca po polsku.

— Ja to zabrałam i panu nie oddam — powiedziała — bo na drzwiach pisze, żeby nie używać szaleru.

— Dlaczego?! — Duch nie mógł zrozumieć, ponieważ Kanada jest krajem obfitującym w wodę.

— Bo każdy by chciał. A woda na liczniku bije. I do tego zalewa się podłoga, i przecieka w dół.

Wtedy Duch powiedział jej, że zamek w jego drzwiach jest popsuty.

— Tu nie trzeba zamykać — powiedziała — tu nikt nikomu nie kradnie.

Nie było to prawdą, ponieważ kradli. Nie tak jak w Polsce, ale kradli. Poszła więc z Duchem na górę, żeby zobaczyć, co się da zrobić z tym zamkiem.

Udając, że ogląda zamek, tarła się o Ducha i sapała, a jej twarz, biała jak ciasto, pokryła się małymi kropelkami potu. Duch wpadł w popłoch. Baba się grzała, a tu słońce wpada przez okno, jej twarz wygląda w tym bezlitosnym blasku ohydnie. Rozmazane resztki szminki, biały śluz w kącikach oczu. Zresztą nawet, gdyby była perfekt, jak tu łomotać w tym kurniku, gdzie praktycznie nie ma ścian? Odsuwał się, a ona za nim, te drzwi uchylone, a ona popycha go na sprężynowe, skrzypiące łóżko. Złapał ją za ramiona, żeby odsunąć potworzycę od siebie, ona zrozumiała to inaczej, że wreszcie chłop ją przytuli, i wgarnęła się w niego całym swoim spoconym ciałem.

Na szczęście usłyszeli człapanie po schodach. Ona wiedziała, kto idzie, znała to człapanie od wielu lat. Był to jej mąż, duży, siwy, szczeciniasty... On też miał dobry słuch i wyczuł, co się na górze dzieje. Baba odskoczyła od Ducha, znów te drzwi ogląda, ale mąż już się zorientował. Chwyt za włosy, trzask prask, baba huknięta w gębę dwa razy leci ze schodów. Duch z uśmiechem obserwował akcję, wyobrażając sobie, jak za chwilę stary poleci po bombie w szczękę. Bo wiedział Duch, że stary rzuci się na niego.

Pomylił się. Widocznie tamten miał już wiele doświadczeń tego typu. Spokojnie obejrzał drzwi i powiedział:

— Naprawię zamek, ale czynsz odtąd będzie dwadzieścia pięć tygodniowo.

— Może pan nie naprawiać — powiedział Duch i zaczął pakować walizkę.

Stary sukinsyn wiedział, że Ducha nie stać na taką sumę, zresztą pokój nie był wart tyle pieniędzy. Za dwadzieścia pięć można już było mieć dwa razy lepszy pokój, i korzystać z prysznica.

Duch wyszedł z walizką i z budki dzwonił do kolegów. Jedyna pomoc, jaką uzyskał, to zaproszenie na wieczorne piwo w klubie jazzowym. Ale godzinę później spotkał Wikatych. Tramwajem na Yonge i do „Zanzibaru", gdzie od południa do pierwszej w nocy leciał snow z gołymi dziewczynami.

Kierownikiem lokalu był Andrew Zora, Polak z pochodzenia, ale już ułożony w Kanadzie. Fajny, energiczny facet — od razu zrozumiał położenie Ducha. Angielski Ducha był bardzo kiepski; po kursie, tak jak po studiach, nie można wejść w życie obojętnie, tak samo jak po uzyskaniu karty pływackiej na basenie, gdzie wystarczy przepłynąć dwadzieścia pięć metrów, nie można bezkarnie wskoczyć do burzliwego morza.

— Staniesz przy drzwiach — powiedział Zora — bo wyglądasz reprezentacyjnie. Masz „professional suit"?

— Mam — powiedział Duch, bo rzeczywiście miał to swoje jedyne dobre ubranie od Mannixa.

— Praca od siódmej wieczór do pierwszej w nocy, żarcie w bufecie za darmo, a płaca: dwa dolary za godzinę.

Była to wówczas najniższa, gwarantowna przez prawo płaca. Duch mógł więc liczyć na dwanaście dziennie, czyli sześćdziesiąt tygodniowo, nie licząc sobót i niedziel. Mógł sobie pozwolić na lepszy pokój.

Właścicielem „Zanzibaru" był Żyd, nazwiskiem Cooper. Duch pracował w knajpie kilka miesięcy, ale nigdy nie miał zaszczytu ujrzenia tego tajemniczego faceta, o którym krążyły legendy, że jest multimilionerem. „Mister Cooper", tak o nim mówiono, koniecznie z tym „mister", bo to wyraża szacunek. Dwudziestu kelnerów, barmani i panienki do latania na golasa, wszyscy z szacunkiem wypowiadali te wielkiej wagi słowa: „mister Cooper".

Knajpa była ogromna. Z ulicy wchodziło się do małego przedsionka, potem drugie drzwi, przy których stał Duch w krawacie, białej koszuli i granatowej marynarce. Miał tylko jedno zadanie: policzyć gości, bo przychodzili zwykle grupkami, przytrzymać ich władczym gestem ręki, a drugą rękę podnieść wysoko z rozczapierzonymi paluchami i ryknąć za siebie:

— Four!

Albo, jeśli kolesiów przyszło sześciu:

— Six!

I wszyscy czekali, aż następny wykidajło podał liczbę dalej, a trzeci jeszcze dalej... Było dziesięciu wykidajłów, rozmieszczonych strategicznie w ogromnej, ciemnej sali, a także na żelaznych schodach wiodących na górę, na antresolę, która mogła pomieścić co najmniej kilka setek piwoszy, spragnionych widoku nagich ciał kobiecych. Dół z powodzeniem wchłaniał pięciuset gości.

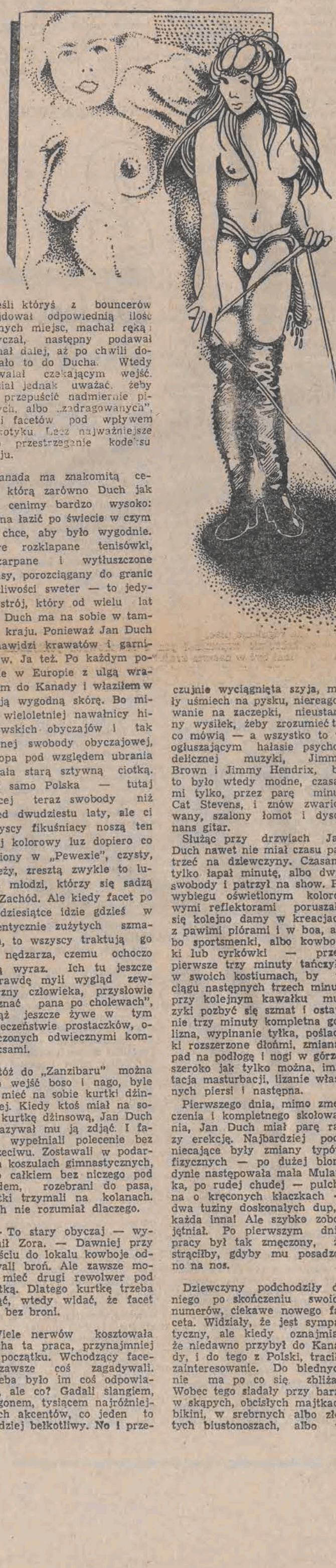

Jeśli któryś z bouncerów znajdował odpowiednią ilość wolnych miejsc, machał ręką i krzyczał, następny podawał sygnał dalej, aż po chwili docierało to do Ducha. Wtedy pozwalał czekającym wejść. Musiał jednak uważać, żeby nie przepuścić nadmiernie pijanych, albo „zadrogowanych", czyli facetów pod wpływem narkotyku. Lecz najważniejsze było przestrzeganie kodeksu stroju.

Kanada ma znakomitą cechę, którą zarówno Duch jak i ja cenimy bardzo wysoko: można łazić po świecie w czym się chce, aby było wygodnie. Stare rozklapane tenisówki, obszarpane i wytłuszczone dżinsy, porozciągany do granic możliwości sweter — to jedyny strój, który od wielu lat Jan Duch ma na sobie w tamtym kraju. Ponieważ Jan Duch nienawidzi krawatów i garniturów. Ja też. Po każdym pobycie w Europie z ulgą wracałem do Kanady i właziłem w swoją wygodną skórę. Bo mimo wieloletniej nawałnicy hipisowskich obyczajów i tak zwanej swobody obyczajowej, Europa pod względem ubrania została starą sztywną ciotką. Tak samo Polska — tutaj więcej teraz swobody niż przed dwudziestu laty, ale ci wszyscy fikuśniacy noszą ten swój kolorowy luz dopiero co kupiony w „Pewexie", czysty, świeży, zresztą zwykle to ludzie młodzi, którzy się sadzą na Zachód. Ale kiedy facet po pięćdziesiątce idzie gdzieś w autentycznie zużytych szmatach, to wszyscy traktują go jak nędzarza, czemu ochoczo dają wyraz. Ich tu jeszcze naprawdę myli wygląd zewnętrzny człowieka, przysłowie „poznać pana po cholewach", wciąż jeszcze żywe w tym społeczeństwie prostaczków, obarczonych odwiecznymi kompleksami.

Otóż do „Zanzibaru" można było wejść boso i nago, byle nie mieć na sobie kurtki dżinsowej. Kiedy ktoś miał na sobie kurtkę dżinsową, Jan Duch nakazywał mu ją zdjąć. I faceci wypełniali polecenie bez sprzeciwu. Zostawali w podartych koszulach gimnastycznych, albo całkiem bez niczego pod spodem, rozebrani do pasa, kurtki trzymali na kolanach. Duch nie rozumiał dlaczego.

— To stary obyczaj — wyjaśnił Zora. — Dawniej przy wejściu do lokalu kowboje oddawali broń. Ale zawsze mogli mieć drugi rewolwer pod kurtką. Dlatego kurtkę trzeba zdjąć, wtedy widać, że facet jest bez broni.

Wiele nerwów kosztowała Ducha ta praca, przynajmniej na początku. Wchodzący faceci zawsze coś zagadywali. Trzeba było im coś odpowiadać, ale co? Gadali slangiem, żargonem, tysiącem najróżniejszych akcentów, co jeden to bardziej bełkotliwy. No i przeczuciem wyciągnięta szyja, miły uśmiech na pysku, niereagowanie na zaczepki, nieustanny wysiłek, żeby zrozumieć to, co mówią — a wszystko to w ogłuszającym hałasie psychodelicznej muzyki, Jimmy Brown i Jimmy Hendrix, bo to było wtedy modne, czasami tylko, przez parę minut Cat Stevens, i znów zwariowany, szalony łomot i dysonans gitar.

Służąc przy drzwiach Jan Duch nawet nie miał czasu patrzeć na dziewczyny. Czasami tylko łapał minutę, albo dwie swobody i patrzył na show. Po wybiegu oświetlonym kolorowymi reflektorami poruszały się kolejno damy w kreacjach z pawimi piórami i w boa, albo sportsmenki, albo kowbojki lub cyrkówki — przez pierwsze trzy minuty tańczyły w swoich kostiumach, by w ciągu następnych trzech minut, przy kolejnym kawałku muzyki pozbyć się szmat i ostatnie trzy minuty kompletna golizna, wypinanie tyłka, pośladki rozszerzone dłońmi, zmiana: pad na podłogę i nogi w górze, szeroko jak tylko można, imitacja masturbacji, lizanie własnych piersi i następna.

Pierwszego dnia, mimo zmęczenia i kompletnego skołowania, Jan Duch miał parę razy erekcję. Najbardziej podniecające były zmiany typów fizycznych — po dużej blondynie następowała mała Mulatka, po rudej chudej — pulchna o kręconych kłaczkach — dwa tuziny doskonałych dup, a każda inna! Ale szybko zobojętniał. Po pierwszym dniu pracy był tak zmęczony, że strąciłby, gdyby mu posadzono na nos.

Dziewczyny podchodziły do niego po skończeniu swoich numerów, ciekawe nowego faceta. Widziały, że jest sympatyczny, ale kiedy oznajmiał, że niedawno przybył do Kanady, i do tego z Polski, traciły zainteresowanie. Do biednych nie ma po co się zbliżać. Wobec tego siadały przy barze w skąpych, obcisłych majtkach bikini, w srebrnych albo złotych biustonoszach, albo w luźnych przejrzystych bluzkach bez biustonoszy. Na stołkach czekali już faceci, którzy stawiali im drinki i umawiali się na noc. Te dziewczyny nie marnowały czasu. Za jeden numer na wybiegu dostawały dwadzieścia pięć dolarów, niektóre więcej. Miały do sześciu występów dziennie. Zarabiały w jeden dzień tyle, co przeciętny robotnik w tydzień. Dodatkowe zarobki w łóżku znacznie podnosiły ich standard życia. W owym czasie można było mieć striptizarę za pięćdziesiąt dolców, zwykłą ulicznicę za dwadzieścia. Obecnie byle barachło kosztuje setkę, lepsza z „Zanzibaru" trzy setki, a callgirl dla managerów minimum dwa tysiące. Są też takie, które pracują wyłącznie na etatach wielkich korporacji i mają za zadanie uprzyjemniać noce wizytujących bardzo ważnych kontrahentów — takie kobiety otrzymują pięć tysięcy dolarów za noc.

Sufit znajdował się na wysokości kilkunastu metrów. Był czarny jak niebo, połyskiwały na nim srebrne gwiazdy. Zwieszały się stamtąd grube łańcuchy — były to huśtawki, na których przez cały czas bujały się nagie dziewczyny. Reflektory przebijały z trudem chmury dymu, nagie ciała połyskiwały potem... Co jakiś czas jeden z naszych ściągał huśtawki do antresoli, dziewczyny zsiadały i po odpoczynku miały występ na dole. Inne zajmowały ich miejsce. Oprócz tego w strategicznych punktach dolnej i górnej sali rozmieszczone były beczki o szklanych pokrywach, na których bez przerwy tańczyły naguski. W beczkach znajdowały się reflektory, oświetlające je od spodu.

W „Zanzibarze" piło się głównie piwo. Kelnerzy niezmordowanie roznosili draft, czyli beczkowe w kuflach, zwykle Molson Canadian, albo Labatt's Fifty, albo też stawiali na małych stolikach całe baterie niskich pękatych butelek, zwanych „stubby". Trzeba powiedzieć, że piwo kanadyjskie jest znakomite i tylko niektóre spośród nieomal czterdziestu gatunków raziły smak Jana Ducha. Piwo, jakiekolwiek by było, musi być zimne — żeby flaszka, postawiona na stół matowiała od pokrywającej ją pary. I wszystko byłoby okay, gdyby nie przykra świadomość, że za godzinę stania i miotania się w tym piekielnym smrodzie i hałasie Jan Duch nie mógł nawet kupić sobie flaszki piwa! Kosztowała bowiem dwa dolary i dwadzieścia pięć centów, a on dostawał tylko dwa. Pracował więc za pięć i pół butelki piwa dziennie.

Ale tak też nie można liczyć, nie jest to cała prawda — za równowartość dwóch butelek mógł się wyżywić przez cały dzień, i to dobrze. A w specjalnym sklepie z piwem, „beer store", mógł sobie za pięć dolarów kupić dwanaście butelek w praktycznym tekturowym pojemniku z rączką.

No a przede wszystkim mógł wreszcie za swoje zarobki wynająć przyzwoity pokój z używalnością kuchni i łazienki. Tak mu się przynajmniej wydawało, ponieważ musiało minąć sporo czasu zanim się zorientował, że słowo „przyzwoitość" można stosować do mieszkań kosztujących od trzystu dolarów miesięcznie wzwyż. Pokoje do wynajęcia nigdy nie były i nie będą przyzwoite.

Najgorsze w pracy były piątki i soboty. Plebs brał swoje wypłaty w każdy piątek — w Kanadzie płaci się co tydzień. I wtedy wprost z roboty, w butach ze stalowymi czubami i we flanelowych koszulach w kratę całymi bandami pojawiali się robotnicy budowlani, szoferzy ciężarówek, specjaliści od łopaty i fabrycznej taśmy Bractwo to na pozór groźnie wyglądające zachowywało się jednak, w porównaniu z ich *odpowiednikami* w Polsce, jak *arystokracja*. Każda z grup bawi się w swoim *kółku*, nie ma zaczepek, bezsensownych wrzasków, nieustannej i aż bolesnej chęci zaimponowania kolesiom byle czym: głośniejszym rykiem, forsą, zdolnością wypicia większej ilości butelek, siłą fizyczną... Jeżeli to istnieje, to na małą skalę, tego się nie dostrzega. Tak samo nie istnieje jawnie okazywana pogarda i przemoc wielkiego byka w stosunku do słabszych kolegów. Dlaczego?

Rys. Dariusz Romanowicz

Jest to zupełnie inna mentalność niż w Polsce. Przede wszystkim każdy jest osobnym człowiekiem, nie czuje się związany z żadną grupą — pracuje sam na siebie i ma swoją własną, odrębną wizję przyszłości. Pojęcie „kumpelstwa" istnieje w szczątkowej formie. Ludzie, którzy pracują ciężko, dojrzewają szybciej. Jeśli ktoś ma nadmiar siły, to powinien wykorzystać ją w pracy i zarabiać dwa razy więcej Nikt nikomu nie imponuje piciem, ponieważ picie to indywidualna sprawa, osobista przyjemność, a nie sport. A grzeczność w stosunku do słabszych zapewnia pewien drobiazg, zwany „great equalizer", czyli wielki wyrównywacz.

C.D.N.